J E S I E N I Ą.

JESIENIĄ.

POWIEŚĆ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

TOM I.

WARSZAWA.
NAKŁADEM GEBETHNERA I WOLFFA.

1876.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 2 Апрѣля 1875 года.

W Drukarni S. Lewentala, ulica Nowy-Swiat, Nr. 39.

JESIENIĄ.

ROZDZIAŁ I.

Wiosna w lesie jest cudniejszą jeszcze, niż na polach i górach; wiosna w głębinie puszcz to dopiéro wiosna z całym swoim nieopisanym wdziękiem, niewysłowionemi uroki. Tu to przebudzenie do życia, po śnie kilkomiesięcznym objawia się, jak gdyby natura budziła się po raz pierwszy, jakby narodziny wiosny były urodzinami świata. Śpieszy się wszystko, co ma w sobie jaki kiełek i nasionko żywota, pije słońce, chłónie ciepło, pożera powietrze i obwija się sukienkami z purpury, zieleni, złota... Jedne rośliny ledwie otworzywszy liście, puszczają z nich kwiat śpiesząc korzystać z wiosny, jak ludzie, którym najpilniéj używać; drugie gospodarują skrzętnie budując wprzódy posłanie na gody; inne walczą z przeciwnościami, omijają przeszkody i wzbijają się ku górze, ku górze... Ta uroczystość wiosenna, któréj gra muzyka tysiąca ptaków, namiętnie zajętych wzruszeniem jednorocznych gniazd swoich, pełna jest wrzawy, ruchu, świetności i tajemnic. Któż przewidzi i odgadnie dla-

czego to, co żyło wczoraj, dziś obumiera, czemu tam gdzie nie było życia, rozwija się ono tak bujnie i jakby z niczego, ptak na dzióbku przyniósł nasionko, puszek rzuciły wiatry, ziarnko przyżeglowało z wodą, i sierotka sama wśród obcych spełnia swą życia powinność. Taką wiosną, bujną, a wesołą kwitł mały wśród zarośli leśnych pagórek zielony, na którym sterczała dziwna ruina. Opodal widać było bór z mięszanych drzew gęsty, które miały czas wyrosnąć, gdy budowa, co niegdyś pilnowała okolicy, zniknęła, a to, co ją otaczało, zajęły gąszcze i krzewy. Boki gór całe zajmował las piętrzący się słupami jodeł, buków, lip i sosen, z pomiędzy których gdzieniegdzie zwieszała się wychylona wdzięcznie biało odziana brzoza smętna.

Na łysym pagórku widać było reszty starego zamku, zapomnianego teraz wśród lasów. Była to budowa odwieczna z kamieni wzniesiona, do którój ścian mało co cegły użyto. Część znaczna jéj waliła się powoli, lub poobalana leżała ruiną na stoku wzgórza. Zajmowała ona niegdyś przestrzeń dosyć znaczną, którą powoli krzewy sobie przywłaszczyły. Najmocniéj pobudowana brama wjazdowa stała jeszcze, nawet do czasu pokryta, ale pustemi świeciła oknami. Wrót w niéj nie było, i przez to ciemne przejście przychodzień mógł dostrzedz dziedziniec wewnętrzny tak samo zarosły dziko i opuszczony, jak całe owe zamczysko. W głębi tylko część dawniéj mieszkalna, z gankiem, z rzeźbionemi odrzwiami, utrzymała się cało. Widać w niéj było okna zaszklone małemi szybkami. Trzymał się tu wysoki dach pogarbiony i z jednego komina jego niebieskawy dymek unoszący się wolno w powietrze, zwiastował tubytność człowieka... Przed gankiem kamiennym, stary pies ogromny, chudy, leżał na trawie pół uśpiony. Ptastwo pod dachu okapami świergotało swobodnie, cisza panowała do koła.

Niekiedy psisko podnosiło głowę, przysłuchiwało się chwilę i kładło znowu na spoczynek.

Ostatnie promienie słońca malowniczo ozłacały górną część

murów, gdy dolna była już w cieniu od lasów i gór rzuconym. W téj chwili na ścieżce prowadzącéj do zamku, ukazał się wolnym krokiem idący mężczyzna, za którym drugi pies zupełnie podobny do leżącego w dziedzińcu, szedł dosyć żwawo i wesoło. Warto się było temu zjawisku przypatrzéć, dziwnie dobranemu do pustki, dla któréj zdawało się stworzoném.

Mężczyzna był lat więcéj pięćdziesięciu, olbrzymiego niemal wzrostu, kościsty i silnie zbudowany. Trzymał się prosto i sztywnie, szedł z głową dumnie podniesioną, zamyślony, czasem machinalnie pokręcając siwego wąsa, który z obu stron twarzy wychodził twardo i groźnie. Zmęczony zdjął czapkę lekką i głowę widać było w całéj wspaniałości jéj, gdyż rzeczywiście wyglądała pańsko i majestatycznie. Typ to był rysów szlachetnych, piękny jeszcze mimo wieku i zmarszczenia. Czoło przeorały dwa grube nieschodzące już z niego fałdy, wiek je wraz z czaszką niemal całą z włosów obnażył, świeciła jak kość słoniowa, a po bokach tylko puszek biały ją otaczał. Nos rzymski, suchy i kształtny spuszczał się nieco na wargę wąsem przysłoniętą; część spodnia twarzy była proporcyonalną i równie harmonijną jak całość tego męzkiego oblicza. Oczy oprawne pięknie, wypukłe, pomimo otaczających je zmarszczków, patrzały jeszcze śmiało, jasno i bystro. Wiek nie mógł zniszczyć téj piękności, któréj resztki obudzić mogły jeszcze podziwienie. Na twarzy panował wyraz smutku i dumy.

Ruch i postawa zdradzały w nim człowieka, co nawykł był i czuł, że się urodził, aby rozkazywać. Patrzał z góry; coś, jakby ironiczny uśmiech czasem zadrgał mu na wargach. Szedł i stawał i patrzał, a potém szedł znowu. Posłuszny pies oglądał się na pana i nie śmiał pośpieszyć naprzód, kroki swe mierząc do jego chodu.

Ubiór miał na sobie bardzo prosty, buty długie myśliwskie po kolana, kurtkę z grubego sukna szaraczkową, maleńką torebkę z siatki na ramieniu, dubeltówkę na pasku. Stalowy

łańcuszek od zégarka wymykał się z pod zapiętéj sukni, a z kieszeni wyglądała chustka. Po wydęciu drugiéj poznać było łatwo, iż miał w niéj książkę. Przy torbie utroczone trzy słomki świadczyły, że powracał z polowania, które mu się poszczęściło. Zwolna wszedłszy na pagórek, ciągle stając po troszę, nie śpiesząc się ani oglądając, wsunął się tak w ciemną bramę, w któréj gdzieś sowa spłoszona skrzydłami w górze zatrzepotała, a pies w górę zadarł głowę. Stary wyżeł w dziedzińcu zbudził się, wstał i strzepnąwszy śpieszył naprzeciwko pana.

Młody chciał go przywitać na pół drogi, ale nie przyjmując jego grzeczności, podbiegł stary do przybywającego, naszczekując radośnie i przysunął mu się do ręki, która go pogładziła. Z drugiéj strony zazdrosny towarzysz dopominał się także o dowód łaski, i oba skacząc i szczekając wprowadzili tak idącego w dziedziniec.

Szczekanie obudziło znać we wnętrzu kogoś, bo słychać było stuknięcie drzwiami i na ganku ukazał się człeczek maleńki, w długiéj kapocie, mniéj więcéj tego wieku co przybyły, równie łysy, ale rysów twarzy pospolitych i smutnych, a znudzonych.

— Staszuk! — odezwał się idący — weź dubeltówkę i torbę... słomki oddasz Katarzynie.

To mówiąc stanął pan i zdjął z ramienia strzelbę. Pod murem była stara ława kamienna, wyciągnął ręce i usiadł na niéj.

Przybliżył się Staszuk witany serdecznie przez psa, na co jakoś nie bardzo zdawał się zważać, był bowiem widocznie w złym humorze, przyjął strzelbę, torbę, popatrzał na słomki i pokiwał głową tylko.

Z uśmiechem wpatrzył się weń przybyły.

— Wstydziłbyś się stary piecuchu — odezwał się głosem wesołym, ale nieco szyderskim — wiosna tak śliczna, wieczór tak piękny, a ty w zadusze siedzisz i kwasisz się.

Staszuk ruszył ramionami.

— Cóż mam bąki zbijać? siatkę wiążę.

— Odetchnąłbyś powietrzem zbijając bąki.

Machnął ręką Staszuk i w milczeniu zabrał się do domu, ale odwrócił się w pół drogi.

— Upiec słomkę?

Na to nie otrzymał odpowiedzi, przybyły sparł się na ręku i zadumał. Oba psy siadły przed nim. Młodszy zaczepiał starego, który nie miał ochoty do zabawy, patrzał jakby stęskniony na pana.

Wieczór był w istocie dziwnie piękny, spokojny i wesoły. Świergotanie ptastwa układającego się do noclegów, śpiewy słowików na gniazdach, nawet krakanie choralne żab w błotku za zamkiem, woń świeżo rozpuszczonych brzóz i młodych pączków lasu, napełniały powietrze jakiemś życiem, które i w człowieku budziło do niego ochotę. Stary zdawał się tego doznawać, słuchał, dumał, używał. Nie chciało mu się wnijść do domu, aby nie wychodzić z tego zaczarowanego koła, którym go opasywała natura.

Po chwili, w ganku ukazał się Staszuk z rękami w kieszeniach, z pewnym rodzajem politowania spoglądający na pana. Wyraz jego twarzy przypominał niańkę przypatrującą się zabawiającemu dziecku. Ale stary nie widział go, ani nań zważał.

Staszuk znikł wkrótce. Słońce zachodziło i za lasami już tylko świeciło jaskrawo; zamek, wzgórze, cały krajobraz okryły cienie wieczorne. Ucichły śpiewy i świergotania, oprócz żab i słowika.

Stary wstał zwolna i krokiem niepewnym skierował się ku gankowi.

Schodki pokruszone i wytarte wiodły do drzwi ogromnych sieni, których połowa tylko była otwarta. Sień sklepiona obszerna też, ale pusta, za całą ozdobę miała niegdyś zawieszoną u sklepienia latarnię bez szkła, pyłem okrytą. Kamienne schody

z niéj wiodły na pierwsze piętro. Starość ich dowodziła prostota budowy i ciasne rozmiary. Przybyły wchodził niepotrzebując patrzéć, machinalnie, jak człowiek nawykły do codziennego ich przebywania. U góry przy drzwiach pół już otwartych stał już Staszuk, czatujący na wracającego. Nie powiedzieli jednak do siebie ni słowa.

W przedpokoju sklepionym, jak wszystkie izby zamkowe, było widocznie gospodarstwo Staszuka, który tu miał stoliczek u okna, a w drugim końcu za wypłowiałym parawanem papierem okrytym — sprzęt, który chciał ukryć przed oczyma ludzkiemi. Jak tu, tak wszędzie znać było opuszczenie smutne. Drzwi ledwie się przymykały, podłoga pogniła świeciła dziurami. Okna okrywał pył oddawna nietknięty.

Za tą izbą następowała druga obszerniejsza znacznie z oknami na dwie strony i kominem ogromnym. Tu stary sprzęt rozsypany po kątach ginął w wieczornych mrokach. Niedobrane te resztki z dawnych wieków, godziły się z sobą tém tylko, że wszystkie były zużyte i stare. U jednego z okien widać było stolik z kilku książkami i na ścianach wisiały wysoko ciemne portrety w ramach czarnych i niepomiernych. Na kominie zégar poważny nieodzywał się już oddawna. Około niego para naczyń otłuczonych zdawała się przeznaczoną na kwiaty. I w tym pokoju nie zatrzymał się przybyły, przeszedł go zamyślony i skierował się na prawo przez drzwiczki ciasne, do sypialni.

Staszuk szedł za nim zwolna, gładząc łysinę.

W sypialni stało łóżko ubogie i skromne, stół i szafa, trochę przyborów myśliwskich rozwieszonych było na ścianach. Jedną z nich zajmowała stara szafa gdańska popsuta i na nowéj już, ledwie ociosanéj, nodze oparta.

Stare krzesło z poręczami wysokiemi czekało jakby na swego dana, który siadł, a pies przybyły z nim zbliżył się i głowę mu położył na kolanach.

Staszuk stanął jak wryty w progu. Nie musiało to być zwyczajném, gdyż po chwili podniósłszy nań oczy, pan spytał:

— Czegóż ty chcesz odemnie, Staszuk?

Zmilczał nieco sługa, pogładził się po głowie, chrząknął.

— Czego ja chcę — rzekł — to pan tego nie lubi; a no, jakiś list jest!

— List? gdzież? jaki? — z niecierpliwością począł pan.

Staszuk mrucząc zbliżył się do stolika, podniósł okrywające go sukno i dobył kopertę, którą położył przed panem.

W pokoju był mrok, wziął ją w rękę niechętnie myśliwy, spojrzał i położył nierozpieczętowaną.

— Któż to przywiózł? — zapytał.

— A, posłaniec... czeka na odpowiedź — począł schrypłym głosem stary sługa — tylko co pan wyszedł w las, gdy przybył. Nie było go czém nakarmić, tom go spać położył.

— Świecy — odparł żywo nieodpowiadając nic pan i rozerwał kopertę, usiłując list dobyty choć o mroku przeczytać.

Staszuk tymczasem śpieszył po świecę, którą przyniósł, gdy list już był raczéj odgadnięty, niż przeczytany. Myśliwy nasz chodził po ciasnéj sypialni, wyszedł z niéj do pierwszéj izby i mierzył ją szerokiemi krokami. Czoło namarszczyło mu się mocniéj jeszcze.

Sługa z rękami w tył założonemi ustawił się w progu i czekał.

— Posłaniec się dopomina o odpowiedź — rzekł po przestanku.

— Powiedz mu niech idzie do djabła! — wybuchnął stary — odpowiedzi żadnéj nie będzie.

Nie ruszył się Staszuk, gładząc tylko żywiéj po łysinie.

Gdy w przechadzce swéj zwrócił się ku niemu twarzą pan, spojrzeli na siebie.

— Czego stoisz?

— A cóż, mam mu powiedziéć, ażeby szedł do djabła? hę?

I pomilczawszy dodał:

— A pięknie to będzie? Widział, że pan powrócił? Hę? Cóż ludzie pomyślą? że pan odpowiedzieć nie chce bratu? Po cóż się to zdało, żeby cały świat bajki sobie z tego plótł. I to trzeba, żebym ja głupi mądrego pana uczył, żeby odpisał dwa słowa, a ludziom się na pośmiewisko nie dawał. Po cóż to? po co?

Rękami zamachnął i umilkł.

Pan nań popatrzał i nie mówiąc nic poszedł do stolika. Staszuk mu przyniósł świecę. Szybko nakreślił słów kilka z widoczną niechęcią, i oddał je milczący. Sługa wyniósł się natychmiast, lecz nie zszedłszy ze schodów, powrócił przestraszony.

Zobaczywszy go, myśliwy, który się znowu przechadzał, stanął.

— Co się stało?

— A no, niedoczekał się pono odpowiedzi, i jedzie — krzyknął zdyszany Staszuk.

Na te słowa drgnął i ruszył się żywo myśliwy.

— Nie ma mnie w domu! rozumiész!

— Nie może być, nie może być — począł Staszuk — czyż ja... (tu schylił mu się do kolan), czyż ja was mam prosić o to, abyście brata przyjęli? panie?

Spojrzał mu w oczy. Wtém gwar się wszczął w dziedzińcu; psy nie nawykłe do obcych, szczekały. W bramie ukazało się dwie postacie, niepewne, czy daléj iść mają. Staszuk nie słuchając odpowiedzi wybiegł ku nim. Psom nakazał milczenie i z wielką powagą począł się zbliżać ku bramie.

Oczekujący nań tutaj byli... pan i sługa. Pierwszy z nich po podróżnemu ubrany, nieco młodszy od myśliwego, podobnych do niego rysów, ale mniejszego wzrostu i twarzy zmęczonéj i zwiędłéj, z dziwnym wyrazem przypatrywał się miejscu, w którém się znajdował. Służący w liberyi z odkrytą głową zdawał się równie zdziwionym, widząc pana dobijającego się do takiéj ruiny.

Staszuk skłonił się nizko, ale z miną zafrasowaną.

— Wszakże pan Krzysztof jest? — zawołał z niecierpliwością przybywający — prowadź mnie do niego.

Sługa oczyma wskazał na liberyę, jakby dawał do zrozumienia, że przy niéj nie miał ochoty mówić obszerniéj.

— Jest pan, ale trochę słaby — rzekł.

— Przecież mnie przyjąć może! — odezwał się postępując parę kroków naprzód przybyły. Odwrócił się do służącego i dodał:

— Wróć do powozu i tam czekaj. Tu nie ma dokąd zajechać.

Posłuszna liberya znikła w ciemnościach bramy, a stary sługa twarz zmienił, widocznie stał się swobodniejszym.

— Niech-no pan nie zapomina — szepnął — że z nim trzeba wiedziéć, jak gadać.

Przestroga ta przeszła jakby niesłyszana. Żywym krokiem śpieszył ku gankowi podróżny, ale do sieni wszedłszy, jakkolwiek nie miał ochoty do rozmowy, musiał go spytać o dalszą drogę.

— Na schody proszę — rzekł sucho Staszuk.

Zawahał się nieco z jakimś wstrętem przybyły, ale poszedł śpiesznym krokiem. Widać było, że się na odwagę zbierać musiał, i że mocno wzruszony dopełniał niechętnie, co mu się zdawało konieczném. W progu izby, po któréj się przechadzał pan Krzysztof, stanął podróżny. Spojrzeli na siebie zdala, żaden z nich nie ważył się na słowo.

— Przybywam do ciebie — rzekł w końcu złamanym głosem od progu podróżny — przybywam jako brat podać ci rękę. Spodziewam się, że jéj, ani mnie, nie odepchniesz.

Nastąpiło milczenie.

— Ani odepchnę, ani uścisnę — począł głosem podniesionym gospodarz — nie zapomniałem, że waćpan jesteś mi bratem, że ta pustka jest moim domem, w którym żadnemu gościowi nie odmawiam przyjęcia, ale i o tém nie zapomniałem téż, iż nasze drogi od dawna się rozeszły, że jesteśmy braćmi z imienia, ale

nie życiem, nie obyczajem, że ja jestem głową rodziny, i żem w waćpanu nie znalazł należnego mi posłuszeństwa.

Stojący w progu uśmiechnął się.

— Rozmówmy się raz po ludzku — rzekł postępując krok i oglądając się po izbie oświeconéj brzaskiem wieczora z jednéj strony, a blaskiem świeczki z drugiéj.

— Słucham — wtrącił gospodarz poważnie.

— Zdaje mi się, że jestem w wieku, który uwalnia mnie od kurateli braterskiéj, obaśmy pełnoletni.

— Tak, ale głowa rodziny jest nią dopóki żyje, z prawa i zwyczaju szlacheckiego należy się jéj poszanowanie i posłuszeństwo, lub rodziny nie będzie — mówił Krzysztof.

— Poszanowanie, zgoda — rzekł przybyły — ale posłuszeństwo, nie. Na dowód, że się do obowiązków rodzinę łączących poczuwam, przybyłem tutaj.

— Po co? — przerwał gospodarz — aby mi spokój zamącić? Spodziewam się — dodał ironicznie — że nawrócić mnie nadziei waćpan nie masz, ani się uniewinnić nie spodziewasz. Obrałeś sobie drogę, jaką chciałeś, idziesz nią, nikt ci się nie sprzeciwia! Z Panem Bogiem! a mnie zostawcie gdzie jestem i jak jestem.

— Godziło się przecież choć spróbować — począł przybyły.

— Czego? — ofuknął prawie gniewnie brwi marszcząc gospodarz.

Rozmowa rozpoczęta z pewném z obu stron pomiarkowaniem, przybierała niemal z każdém słowem ton coraz gwałtowniejszy. Bracia mieli jeden charakter. Starszy, pan Krzysztof, inaczéj go tylko w sobie wyrobił, w gniewie jego nawet było coś poważnego i szlachetnego; u drugiego miał on pospolitszą daleko cechę i gminniejsze formy.

— Czego? — powtórzył gospodarz — czego próbować?

— Wyciągnąć was z téj pustki i wyleczyć z tego dziwactwa — odezwał się drugi.

Śmiech ironiczny, wymuszony, przerwał mu mowę; pan Krzysztof zdawał się wyrastać, tak się rozprostował i dumnie podniósł głowę.

— Waćpan, panie Pawle! leczyć mnie! waćpan mnie dawać nauki! a! to mi się podoba! — krzyknął, rękami biorąc się w boki.

— Dlaczegóż nie; młodsi starszych uczyć muszą, gdy starsi dziwaczą.

— Waćpan to zowiesz dziwactwem?

— A jakże to mam inaczéj nazwać? jak? — począł Paweł — proszę pana brata nie gniewać się zawcześnie, a wysłuchać mnie raz cierpliwie.

Nie prosząc siadać brata, Krzysztof z pewnym rodzajem rezygnacyi rzucił się na krzesło przy stoliku, ręce sparł na nim i słuchać począł z ironicznym uśmiechem.

Paweł téż nieulękniony i niezrażony tém przyjęciem niegościnném, postąpił kroków kilka naprzód, krzesło sobie przysunął, siadł na niém, obie ręce sparł na kolanach i pochyliwszy się ku bratu, mówił z pewnego rodzaju gorączką i pośpiechem.

— Z dawnych splendorów i wielkości naszéj rodziny nie zostało nam nic, oprócz imienia i długów...

— Długi co do grosza spłaciłem! — zawołał dumnie Krzysztof.

— Tak, i nie zostało nam właśnie dlatego nic, żeś waćpan płacił i to, czego nie należało płacić lichwiarzom.

— To jest waćpana zdanie, coś z szlachcica przerobił się na... na plebejusza i robigrosza — krzyknął Krzysztof — dla was pieniądz wszystkiém, dla mnie honor. Szlachcie płaciłem za rodziców do grosza, aby łajdaki znały cośmy za ludzie i czuły różnicę, jaka jest, była i będzie między nami. O cześć niepokalaną imienia mi szło, dlatego ostatnią zdjąłem koszulę, straciłem wszystko, ale mi nikt nie powié, że na mnie szeląg

stracił. Jeśli w tém była lichwa i podłość, co od nas wyciągano, tém gorzéj dla tych, co nas ograbili; myśmy czyści.

— Tak, i goli — rzekł szydersko Paweł.

— Tak — przerwał Krzysztof — i wy gołemi być nie umieliście, dlategoście woleli się zaszargać.

— Wolałem pracować — odparł Paweł — i dorobiłem się pracą, a waćpan wolałeś próżnować i mrzesz z głodu w téj pustce.

Krzysztof słysząc to ruszył ramionami.

— Któż to waćpanu powiedział, że ja mrę z głodu, i kto go prosił, abyś mnie ratował? Ja ani rady, ani ratunku nie potrzebuję. Tak, nie potrzebuję. Żyję tu szczęśliwy, swobodny, zachowawszy godność moją, gdy waćpan coś świniami, bydłem, łojem i słoniną handlował, masz miliony, o które ja nie dbam, i na które... pluję.

Oczy czarne pana Pawła błysnęły gniewem, podskoczył na krześle.

— Tak! tak! nie kryję się z tém: handlowałem świniami, bydłem, słoniną, jeździłem na wózku sam sobie furmaniąc, spałem nieraz w chlewie, ocierałem się o najbrudniejszych ludzi, skąpiłem sobie i od gęby odrywałem, dlaczego? aby być niezależnym, aby rozkazywać i tych co mną gardzili widziéć czapkujących mi.

Pan Krzysztof prychnął szydersko, nie odpowiadając nic, zdjął z nad stolika zawieszoną nad nim fajeczkę krótką, nałożył ją brzydkim tytoniem i palić zaczął spokojnie. Paweł na chwilę zamilkł, gospodarz powagę swą odzyskał, gniew go odszedł; był spokojny.

— Wolałeś więc waćpan być, z pozwoleniem, świniopasem, niż szlachcicem... na zdrowie! ja wolałem być godnym moich przodków i zamknąć się w téj ciszy lasów; nie ma między nami nic wspólnego; niewidzieliśmy się kilkanaście lat, cóż to znowu za fantazya waćpanu przyszła ścigać mnie tutaj?

— Litość! — zawołał Paweł.

— Co? litość? nademną? — oburzony porwał się Krzysztof stukając pięścią o stół — i ty mi to śmiész mówić! Litość, nademną! Ale ja — ja jestem cobym się mógł nad tobą litować, coś starą tarczę Pobogów zwalał w błocie, coś się ożenił z...

— Ani słowa przeciw méj żonie!

— Mieszczanka jest, kupcówna jakaś; ożeniłeś się dla grosza, tak, jak pracowałeś dla grosza, tak jak wszystko święciłeś dla grosza... Dla niego stałeś się żydem, faktorem, handlarzem. Nie znam cię za brata.

— No? nie jest-że to szał? obłąkanie? — odparł ręce na piersiach zakładając i wpatrując się w brata, Paweł.

— Pytam się ciebie jeszcze raz, czego chcesz odemnie? — rzekł Krzysztof.

— Chcę cię ztąd wyciągnąć! słuchaj, żal mi cię — począł Paweł — tak jest. Nie obrażę się z ust twoich najniemilszemi wyrazy. Miarkuj się sam. Przyczyniż to blasku tarczy twéj, że się na cały świat gniewasz; zakopałeś się na puszczy, nic nie robisz i za życia dobrowolném samobójstwem ze społeczeństwa się wyłączasz.

— Tak! — wybuchnął Krzysztof — bo wasze społeczeństwo zgniłe, obłąkane, zatrute, nie jest mnie godném, bo ja w niém ani z niém wyżyćbym nie mógł; bo między mną a niém, tak jak między mną a tobą, nie ma i nie może być stosunku żadnego.

To mówiąc, podniósł się jakby natchniony, rzucając fajkę o stół. Rozbiła się na nim w kawałki.

— Ty to zowiesz społeczeństwem — krzyknął — to gromada bydła, to stado zwierząt, co idzie na paszę razem i od wilka się broni wspólnie, ale się bije rogami, gdy niebezpieczeństwo przechodzi. Z téj kupy, którą wiąże interes, zwietrzało, uciekło co było szlachetniejszém i lepszém. Zaparliście się wszystkich tradycyj przeszłości i okłamaliście je potwarzą;

mówicie o postępie, a idziecie wstecz do bydląt!! Przyznam się, że wolę głodem mrzéć, niż iść z wami razem jeść trawę. Mylę się — dodał — wy jecie jak Lukullus, mieszkacie jak sybaryci, używacie życia i nadużywacie, w tém wasz jedyny cel, to wasza jedyna dążność. Dajcież mi umrzéć anachoretą umiejącym pogardzać tą strawą, tym zbytkiem, temi rozkoszami i położyć się w grób z sercem bijącém ku wielkim czynom i wielkim rzeczom, wiernym méj krwi, rodowi, imieniowi i idei.

Paweł się rozśmiał.

— Choć drukować! dalipan — zawołał — ślicznie deklamujesz; ale to są słowa puste. My bydło... niech tak będzie, a ty jesteś trup; wolę być żywém bydlęciem, niż umarłym człowiekiem.

— Na zdrowie! — odparł siadając Krzysztof, podparł się na ręku i patrzał w okno — kończ waćpan — dodał — słucham.

Na to wezwanie Paweł nie odpowiedział, wstał z krzesła zadumany i począł się po izbie przechadzać.

— Nie ma sposobu z tobą mówić, ani się zrozumiéć — dokończył po przestanku. — Sądziłem, że lata zmieniły twój sposób widzenia rzeczy i ostudziły cię trochę. Znajduję cię takim, z pozwoleniem, szaleńcem, jak gdyśmy się rozstawali. Ubolewam, płaczę, rozpaczam, abym mógł nawrócić...

— Toś sobie był powinien z góry powiedziéć — spokojniéj wtrącił Krzysztof — waćpan się mogłeś mienić i zmieniać wedle potrzeby i stosownie do ludzi, z którymi żyć chciałeś; ja mogłem pozostać sobą, bom żył z pustynią, lasem, Bogiem, sumieniem, ciszą i smutkiem moim. Budziłem się z tą samą myślą, z którą się kładłem, wierny jéj i prosząc Boga, abym się jéj nie sprzeniewierzył. Powiedz-że mi, dlaczego ja nie szedłem ciebie nawracać, a dlaczego ty przychodzisz z tém do mnie!?

— O! to ci łatwo wytłómaczę — zawołał Paweł — bo mimo

wzgardy, odepchnięcia, milczenia, czułem się bratem twoim, bo mi w sercu miłość i pamięć została, a tyś był dumnym trupem bez przywiązania do nikogo i wyparłeś się mnie dla tego, że inną poszedłem drogą.

Krzysztof spojrzał nań z niewysłowionym wyrazem ironii, zdumienia, gniewu i ciekawości.

— Wyrzecz-że się téj słabostki — rzekł cicho — wam ludziom praktycznym i rozumnym miłość nie przystoi; my to trupy kochamy tylko, wy handlarze powinniście nic oprócz grosza nie kochać.

Paweł ruszył ramionami; zdawał się rozpaczać już o dalszéj rozmowie, chwycił za kapelusz, ale go położył natychmiast.

— Nie — rzekł spokojniéj — my z sobą mówić ani się rozumiéć nie możemy. To rzecz daremna ; więc pozwól, jako brat starszy i głowa domu, abym ci się po kilkunastu leciech wyspowiadał z tego, com zrobił, jakie jest położenie moje. Wiem o tém, żeś się tak dobrowolnie odciął od świata, iż nie pozwalasz sobie nikomu powiedziéć nic o tém, co się na nim dzieje. Jestem pewny, że o mnie, o mojéj rodzinie, oprócz tego com ci gwałtem narzucił do wiadomości, nic wiedziéć nie możesz.

— Nie ciekawym! nie chcę! Co mnie obchodzą dzieci nowego świata, do którego ja nie należę. Idźcie swą drogą, a mnie moją zostawcie.

— Gwałtu ci nikt nie zada — odparł Paweł siadając znowu — ale nie zgrzeszysz słuchając.

Krzysztof zamilczał.

— Wiész, jakeśmy się rozstali — mówił Paweł — ty sobie zostawiłeś tę pustkę z kawałkiem lasu, ja małą sumkę, jaka po opłaceniu długów uratowaną została. Powtarzam ci, gdyby nie twoja dobroduszność i duma, mnie i tobie byłoby po wiosce zostało. Lichwiarze ograbili nas.

— O tém proszę zamilczéć — wtrącił Krzysztof.

— Milczę — mówił Paweł — zgoda. Tyś się zakopał w życiu kontemplacyjném, ja poszedłem świniami handlować. Moją żonę poznałem w małém miasteczku, była córką handlarza jak ja; podobała mi się, ożeniłem.

— Z posagiem — rzekł Krzysztof.

— Posag nie przeszkodził, ale mniéj po niéj wziąłem, niż sądzisz i nie żeniłem się z nią dla samego posagu, ale żeby pracować we dwoje.

— Ślicznie! wybornie — rozśmiał się Krzysztof — wnuk wojewody, syn kasztelana, człowiek, w którego rodzinie są buławy i laski, wziął prostą dziewczynę, pierwszą z brzega!! Z wodza stałeś się ciurem. Chciałem cię oddać do wojska.

— Wiész, żem do niego powołania nie miał — mówił Paweł cierpliwie —na męczennika téż, jak ty, nie czułem się stworzony. Praca mi się poszczęściła, dorobiłem się znacznego majątku, przyjeżdżam ci oznajmić, żem odkupił Pobogowszczyznę, Zebrzany, Złotowo i Wolę...

Spojrzał nań; Krzysztof się podniósł bledniejąc. Pawłowi uśmiech przebiegł po ustach.

— Tak jest, na świniach dorobiłem się praojcowskiéj siedziby; odkupiłem, co ofiarność ich i nieopatrzność strwoniła. Czy i to mi masz za złe?

— Winszuję waćpanu — zimno z ukłonem ceremonialnym, rzekł Krzysztof — są ceny, za które najdroższy skarb za drogi. Bardzo winszuję, trzeba będzie stu lat, aby waćpanu zapomniano, w jaki sposób do tego majątku przyszedłeś!

— W jaki? pracą! — wybuchnął Paweł — pracą.

— A! waćpan to nazywasz pracą! — śmiał się gospodarz. — Handel nie jest pracą, jest umalowaném oszukaństwem i lichwą.

— Co za pojęcia!

— Dosyć tego — wtrącił Krzysztof — wam się zdaje przesądem i ciemnotą, że nam prawo broniło mierzyć łokciem i kwar-

tą. To było święte prawo, to było prawo moralne, rycerzowi i człowiekowi poświęcenia, zdobywać grosz w ten sposób nie godziło się, z olbrzyma stawał się karłem, z pana sługą, z czystego brudnym, myśmy rzucali pieniądze dla ciżby, ale się po nie nie schylali, myśmy się umieli obejść bez grosza, bez łoża, bez sukni; chodzić w łachmanach królewskich i być panami w łachmanach. Dla nas wielkość nie zawisła ani w złocie, ani w dostatku; wy tego narzędzia potrzebujecie do podniesienia się, bo o swéj sile dźwignąć się nie możecie.

— Deklamacye — rzekł obojętnie Paweł — deklamacye, mam syna dwunastoletniego i córkę dziesięcioletnią.

— I wychowujesz oboje na ludzi praktycznych — syknął Krzysztof — to naturalne, syn niech kiszkami baraniemi handluje, a córkę uczcie, aby w sklepiku zasiadła i umiała doń ściągać ludek Boży. Macie miliony, ale to mało, trzeba więcéj, zawsze więcéj, więcéj coraz, gromadźcie, kapitalizujcie, drżyjcie skóry z biednych ludzi, śmiejcie się z głupich.

Przerwał nagle i zbliżywszy się do stoła, wysunął szufladę, Paweł sądząc, że z niéj coś dobędzie, czekał, lecz omylił się; dostał z niéj pan Krzysztof nową fajkę, którą sobie nakładać począł, i siadł, aby ją zapalić.

W ciągu téj rozmowy, wieczór nadszedł ciemny, noc prawie, mrok zaległ sklepioną izbę, oświeconą jedną świeczką łojową. Paweł ochłonąwszy i hamując się miał dalszą rozpocząć rozmowę, gdy w progu zjawił się Staszuk.

— Dano do stołu! — odezwał się gładząc wedle zwyczaju głowę — dano do stołu!

Krzysztof spojrzał zdziwiony razem i nieco gniewny.

— Nie śmiem pana brata prosić na moją wieczerzę, bardzo skromna.

— Ja świniami handlując — rzekł Paweł — do wszystkiego przywykłem.

— A więc, proszę ze Staszukiem na wieczerzę, bo ja dziś nic jeść nie będę, najadłem się już dosyć. — Wskazał ręką na drzwi. — Proszę! bardzo proszę. Nie jestem głodny.

— Nie chcesz usiąść nawet ze mną?

— Wcale nie, lecz jeść nie mogę, a zostać sam z sobą pragnę. Staszuk zaprowadzi do stołu.

Zawahał się pan Paweł, lecz namyśliwszy, wyszedł z pokoju.

ROZDZIAŁ II.

Staszuk przez sień przeprowadził milcząc gościa do drzwi przeciwnych tym, któremi się wchodziło do mieszkania pana Krzysztofa, otworzył je i znaleźli się w niewielkiéj izbie, wpośród któréj stał stolik na dwie osoby nakryty, i dwa przy nim proste stołki. Z boku, na mniejszym stoliczku, były ułożone talerze i naczynia wcale niepoczesne, poszczerbione, ale stare.

Sługa snać wystąpić pragnął, gdyż gruby obrus był świeżuteńki i składy na nim od leżenia bardzo znaczne, prosta karafka bez korka zawierała wodę, mała szklanka, widelec i nóż żelazny, srebrna od zużycia zcieniała łyżka, solniczka szklanna, lichtarz mosiężny ze świecą, kawałek chleba razowego, poléwane talerze wiejskie, całą stanowiły zastawę.

Przed jedném z dwóch nakryć w misce widać było jakąś polewkę i chochlę blaszaną starą. Milcząc siadł pan Paweł podpierając się na ręku. Staszuk popatrzał nań.

— Mogę służyć krupniczkiem, czy kieliszkiem wódki przed nim? — odezwał się. — Wódka prosta, ale nie śmierdząca, bo wina u nas nie ma, a piwo kwaśne.

— Dawaj wódki! — krótko odezwał się Paweł i rękę wyciągnąwszy, nalany kieliszek wychylił szybko.

— A krupnik?

— Daj co masz — trochę niecierpliwie dołożył gość — nie jestem rozpieszczony.

Staszuk milcząco zaczął nalewać na talerz, postawił go przed panem Pawłem, i z rękami założonemi w tył stanął, oddaliwszy się ku drzwiom. Gość jadł chciwie, ale nie myśląc i widocznie jeszcze pod wrażeniem rozmowy, którą przebył. Stary sługa znikł po chwili i powrócił z miską nakrytą, na któréj ukazała się po odsłonięciu słomka pieczona.

Widocznie rad był zawiązać rozmowę, bo spełniwszy swe obowiązki, poprawiał co chwila ciągle co wcale nie potrzebowało poprawy, krzątał się i chrząkał, usiłując na siebie zwrócić uwagę. Udało mu się to, gdyż Paweł z zamyślenia wyszedłszy, westchnął, popatrzał nań i zdawał wyzywać na słowo.

— Niech pan go nie jątrzy i gniewa — szepnął Staszuk — on to odchoruje; do czego się to przydało. Starego nie przerobicie, to daremnie, dajcie mu w pokoju tak żyć, jak dotąd.

— Nic się nie odmienił — rzekł jakby sam do siebie pan Paweł.

— Ani na włos, hardą dusza w ubogiem ciele — mruczał sługa — dajcie mu pokój, my już tu dobijemy się do brzegu, do którego niedaleko. Co jego świat obchodzi! on żyje przeszłością, z książkami, w lesie, z drzewami, z psami, jemu nic więcéj nie potrzeba.

— Aleby mógł żyć tak samo wygodniéj i miléj u mnie w Pobogowszczyznie, albo w Złotowie.

Staszukowi oczy zabłysły i o mało talerza, który w ręku trzymał dla formy, nie puścił.

— A no w Pobogowszczyznie ten luter siedział, a w Złotowie przechrzta — zawołał.

— Tak to było, alem ja i Pobogowszczyznę i Złotów i wszystko odkupił.

Staszuk się przeżegnał, uśmiechnęły mu się usta, jakieś rozrzewnienie odmalowało się na jego twarzy pomarszczonéj

i smutnéj, nie myśląc zbliżył się machinalnie do siedzącego, pochwycił go za rękę i pocałował staruszek.

— Mój panie, gdy umrę, każcie mnie tam pochować, jam się w Złotowie urodził! — zawołał.

— Przyjdźcie tam lepiéj żyć — rzekł sucho Paweł — namów na to pana, dam wam dom i wszystko czego potrzebować może.

Staszuk głową potrząsł.

— Ani ja, ani pan, ani w świecie nikt go na to nie namówi — rzekł cicho — o tém nie ma co myśléć, na niczyjéj łasce żyć, choćby na królewskiéj nie zechce i nie będzie. Zrośliśmy się z tą pustką i z tym lasem.

— Z czegóż żyje? — zapytał Paweł.

Sługa ramionami ruszył, usta wykrzywił, po łysinie się pogładził.

— Co tam to nasze życie kosztuje! — począł powoli. — Jest nas tu czworo wszystkiego, jaśnie pan, ja, Katarzyna i chłopak wisus, co przy koniach, ot i wszystek dwór... To się z lasu cokolwiek co rok sprzeda albo kłód, albo drzew, albo tam jakiego materyału, to bywało trochę dziegciu się wypędziło, ot i tak się bieda klepała i klepie. Żebyśmy głodem marli, nie powiem, albo żebyśmy w rozkoszach opływali, to także nie, pan, gdy pora po temu, całe dnie na polowaniu, nie bez tego, żeby co nie przyniósł na kuchnię. Skórki się sprzedało. Na złą godzinę resztki srebra co było jeździłem do miasteczka sprzedawać, ale już od dwóch lat jakoś się obchodzimy. To panie, żelazny człowiek, a złota dusza. On wszystko zniesie, będzie żył o kawałku razowego chleba i o wodzie, i nic mu, a o drugich się troszczy tylko. Jak mało, będzie zmyślał, że chory i jeść nie może, aby nam zostawić. Nigdy nie zamruczy, nie poskarży się nigdy.

Westchnął stary.

— Z kimżeście żyli?

— Z kim? — rozśmiał się smutnie stary — a no, pan najwięcéj z psami i z książkami swemi i z sobą. Bywał u nas czasami Łowczy, to mu się kilka lat temu zmarło, jeździł czasem téż kanonik, i ten już nieboszczyk. Teraz proboszcz rzadko się pokaże staruszek, a i temu zawsze pan przypomina: „o starych rzeczach mówić będziemy, o nowych nie mam ochoty“. Proboszcz kilka godzin zabawi i wraca. Jeden ekspens cośmy mieli, to, że na święta i na niedziele do kaplicy kapucyna sprowadzał, ale to tam się zbyło drwami od klasztoru.

Pan Paweł słuchał z zajęciem.

— Jak sądzisz, nie da się namówić do mnie? żal mi go.

Staszuk głowę spuścił, oczy mu powieki przysłoniły, milczał długo, ręką nagle potém zamachnął.

— Chybaby Bóg cud uczynił — mruknął smutnie.

Prędko skończywszy niewytworne jedzenie, gość wstał.

— Mój drogi — odezwał się — daj ludziom, którzy na gościńcu stoją, po kieliszku wódki, gdy księżyc zejdzie pojadę. Chcę jednak jeszcze spróbować szczęścia.

Mówiąc to, wyszedł pan Paweł i skierował się znowu ku izbie, w któréj zostawił brata, ale tu go nie było. Drzwi od sypialni stały zamknięte. Począł chodzić głośno po sali, mając nadzieję, że tém wywoła Krzysztofa. Nie rychło jednakże ukazał się w progu z różańcem w ręku.

— Dziękuję za wieczerzę i pozwól się pożegnać—odezwał się pan Paweł. — Jakim jestem, Bóg niech sądzi, lecz ze złą myślą i sercem nie przyszedłem do ciebie, panie bracie, przyjęliście mnie, jak — psa... Nie gniewam się, słowo tylko jeszcze.

Krzysztof milczał długo.

— Co za słowo?

— Jest temu lat piętnaście, przed naszą ostateczną ruiną, nikomu to nie tajne, mieliście szczere przywiązanie do panny Wandy Romińskiéj...

Usłyszawszy to imię, Krzysztof zbladł i wyprostował się.

— Odmawiam waćpanu prawa wchodzenia w moje uczucia i serce... dosyć...

— Panna Wanda musiała wyjść za hrabiego Eugeniusza... i dziś jest bezdzietną wdową...

Paweł uśmiechnął się patrząc na brata, który w téj chwili, zawołał śpiesznie po dwakroć: — Dobranoc, żegnam! dobranoc!

I drzwi od sypialni zatrzasnął. Paweł postał jeszcze i wolnym krokiem zwrócił się do przedpokoju.

W sypialni otworzyło się okno, wieczór był wiosenny, a raczéj noc pół senna, pół ciemna, bo natura rozbudzona do życia spać długo nie ma czasu, część nieba jaśniała nadzieją jutrzenki, powietrze było przejęte wonią liści młodych, słowiki śpiewały, żaby wtórowały im wrzaskliwie; w dolinie i lasach cisza zaległa głęboka. Pan Krzysztof wsparł się na ręku i zadumał smutnie, ta pora odrodzenia oddziaływała na niego, czuł się odmłodzonym wspomnieniami.

Z całéj rozmowy z bratem zostało mu i utkwiło w pamięci jedno słowo: Wanda była wdową... On, co zerwał na zawsze z życiem i nadziejami, gniewał się sam na siebie, że kusiciel mógł go wyrazem jednym wprawić w niedający się zwyciężyć niepokój ducha.

Długie lata pracował nad sobą, ażeby właśnie ukoić w sobie uczucia, uśpić wspomnienie, zatrzéć obrazy, które pierwsze lata życia zostawiły, przewalczył i przecierpiał wiele, nim doszedł do zwycięztwa, a teraz, teraz jedno słowo, myśl jedna zburzyła ten cały gmach rezygnacyi, budowany powoli, po cegiełce. Gniewał się na brata, ale daleko więcéj na samego siebie, odkrywszy, że był tak słabym, tak ułomnym, jak niegdyś. Cały niemal wiek pracy ciężkiéj stracony...

Z ironicznym uśmiechem na ustach Krzysztof zbliżył się ze świecą do zwierciadła, jakby sam sobie chciał przypomnieć, że był starym, że mu już marzycielem zostać nie było wolno. Wy-

pełzła głowa, zmarszczki, pomarszczone czoło, zwiastuny starości... zgasłe oczy... pokrywały jak popiół niedogasłe żary.

W myśli, w sercu, echem nieustannném, niepokojącém, odzywało się jedno i jedno:

— Wanda żyje i jest wolną.

Duszno mu było w izbie sklepionéj, choć okno jéj otworzył, a w dolinie głuchy turkot zwiastował odjazd natręta; party jakąś potrzebą gwałtownego ruchu, powietrza, swobody, pan Krzysztof wybiegł do pierwszéj izby naprzód. I tu mu było zaciasno. Stojący w pośrodku stołek przypominał bytność brata, odsunął go w kąt ruchem gwałtownym. Rozbita fajka na stole świadczyła o rozmowie namiętnéj, zrzucił jéj szczątki w kąt na ziemię. Zdawało mu się, że się w ten sposób uwolni od natrętnych przypomnień, związanych z bytnością brata. Ale i to nie pomogło nic.

Stukotem zwabiony Staszuk, który już był zrzucił kapotę, na pół rozebrany zjawił się przestraszony w progu. Spojrzeli na siebie, pan Krzysztof chwycił za czapkę i szybko wybiegł z pokojów. Pociemku przeszedł wschody, spuścił się z ganku w podwórze, na którém psy śpiące zbudziły się niespokojne. Podwórzec był mu za ciasny, znajdował powietrze dusznóm. Szybkim krokiem przeszedł ciemną bramę i znalazł się na pochyłości wzgórza pod zamkiem.

Niebo okryte blademi gwiazdami miał nad głową, w krzewach piały ciągle słowiki... świat był młody... a jemu życie się kończyło na próżném, śmieszném pragnieniem bezsilném.

— Ten człowiek przyniósł mi z sobą szaleństwo — odezwał się sam do siebie półgłosem — chciał mi zatruć pokój i pomścić się. Uczynił to umyślnie, oddalając się rzucił mi tę strzałę Parta, wiedząc, że mnie nią rani.

Ruszył ramionami, sam się litując nad sobą.

— Rozumu! rozumu! spokoju! Wanda, po latach ośmnastu, Wanda owdowiała, Wanda, która żyła z nienawistnym

człowiekiem i była zmuszoną przyjąć życie, jakie jéj los narzucił, nie może być Wandzią moich lat młodych! Krzysztof umarł, ona nie żyje dawno, kropli krwi, która naówczas krążyła w żyłach naszych, nie ma już w nich dzisiaj. To głupie wspomnienie tego co nie istnieje. Uczucia się nie odradzają, zerwane pasma spoić się nie mogą nigdy; wiek gasi wszystko.

A jednak...

Załamał ręce idąc bez celu w las znajomą ścieżyną. Psy nienawykłe do nocnych wycieczek, z obowiązku towarzyszenia panu, powyciągawszy się, poszły za nim. Starszy siadł zaraz w bramie, niechciało mu się téj przechadzki, ziewał i był tego przekonania, że stary pan powrócić musi wkrótce. Młodszy pogonił za nim daléj trochę i siadł także burcząc bezmyślnie. I on był tego zdania, że fantazya pańska trwać nie może.

Tymczasem pan Krzysztof znikł im z oczu. Biegł jakby sam przed sobą uciekał.

Zszedłszy dopiéro z góry w dolinę ciemną i chłodną, stanął.

— Ale to szaleństwo — zawołał — ludzie ze mnie i ja sam z siebie śmiać się będą... Cóż mnie ma obchodzić wspomnienie? nic! Ten niegodziwy człowiek zażartował ze mnie, jak z dziecięcia, odgadł we mnie stare dziecko. Powinienem był przyjąć to zimno, nie dać znaku życia! Zamknąłem drzwi gwałtownie, mógł się domyśléć wzruszenia, szydzić będzie, i sprawiedliwie. Jestem dzieckiem mimo ostatków siwego włosa... Precz mary, precz!! dosyć.

Chciał się zwrócić miarkując krok ku zamkowi. Stał właśnie w miejscu, gdzie niedawno z nieociosanego dębu krzyż kazał postawić i nieopodal od niego ławę. Rzucił się na nią, czując się złamanym.

Nic nie mogło uwolnić od wspomnień, które go rojem obsiadły. Przeszłość stanęła przed nim tak żywą, jakby nie była przeznaczoną umrzéć nigdy i być pogrzebioną. Ujrzał się w rodzicielskim, pańskim domu, naówczas jeszcze otwartym

dla całego świata i ożywionym życiem, jakie za tamtych czasów panowało. Wychował się w świetnych nadziejach. Stary ojciec widział w nim przyszłą domu kolumnę. Pan Krzysztof gasił całą młodzież współczesną.

Rodzice Wandy mieszkali o granicę od Pobogowszczyzny: Dzieci bawiły się razem i zakochały się, gdy o miłości pojęcia mieć nie mogły. Było to uczucie, którego początków napróżno szukał Krzysztof w mrokach najpierwszych lat życia. Śliczna dzieweczka z jasnemi włosami na ramionach, figlarna, wesoła, z oczkami niebieskiemi, jakby we łzach pływającemi, miała zawsze uśmiech na ustach, a smutek w źrenicy. Ten dwoisty wyraz jéj twarzy, gotowy do wesela, przeczuwającéj boleść, tkwił mu w pamięci. Wiek nie zmienił rysów Wandzi, dziecię wyrosło na dzieweczkę, nie straciwszy ani uśmiechu, ani łzy z powieki. Wśród tych lat nikli, rozstawali się, gubili i znajdowali, zawsze z coraz żywszém uczuciem przywiązania do siebie. Dziećmi zaręczyli się z sobą, starsi zamilkli, nieśmieli mówić, wstydzili się, a kochali. Potém miłość wezbrała, urosła i wylała się przez usta, i Krzyś powiedział jéj, że ją kochał, kocha, i że ją jedną wiekuiście kochać będzie...

Rodzice widzieli może i widziéć nie chcieli; młodzi śnili przyszłość, ale czekać musieli. Wśród tych marzeń, jak piorun padła katastrofa ruiny majątkowéj Pobogów. Rodzice Wandzi, dla których Krzyś był niegdyś partyą dla córki pożądaną, przelękli się nagle ubóstwa. Wandzię płaczącą wywieziono z domu, Krzyś, na którego spadł ciężar cały ratowania resztek mienia, ledwie ją mógł pożegnać. Dała mu znać o wyjeździe, nie wolno mu było widziéć jéj w rodziców domu. Wieczorem, przez zagrodę sadu, do któréj przyszła Wanda ze starą ochmistrzynią litościwą, podali sobie ręce płacząc i poprzysięgając wiarę. Jak teraz, śpiewały słowiki przysiędze, świeciły jéj gwiazdy wieczorne, wonią wiosenną obwiało ją powietrze majowe. Dwie ręce drżące ścisnęły się raz jeszcze. Krzysztof po-

wrócił na domowe zgliszcza, walczyć z Pawłem, który go nie rozumiał i wierzycielami, co z niego korzystać umieli.

Wanda została mu wierną. Rok i dwa upłynęły. Naglili ją rodzice, piękność ściągała ochoczych do ręki dziewczęcia: odmawiała wszystkim. Niepokój ogarnął matkę, Wanda wyznała jéj spłakana, że przysięgi nie złamie. Po naradzie, ojciec panny, człowiek zręczny i wymowny, pojechał sam do Krzysia.

— Panie Krzysztofie — rzekł — pokochałeś waćpan córkę moją wówczas, gdyś miał co z nią podzielić. Ja jestem człowiek ubogi, jéj trafiają się świetne partye, Wanda się składa tém, że ci przyrzekła wiarę. Wymagam od ciebie, abyś jéj ze swym nie wiązał losem, abyś ją od przyrzeczeń uwolnił; żądam tego od ciebie, jako od człowieka uczciwego. Nie masz jéj dziś nic dać do podziału oprócz ubóstwa i życia w troskach. Jeżeli ją kochasz istotnie, uczyń z siebie ofiarę.

Romiński był zręcznym i wymownym człowiekiem, wprawdzie cała jego przebiegłość nie uratowała go téż od majątkowych kłopotów i ruiny, lecz wiedział z kim miał do czynienia, mówił do honoru i sumienia, Krzysztof napisał list do Wandy. List był warunkowy, malował jéj położenie, jakie ją czekało, nie krył walki, któréj przyszłość nie dawala uniknąć, zostawił jéj wybór i swobodę.

Użyli tego pisma państwo Romińscy bardzo zręcznie; Wanda płakała i rozpaczała, ale młode hrabiątko przez matkę prowadzone nie zrażało się łzami. Osobliwszą była miłość hrabiego Eugeniusza, który się kochał nie w Wandzie, ale w jéj piękności; nie szło mu o serce, chciał zaspokoić namiętność tak samo jak dałby był miliony pięknéj wieśniaczce z tym samym wdziękiem za zbliżenie się do niéj, — tu dawał rękę swą i imię, wiedząc, że inaczéj nie potrafi jéj pozyskać. Hrabia Eugeniusz był bogaty, a ojciec jego, naówczas jeden z ministrów za księztwa, człowiekiem wielkiego znaczenia.

Matka i ojciec użyli wszelkich wpływów i środków, by zmu-

sić córkę do zamążpójścia. Wanda poszła do ołtarza niewiedząc prawie jak się znalazła przed kapłanem, który udał może, iż posłyszał z ust jéj przysięgę. Dała się pociągnąć, jak ofiara, ale ust nie skalała obietnicą uczucia, którego dać nie mogła. Hrabia Eugeniusz szczęśliwy pochwycił biedną i uwiózł. Podróżowali długo. Wanda wyjechała posągiem milczącym, wróciła zrezygnowaną, smutną nieszczęśliwą niewiastą.

Tymczasem gorączka namiętna męża miała porę ostygnąć, nierozbudziwszy w żonie uczucia. Znajdując w niéj łzawe posłuszeństwo i odstręczającą uroczystą powagę ofiary, hrabia zraził się, a miłość swą, jeśli ją tak się zwać godziło, rozproszył na coraz nowe twarzyczki. Płochy, szalał, Wanda była szczęśliwszą, bo zapomniał o niéj i dozwalał jéj w ciszy i rezygnacyi życie sobie stworzyć znośne. Nie zawadzała mu wcale, a skarżyć się nie mógł na nią.

Kilkanaście lat pożycia nie zbliżyły wcale małżonków do siebie, przeciwnie, stosunek ich stał się jakimś urzędowym, obrachowanym, dla obojga dogodnym, ale coraz oddalającym ich od siebie. Hrabina musiała wielu rzeczy nie widziéć, nie rozumiéć wielu, Eugeniusz nigdy nie usłyszał od niéj z serca płynącego słowa.

Byli z sobą zgodnie, grzecznie, przyjaźnie, nigdy poufale. Niekiedy widok piękności téj, któréj rozbudzić nie umiał, drażnił hrabiego, usiłował się przymilić, zbliżyć, lecz zwykle miało to ten skutek, iż Wanda się od niego bardziéj oddalała. W ostatnich latach rozstali się zupełnie, gdy w jednéj z tych chwil, Eugeniusz usłyszał od niéj:

— Dwóch kobiet kochać nie można; hrabia masz Lolę... zostań przy niéj, nie jestem zazdrosna, rywalką jéj nie będę.

Lola należała do fraucymeru pani. Życie dosyć rozpasane, bujne, wesołe, zużyło wprędce hrabiego, dostał suchot. Żona odprowadziła go do Włoch, siedziała przy nim, pilnowała w chorobie, i zamknęła mu oczy. Biedny szaleniec, rozczulony

i rozkochany w niéj znowu, umierając przekazał jéj wszystko i zyskał w końcu łzę, która padła na stygnące oblicze. Wanda pożałowała w nim zmarnowanego życia ludzkiego i sił bezmyślnie na rozrywki sterganych. Serce rozbudziło się w nim, gdy śmierć przyśpieszała już bicie jego.

Ta część dziejów Wandy była dla pana Krzysztofa zakrytą. Dowiedział się późno, że wyszła za mąż, i skamieniał od téj wiadomości. Przyczyniła się ona do wyrobienia w nim postanowienia usunięcia się od świata. Oddawszy bratu co pozostało z majątku rodziców, wymówił dla siebie kawał lasu, z ruiną zamku od dawna niemieszkalną. Sam, siedząc w szałasie, pracował z ludźmi z miasteczka, by z tych murów zrobić schronienie. Szczęściem, gdzieniegdzie trzymały się dachy, sklepienia nie poopadały, mury były mocne i z pustki uczynić potrafił mieszkalną pustelnię. Ludzie w początkach wierzyć nie chcieli, aby w niéj mógł wytrzymać, dziwactwo to zdawało się im chwilowém, czekali rychło li uciecze z samotności, z niedostatku. Pan Krzysztof miał żelazny charakter i wolę niezłomną, powoli pracował nad sobą, aby z siebie nowego uczynić człowieka. Wyrobił w sobie pogardę świata, teoryę umyślną coby go usprawiedliwiała, pychę, coby go trzymać mogła. Przebywszy pierwsze ciężkie chwile, które praca mechaniczna skróciła, stwardniał tak starzejąc dziwakiem. Ludzie nawykli najprzód patrzéć nań, potém go wcale nie widzieli i zapomnieli o nim. Ciekawych odprawiał Staszuk zrazu, potém przychodzić przestali. Pan Krzysztof życie sobie ułożył i uczynił je znośném.

Dzienników, ani książek nowych nie czytał wcale, o tém, co się na świecie działo wiedziéć nie chciał, zatrzymał się, jak zégar na téj życia godzinie, o któréj pękła sprężyna. Wskazywał ją zawsze, ją jedną. Z ruiny, uratowanych paręset tomów, które się gdzieś w domu walały, zaszły za nim na pustelnią.

Ze świetnych studyów w kraju i zagranicą, została mu umiejętność języków; czytał więc biblią, klassyków, dzieje,

a czytał powoli i myślał nad niemi. Miał kilku ulubionych pisarzy, do których należał Horacy. W sypialni leżała odarta kronika Bielskiego i herbarz Paprockiego, w którym końcowych kart brakło. Na półkach były Sarnickiego Statuty, było wiele innych ksiąg starych. Niesieckiego umiał prawie na pamięć.

Z książkami spędzał część zimy, wiosnę i lato i jesienną porę w lesie. Las, który do zamku przyłączył, liczył około włók trzydziestu, przestrzeń była znaczna. Pan Krzysztof znał ją doskonale, pień niemal każdy był mu wiadomym. Nie przeszedł nigdy swych granic i jeśli zwierz mu o krok za nie wybieżał, nie poszedł za nim. Nie chciał mieć nietylko zatargów z sąsiadami, ale nawet stosunków i obowiązków dla nich. Wszyscy byliby mu chętnie pozwolili przechadzać się i polować w swych lasach, lecz nigdy z téj powolności nie korzystał.

Myśliwstwo z psem jednym było raczéj przechadzką i dumaniem, niż łowami. Lecz nieustanne to krążenie po jednym lasu kawałku nauczyło go wszystkich legowisk, ścieżek, gniazd i tajemnic ostępów.

Gdy miał ochotę polować, szedł na pewno do swych kniei, jak do śpichlerza i przynosił, co mu się podobało. Grubszego zwierza znał pan Krzysztof legowiska, liczbę, przybytek i straty. Czynili mu szkodę zakradający się złodzieje, lecz gdy parę razy uczyniwszy zasadzkę, strzelby im połamał, poznawszy go, nikt się nie ważył polować na Pobogowszczyznie.

Na trzydziestu tych włókach było podostatkiem wszystkiego: łąk leśnych, błot, zapustów, gąszczy i przetrzebionych sosen i moczarów. Zarost był bardzo rozmaity, wartość drzewa różna. Niekiedy sprzedawał coś z tego pan Krzysztof, pilnując sam wyrębu i wywozu. Łąki się najmowały biednym ludziom, susz i powały dawał darmo, aby mu las oczyszczali, drzewo na opał szło do miasteczka zimą.

Do zabaw należało sianie i sadzenie na przetrzebionych gruntach, które się pod okiem pana prowadziło. Las ten stano-

wił rozrywkę, przywiązał do siebie pana Krzysztofa, las go ocalił od znękania taką samotnością bez przyszłości i nadziei. Na całéj jego przestrzeni nie było żadnéj osady, choć mu się tu stręczyli budnicy, ale się ich lękał, boby pustynia przestała być tém, co w niéj kochał: ciszą i pustkowiem.

W rozmaitych miejscach postawione szałasy i budy służyły mu za schronienie, gdy chciał na noc w lesie dla cietrzewi lub rannych słomek pozostać. Przez moczary i jedną część Pobogowszczyzny biegła mała rzeczułka, zwana Czarnym Prudkiem. Wstrzymana w jedném miejscu, rozlewała się w rodzaj stawku, na którym mieszkały stada kaczek dzikich. Na skraju od granicy, kawał gruntu świeżo wydartego, ze ściśle określoną używalnością, dał na czynsz pan Krzysztof ubogiemu szlachcicowi, polecając mu z téj strony straż swoich posiadłości.

Stało się to przed sześciu laty w sposób dosyć oryginalny. Jednego poranku, gdy pan Krzysztof wyszedłszy do dnia w las, okrążał granicę po nad którą przechodziła droga i kędy mu najwięcéj i najłatwiéj szkody robiono; postrzegł nędznie ubranego człowieka z siwiejącym zawiesistym wąsem, który na pieńku usiadłszy i sakwy przy sobie położywszy, zajmował się sznurowaniem nowéj pary postołów. Uderzyła go twarz przechodnia, wychudła, ale spokojna i rysów szlachetnych. Typ jéj dziwnie od łachmanów odbijał, piękny był, niepospolity, przypominał głowy starców na obrazach szkół włoskich.

Starość przedwczesną wypiętnowały na niéj widocznie praca i cierpienie. Spojrzeli na siebie wzajemnie, podróżny pozdrowił go starym obyczajem, chwałą Chrystusową. Pan Krzysztof się zatrzymał.

— Dokąd-że to idziecie? — mój człowiecze?

— W świat — odparł zawiązujący postoły...

— Jakto w świat?

— Inaczéj odpowiedziéć trudno — rzekł czystą polszczyzną

zaczepiony — idę w istocie sam niewiedząc gdzie mnie oczy i losy zaniosą.

— Cóż to? nie macie kąta?

— Miałem go, ale wytrwać w nim trudno, trzeba innego szukać — rzekł podróżny.

Pan Krzysztof usiadł naprzeciw na drugim pieńku i słuchał.

— Jakże się zowiecie, zkąd idziecie?

— Nazywam się Tadeusz Wilczek — rzekł siedzący — szlachcic jestem, siedziałem na budkach w Skowronkach, ale tam wyżyć nie mogę. Dziedzic się obchodzi z czynszownikami jak z bydłem, a jam do tego nie nawykł.

— Macież dowody szlachectwa? — zapytał rozmiłowany w szlachecczyznie pan Krzysztof.

— A jakże, i heroldya mi je potwierdziła. Niedawno jeszcze w Podlasiu mieliśmy wioski, a teraz ani piędzi ziemi na grób — mówił Wilczek. — Zeszło się niezdolnemu do niczego na chłopa, ludzie się téż jak z chłopem chcą obchodzić, ale ja tego znieść nie mogę. Długoby o tém gadać było, jak Wilczki do tego przyszły, że się z niemi gorzéj, jak ze psy obchodzą.

Od tych słów poczęła się dłuższa rozmowa, szlachcic się Krzysztofowi podobał, bo miał niedogasłą w sobie butę szlachecką i wiele dziwactw wylęgłych z niedokończonéj w szkołach nauki. Nasienie w chwast się przerodziło bujając, ale piękne przybierało czasem kształty. Szlachcic życia nie rozumiał dobrze, lecz je sobie po myśli jakiéjś tworzył, co się ku górze wspinała. Był to samorodny filozof w siermiędze, który wiele odgadł, przedumał i wysmażył wśród trudu ciężkiego.

Pan Krzysztof dowiedział się od niego, że miał żonę i dziecię, ulitował się nad nim, i na myśl mu przyszło, osadzić go u siebie. Szlachcic szlachcicowi winien był podać rękę w imię staréj solidarności całego rodu, który był jakby jedną niegdyś, choć niesforną, rodziną.

Poszli więc zaraz powstawszy obaj z pieńków, oglądać miej-

sce, które obrał już w myśli pan Krzysztof na przyszłą dla Wilczka sadybę. Polanka na granicy lasu bardzo się podobała wędrowcowi, umówiono warunki, stanęła zgoda i Wilczek poszedł do zamku, aby się obszerniéj rozmówić.

Ci dwaj ludzie cale różnych stanów i wychowania, przypadli do siebie dziwnie, szlachcic się do pana Krzysztofa przywiązał całą siłą wdzięczności, a on pokochał go, jak się kocha zwykle tych, którym się coś dobrego uczynić mogło. Bywało więc często, iż przychodził pod nową chatę pan, a Wilczek stawał mu do długiéj rozmowy, którą się obaj tak prowadzić nauczyli, iż jeden drugiego nie raził.

Żona Wilczka była jedną z tych spokojnych niewiast, którym nędza nie wyjadła serca. I ona pokochała tego smutnego starca, przed którym drżała, ale który sam jeden na szerokim świecie jéj męża potrafił ocenić. Oprócz ich dwojga w chacie był chłopak, sierotka jakiś, co się na dziecko własne wychował, i córka Wilczków Dosia, dziewczę szesnastoletnie. Tę, sam ojciec wychował i uczynił z niéj, żywem słowem ją karmiąc, istotę osobliwszą, w któréj się pokora matki i ojcowska buta, a myśl żwawa i niespokojna łączyła. Dosia nie była wcale pięknością, ale wzrosła w pracy i młodością silną kwitła. Miło było spojrzéć na nią, tak wdzięczne kształty nadawało jéj to życie w ruchu, na powietrzu, w ciągłém zajęciu i potrzebie myślenia o sobie, strzeżenia siebie. Siwe jéj oczy patrzały roztropnie i ciekawie; twarzyczkę miała poważną, zamyśloną, uśmiech jakiś smutnawy; milczała chętniéj, niż mówiła, lecz gdy była zmuszoną otworzyć usta, odzywała się zadziwiająco roztropnie. Ojciec z dziecka ją zarzucając pytaniami, do których rozwiązywania się przykładał, myśléć nauczył.

Cały dzień Dosia pomagała matce lub usiłowała ją wyręczyć, pozostały czas trawiła nad krośnami; Wilczek nauczył ją czytać i pisać, ale nadewszystko wpoił jéj poszanowanie tego stanu, do którego należała. Czuła się.. córką szlachecką.

Dosyć dumnie też nosiła główkę i patrzała śmiało, a choć ludzką była dla wszystkich i uprzejmą, nie łatwo się do siebie zbliżyć dawała. Pan Krzysztof lubił się patrzéć na to rozwijające życie, na ten wdzięk młodości, który tak prędko więdnieje, na tę zagadkę kwiatu, co się ma stać uschłą łodygą i stracić niewysłowiony wdzięk dni wiosennych.

Dosia szanowała go jak ojca; przychodzącego zwykle całowała w rękę, i byładlań z respektem wielkim. Wszyscy zresztą w chacie kochali go niewymownie, mimo, że czasem ostry bywał, milczący i nieprzystępny.

Wilczek, wziąwszy na siebie obowiązki leśniczego, piastował je z gorliwością niemal przesadną. Cały dzień ze strzelbą na ramieniu pilnował granic, ścieżek, a najdalszy i najcichszy odgłos siekiery w lesie nieuszedł jego ucha. Obawiano się go naokół, nie lubiono, bo sumienny człowiek, choć ubogi, niczém w świecie skompromitować się nie dawał. Nosił się wysoko ze szlacheckiem sumieniem. Na niego pan Krzysztof mógł się spuścićzupełnie. Z kolei dozwolił mu utrzymywać bydło, które się szczęśliwie rozprowadziło; trochę owiec, trzody, konia; potém grzyby suszone, jagody i tym podobne leśne zbiory odstąpił na korzyść leśnika. Gospodarni ludzie umieli z tego grosz zrobić, działo się im bardzo dobrze.

Na korzyść pana postarał się Wilczek o pszczoły i pozakładał barcie, które się nadzwyczaj wiodły. Nieopodal znajdowały się pola, na których hreczkę siano, w lesie było lip dosyć, miały się więc gdzie pożywić pracowite bartniczki. W kilka lat rozprowadzone roje, w dziuplach i barciach doszły do poważnéj liczby kilkudziesięciu. Dochód z nich wielce się przydał panu Krzysztofowi, któremu o grosz gotowy bardzo było trudno, część jednak jego odstępował Wilczkowi.

To spokojne życie, co tak jednostajnie mu tu płynęło, które się spodziewał dokonać w ciszy lasów, nagle zmąciło słowo jedno.

Pan Krzysztof siedział na ławie, płonęła mu głowa. Młodszy z psów jego, przywlókł się tu aż pod krzyż za nim, pysk mu na kolanach położył i drzémał.

Wczesny poranek wiosenny już nad lasami brzaskiem się zwiastował, gdy z dumań swych przebudzony, podniósł się wreszcie biedny samotnik. Wilgoć nocna i nieruchome siedzenie na ławie, bezsenność i odnowione bolesne wspomnienie, złamały go tak, iż powstawszy na nogi zadrżał i zachwiał się. Młodość poruszała sercem jeszcze, a wiek przypominał sił utratę.

Podniósł oczy, dziwnie mu się wydało to miejsce, do którego był nawykł od tak dawna. Niemal się zdziwił znalazłszy się na téj ławie pod krzyżem, gdy myślą był daleko ztąd, jakby wczoraj ścisnął dłoń Wandzi płaczącéj.

— Precz mary precz widma mogilne! — zawołał — po co wracacie? Oto dzień, światło, rzeczywistość, życie... noc uchodzi... niech was z sobą uniesie. Co umarło nie odżyje, młodości nie wskrzeszą łzy. Szukajmy pokoju, zapomnienia, ciszy. Lata jak kamienie przywaliły przeszłość. Dość łez... trzeba męztwa.

I krokiem szybkim poszedł ku zamkowi.

ROZDZIAŁ III.

Nazajutrz nie o swéj godzinie zwykłéj wstał i wyszedł z sypialni pan Krzysztof. W pierwszéj izbie stary sługa już był oddawna przygotował skromne śniadanie, pootwierał okna, świeże kwiaty poustawiał w otłuczonych puharach starych i chodził dosyć głośno, aby pana, o którego długi sen był niespokojnym, przebudzić. Pan Krzysztof nie spał dawno, siedział zamyślony, zapomniawszy o śniadaniu. Zniecierpliwiło go w końcu stukanie i wyszedł.

Spojrzeli na siebie; starego sługi oczów nie uszło iż wieczór i noc niezmiernie pana zmieniły, był blady, spokojne rysy jego twarzy, wypogodzonéj i surowéj, namiętnie się pofałdowały i ściągnęły, oczy biegały jakby przelękłe. Poszedł wprost nic nie mówiąc do stolika. Staszuk wysunął się po herbatę. Kawałek razowego chleba i sztuczka masła były zwykłą ranną przekąską anachorety. Dziś mu się ani pić, ani jeść nie chciało. Był cały wzburzony i nie rad z siebie; czuł się wyrzuconym ze zwykłego toru życia; dręczyło go, że panowania nad sobą odzyskać nie mógł; poświęcić pracy nad sobą pół życia i widziéć ją zburzoną w końcu, upokarza człowieka.

Ze wzgardą patrzał we własne serce.

Co począć? czém się leczyć! nie wiedział sam. Zostawić czasowi ukojenie? Tak; lecz tymczasem potrzeba było cierpiéć.

Umysł ludzki i serce, które w potrzebie posługują się chętnie sofizmatami, nastręczały mu uporczywie myśl, którą odtrącało sumienie, jako fałszywą i niebezpieczną.

Pan Krzysztof rozumowaniem niby doszedł do tego, że mógł się uleczyć od wspomnień, idąc sam naprzeciw rzeczywistości, stawiąc jéj czoło, jednóm słowem, starając się widziéć Wandę.

— Musiała się tak zmienić jak ja; serce, lice, myśli, charakter, nie mogły przetrwać próby czynnego życia, nie przerastając w coś innego. Zabiję starą miłość widokiem zmienności człowieka.

Myśl ta, chociaż uparcie wracała, odepchniętą została, pan Krzysztof po śniadaniu, chociaż się czuł osłabionym, postanowił wyjść w las i znużeniem ciała uspokoić duszę. Śpiesznie wypił filiżankę herbaty, wstał i zabrawszy torbę i strzelbę, świsnął na Hermesa młodego, który nań czekał niecierpliwie i szczekaniem niecierpliwość swą tłómaczył.

Już stał w ganku pan Krzysztof, gdy z bramy ujrzał wysuwającą się postać nieznajomą, idącą powoli ku zamkowi. Gość był tu tak rzadkim, że pan Krzysztof niemal osłupiał zobaczywszy go. Mocno zniecierpliwiony cofnął się natychmiast do sieni, zawołał Staszuka i z największą w głosie gorączką, zawołał:

— Jest ktoś obcy, idź-że mu powiedz, że ja nikogo nie przyjmuję, że mnie nie ma, pokaż mu drogę, daj mu co zechce, byleby mi pokój dali.

To mówiąc cofnął się w głąb' sieni. Staszuk pogładziwszy łysinę, z powagą ambassadora wyszedł w ganek. Nieznany gość stał właśnie wśród pustego dziedzińca i rozglądał się do koła.

Był to mężczyzna mniéj więcéj w wieku pana Krzysztofa, lecz wcale od niego różnéj powierzchowności i aż do zbytku na lata, jakie miał, wytwornie ubrany. Twarz zachowała niewiele świeżości, lecz znać było niezmierne staranie, aby zaradzić

wyrządzonym przez wiek szkodom. Wąsik po młodemu podkręcony do góry z pewną fantazyą, nadawał wyraz rycerski fizyognomii nieco pomarszczonéj, dosyć rumianéj i wesołéj. Małe oczki biegały żywo i razem z ustami śmiały się, pewnym rodzajem tego konwencyonalnego, zalecającego się uśmieszku, którego ludzie się uczą ciągle będąc na świecie i starając się drugim przypodobać.

Uśmiech ten nie oznaczał wesołości, może trochę zawierał szyderstwa, co się w zmarszczkach koło ust kryło, był strojem twarzy i szyldem łatwego charakteru. Rysy dosyć ładne mimo zwiędnięcia, nie mówiły zresztą wiele, oprócz, że człowiek co je nosił, był niegdyś pięknym, dobrze o tém wiedział i do dziś dnia pamiętał.

Surducik ranny, kamizelka, kapelusik na bakier, samo sztywne trzymanie się przybyłego, czyniły go mimo lat młodym. W ręku trzymał laseczkę bardzo elegancką i jedną rękawiczkę.

Gdy Staszuk pokazał się w ganku, szybko uchwycił wiszące na sznureczku szkiełko i przez nie spojrzał na niego. Stary się skrzywił, mocno mu się to niepodobało. Bez szkła widział, że to był ktoś nieznajomy i natręt, postanowił go bez litości odprawić. Zszedł ze wschodów i milczący przybliżył się do stojącego gościa, na którego psy zdala szczekały.

— Powiedziano mi, że tu mieszka pan Krzysztof Pobóg? — spytał.

— Albo co? — rzekł Staszuk kładąc ręce w kieszenie.

— Chciałbym się z nim widziéć!

— Pan się niewiduje z nikim.

Rozśmiał się gość.

— Ale mój kochany, z nikim? ba! jak z kim, ze mną się musi zobaczyć!

— A kiedy z nikim się nie widuje!

Ruszenie ramionami odpowiedziało.

— Ciotecznym bratem jestem; powiedz mu, że przybył Teodor Męczyński.

— Komuż ja to mam powiedzieć, kiedy pana nie ma w domu.

— Nie ma w domu? kogóż widziałem w ganku wchodząc? — zapytał pan Teodor.

— Albo ja wiem — mruknął sługa — dosyć, że pana nie ma, pan na polowaniu.

— Na polowaniu? Kiedyż wróci?

— W nocy może, albo jutro, a czasem i tydzień w lesie nocuje, jak od fantazyi, przecież mu to wolno.

Pan Teodor okręcił się nic nie mówiąc.

— Wiem — rzekł kwaśno nieco — iż Krzyś nie lubi ludzi, ale co innego ludzie tam jacyś, a ja... ja się z nim widzieć muszę. Żeby go nie miało być w domu nie wierzę. Idź mu waćpan powiedz, że przyjechał Męczyński, i że się z nim widzieć żąda koniecznie.

Staszuk stał nie ruszając się.

— Nie wiem gdzie pan — rzekł w końcu.

— Dobrze, więc daj mi gdzie spocząć, czekać będę aż powróci.

— Wszystko pozamykane, pan klucze zabiera, tu się nie ma gdzie podziać.

Pan Teodor roześmiał się i przeszedł po dziedzińcu.

— To zabawne — zawołał — to prawdziwie zabawne! Mówili mi wiele o jego dziwactwach, ale tegom się nie spodziewał. Bardzo oryginalne.

To mówiąc, dobył cygara z kieszeni surduta i bacznie się mu przypatrując, rozpoczął przygotowanie do palenia, jakby już Staszuka nie widział. Systematycznie bardzo poślinił, obciął, obwinął kończyk cygara, dobył zapałek i pociągnąwszy parę razy, zwolna w dziedzińcu rozpoczął przechadzkę. Staszuk stał na straży od ganku. Zdawał się namyślać co począć.

W lewo była część kamiennego muru obalona, i kupa kamie-

ni przy niéj, swobodnie się tu rozgościł i siadł pan Teodor, jak w domu. Oglądał przez szkiełko zamek, patrzał na stojącego Staszuka i oddychał miłém wiosenném powietrzem.

Stary sługa, którego środki obronne się wyczerpały, stał mocno zmięszany, nie umiejąc już radzić. Chciałby był do pana pójść po radę, ale miarkując z obejścia się pana Męczyńskiego, można go było posądzić, że z nieobecności skorzysta, aby szturmem wtargnąć do domu. Staszuk pomyślał, że w poufalszą wdając się rozmowę, może przekonać wreszcie natręta, iż upór do niczego nie doprowadzi. Począł więc kołując, z pozorną obojętnością, zbliżać się ku siedzącemu, który nań wcale nie zważał.

— Pan nie rychło powróci — począł po cichu — wczoraj bardzo się zniecierpliwił i namęczył, to teraz jak w las uciekł, nie prędko go się doczekamy.

— Hm! tak sądzisz? — spytał Męczyński. — Postarzał bardzo?

Staszuk na to niechciał odpowiadać.

— Pan ludzi nie lubi — rzekł cicho — a tu właśnie wczoraj zmuszony był z panem Pawłem się.... się tego.....

Niechciał, czy nieumiał się wyrazić Staszuk... i powtarzał się tego.

— A! był wczoraj pan Paweł... — rzekł Teodor — osobliwszy traf, że ja zaraz po nim przyjechałem, wolałbym go był wyprzedzić, ale co innego Paweł, z którym nigdy dobrze nie byli, co innego ja, którym go kochał jak brata.

— Ale kilkanaście lat pana tu nie było.

— A tak! tak, zagranicą i różnie się włóczyłem, w kraju téż nie mieszkałem, a na listy nigdy mi nie odpowiadał.

— Nikomu — odezwał się Staszuk — to u nas prawo... a co listów jaśnie pan nieczytając w komin porzucał.....

Teodor spojrzał.

— Cóż mu to? bzik? co?

— Chowaj Boże — odezwał się oburzony sługa — dla czego ma być bzik? My z ludźmi nie żyjemy i żyć nie chcemy... Jak co komu służy.

Ta liczba mnoga i powaga Staszuka snać rozśmieszyły gościa, który wyjąwszy z ust cygaro, patrzał przez szkiełko, bawiąc się starym...

— Dalipan! to przedziwne! *c'est unique!*

Staszuk z powagą zawtórował:

— Unika, tak... unikamy ludzi i dobrze nam z tém.

— A z kimże żyjecie? — spytał Teodor.

— Z lasem i z Panem Bogiem — rzekł sługa.

Teodor się śmiał ciągle.

— Komedya! — zawołał — komedya. — I te kilkanaście lat całeście tu tak przesiedzieli?

— A cóż —?

Podróżny wstał z kamieni i chodząc spoglądał na okolice.

— Bardzo to ładne... dzikie... ciche — ale tu żyć, w téj ruinie.. Cóż? seryo go widziéć nie będę?

Staszuk ramionami ruszył.

— Już to darmo... gdyby go pan i zastał, to by uciekł. Cóż mu zrobić, kiedy nikogo niechce.

W milczeniu znowu dziedziniec przeszli, i pan Teodor znalazł się w ganku. Nie mówiąc nic Staszukowi, począł wchodzić po wschodach bez ceremonii. Stary sługa był w najokropniejszém położeniu; niepodobna mu było odpędzić, wzbronić.. a w sieni o dwa kroki mógł się oczekujący na odprawę gościa, znajdować pan Krzysztof. Gość zajrzał w sień pustą i na wschody rzucił okiem.

— Co za pustka! — rzekł obojętnie — a wy, mości, jakże się zowiecie? wy gdzie mieszkacie?

— Stanisław Chwościcki, do usług — odparł stary — ja tam mam swoją dziurę...

— Niemożna u was spocząć?

— To już panu tu lepiéj... tu lepiéj.

Nie słuchając odpowiedzi, Teodor do sieni wszedł i po niéj rozpoczął przechadzkę, po sklepieniach rzucając oczyma.

— Styl to ma! ale dziura! ruina! — mówił jakby sam do siebie i doszedłszy do wschodów, zamyślony już się wspinał ku górze.

Drzwi na górze były otwarte. Staszuk wyprzedzić nie mógł, by je zamknąć, a ów brat cioteczny żadnéj nie robił ceremonii i o pozwolenie pytać nie myślał.

Staszukowi czoło się pofałdowało.

— Ale tam na górze nie ma nic — pozamykano.. proszępana.

— Drzwi ci nie wyłamię, chciałem się trochę rozpatrzéć — rzekł spokojnie przybyły.

Nie było sposobu.

Krok za krokiem, zwolna wsunął się aż do drzwi mieszkania Krzysztofa gość, pocisnął starą klamkę i rzekł:

— A widzicie — otwarte.

Staszuk już nic nie odpowiedział — o burzy myślał, która nań spaść miała. Co się stało z panem, nie wiedział. Rzuciwszy okiem na przedpokój, tak samo jak drzwi pierwsze, otworzył sobie drugie podróżny, i stanął w progu.

Naprzeciw niego, zrzuciwszy już strzelbę z ramienia i torbę, z twarzą gniewną, stał pan Krzysztof. Śmiejące się rysy pana Męczyńskiego przybrały jak najweselszy wyraz, otworzył ręce i krzyknął.

— Krzyś! Krzyś! nie poznajesz mnie?!

Dziwnym, a może dla obu niespodzianym fenomenem, pan Krzysztof, który chciał się gniewać, który miał jak najmocniejsze postanowienie odepchnąć natręta, poznawszy Teodora, może wczorajszemi wspomnieniami rozkołysany, złagodniał.

— Teodor! ty tu! — odparł.

— Ja! ja, mój Krzysiu! po wielu przygodach.. na rodzinnéj

ziemi, nieco podszarzany włóczęga... O mój Boże! cośmy to przeżyli.

— Cośmy przeżyli! — powtórzył Krzysztof — i widzisz jak mnie znajdujesz.

— A! to dla mnie nie było zupełną niespodzianką; mówiono mi, spodziewałem się nieco. Twój towarzysz wygnania i wierny sługa, wraz z dwoma psami, chcieli mnie koniecznie wypędzić; nie dałem się, byłem pewny, że przecież klauzura, jakiéj się poddałeś, nie zabroni ci widziéć się i mówić ze mną.

Postąpił bliżéj, podali sobie ręce; pan Krzysztof uczuł się słabym i uległ.

Wprędce jednak przyszło mu na myśl, iż rozmowa i widzenie się z Teodorem na nowo wspomnienia ożywić i rozbudzić mogą, podchwycił więc z rodzajem niecierpliwości:

— Niepotrzebnie jednak ciekawość cię tu sprowadziła.

— Nie ciekawość, ale przyjaźń.

— Dziękuję ci — ale mi oddasz niewielką usługę — ja chcę o wszystkiém zapomniéć.

— Dla czego? — zapytał siadając wygodnie pan Teodor.

Pytanie to długo zostało bez odpowiedzi.

— Znasz ty nasze dzieje? — rzekł w końcu z pewną patetycznością samotnikom właściwą, gospodarz. — Przybiła mnie ruina rodziny, któréj zaradzić nie mogłem, przybiło postępowanie brata.. wszystko.. Pragnąłem odzyskać spokój, znalazłem go w tym grobie, nie należę do świata żywych... jestem trupem; a trupa się budzić nie godzi, bo on się światu nie zdał na nic, a wracając doń, cierpi.

— Bardzo pięknie to powiedziałeś — ozwał śmiejąc się pan Teodor — *c'est charmant, mais c'est exagéré*. Jesteś jakiś ekscytowany. Wiem, że tu wczoraj był Paweł, to cię wzburzyło.. uspokój się, ja ci przeczyć, ani się sprzeczać nie będę. *A votre aise* — kończył. — Każdy sobie obiera tryb życia, z jakim mu lepiéj. Ale cóż znowu tak bardzo masz przeciwko Pawłowi?

— Wszystko! wszystko! — począł Krzysztof. — Paweł szlachcicem nie jest, zerwał z tradycyami rodzinnemi, zawalał się, zbrukał... brata w nim nie mam ! Handlarz jest, żyd...

Męczyński się uśmiechał.

— Ale mój Krzysiu — rzekł — gdybyśmy tę naszę godność nosić chcieli i okrywać podartym płaszczem, musielibyśmy, jak ty, żyć na pustyni. Chcesz, by ci nie broniono postępować jak ci się podoba, zostaw drugim tę swobodę. Paweł, jak słyszałem, odzyskał i odrobił całą fortunę. Nie widziałem go dotąd. Wróciwszy do kraju, do ciebie pierwszego przybywam.

— Nie widziałeś Pawła?

— Nie — mówił Teodor — nie śpieszyłem z tém. Nie mam dla niego i nie miałem nigdy téj sympatyi, jaką od dzieciństwa zachowuję dla ciebie. Kilkanaście lat nie byłem w kraju, wiész, że żyłem zagranicą. W końcu trzeba było Zieleniewszczyznę zobaczyć, i co tam dzierżawca robi, bo by się już miał za dziedzica...

Krzysztof zmilczał.

Po chwilce gość mówił daléj, jakby dziwactwo Krzysia nie wchodziło wcale w rachunek, rozmawiał z nim, nie zważając na nie.

— I ja téż po powrocie prawie tu jak ty jestem obcym. *Je suis depaysé*... ludzi z moich czasów mało zostało.

Ciągłe milczenie pana Krzysztofa nie zrażało gościa; począł przechadzać się z cygarem po pokoju i oknami wyglądać.. Oczyma gospodarz chodził za nim.

— Tą twoja pustelnia, biedna, odarta, ale wcale ładna.

Odwrócił się i uśmiechnął.

— Wystaw sobie... Wandzię twoją widziałem!

Na te słowa Krzysztof się porwał i wybuchnął:

— Dla czegóż moją ! proszę cię, ani słowa !

— Dziwactwo ! — mówił Teodor.

W téj chwili odwracając się, spojrzał mimowolnie na twarz

Krzysztofowi, przeląkł się i umilkł... Krzysztof stał w płomieniach i nagle zbladł jak trup, drżał cały.

— Przepraszam cię — nie wiedziałem, że to na tobie takie uczyni wrażenie ; milczę...

Zdaje się, że te słowa spokojnie wyrzeczone, uspokoiły nieco gospodarza, który ręką powiódł po czole i chcąc przerwać rozmowę, spytał czy nie będzie co jadł pan Teodor.

— Nic osobliwego dać ci nie mogę, bo żyję jak anachoreta — począł uśmiechając się z przymusem — ale chléb i masło, herbatę, a może słomkę z wczorajszego polowania znajdziemy.

— Nie byłbym od tego, żeby co zjeść — niechcę cię nudzić tylko — odezwał się Teodor. — Wiész co, przyjąłeś mnie i tak wyjątkowo, łaskawie, po bratersku, uczyń dla mnie jeszcze jeden wyjątek. Zamiast się kłopotać przyjęciem, usiądź ze mną do powozu, jedź do mnie. Nikt u mnie nie bywa, nie przyjmę nikogo, pogadamy z sobą... tu... tu...

— Wiem, że tu niewygodnie i biednie — odparł żywo Krzysztof — ale, daruj mi, jechać nie mogę. Nie jeżdżę nigdzie, nie wychodzę za kraj mojego lasu.. nie chcę oko w oko stanąć znowu z miejscami, co mi przeszłość przypominają.

— To słabość — przerwał pan Teodor — jesteś pewnie silniejszym, niż ci się zdaje, mój Krzysiu, tyle lat! tyle lat!

— Słuchaj — zawołał gospodarz — dla ciebie to były długie lata wrażeń, ruchu, życia, dla tego one w tobie wszystko zatarły. Ja żyłem zasklepiony, i dzisiejszy dzień graniczy jeszcze we mnie z katastrofą przytomną mi, jakbym ją przeżył wczoraj dopiéro. Czas jest warunkowym, dla jednych długim, krótkim dla innych... nieruchomym dla tych co mu płynąć dają, nic na nim nie zapisując.. Dla tego ja drażliwym jestem, jestem nieszczęśliwym — i...

Przerwał pan Krzysztof nagle, chociaż brat słuchał go z uwagą. Spostrzegł uśmiech na jego ustach — uląkł się.

— Nie śmiéj się ze mnie — zamknął.

— Ja? z ciebie? mój Krzysiu; ja chyba z siebie się śmieję; ty dla mnie jesteś fenomenem uwielbienia godnym! Jam zestarzał, tyś młody... w tobie zaoszczędzone uczucia grają jeszcze pieśń poranną, we mnie cisza nocna; ja nic nie czuję, mnie nic nie obchodzi.

— Tego ci zazdroszczę — odparł Krzysztof.

— Wpadliśmy na rozmowę, która nas obu zachmurzy — począł Teodor — zmieńmy ją.

Zamilkli obaj. Gospodarz zawołał Staszuka i coś mu szepnął na ucho; stary, który się wybuchu spodziewał, popatrzał na obu i niezmiernie był zdziwiony, widząc ich w tak dobrym stosunku. To go ucieszyło; pobiegł co rychléj z rozkazami pana i zostawił ich samych.

Co się działo ze zdziczałym mieszkańcem zamczyska, wyrazić trudno; zrazu czuł się wzburzonym mocno, zwolna uspokajało się w nim wszystko; czuł się pociągnionym do Teodora i obawiał się go razem, lękał się bowiem, ażeby mu z sobą zmiany życia nie przyniósł.

Teodor ze swym uśmiechem ironicznym przypatrywał mu się ciekawie.

— Wiész — rzekł — nie mogę powiedzióć, żebyś nie postarzał trochę; lecz, doprawdy, zachowałeś w twarzy nawet więcéj młodości nademnie. Wyglądasz dobrze, jak na anachoretę co żyje o razowym chlebie, na mnie znać, żem lat tyle zmarnował... ty i ona...

Krzysztof brew namarszczył ostro, Teodor zamilkł.

— Mój Krzysiu — odezwał się, spojrzawszy mu w oczy — dawno pewnie miłość twa ostygnąć musiała; dla czegóż o niéj wspomnióć nie dozwalasz?

Ta uwaga może sprawiła, iż gospodarz odwrócił się, udając obojętność.

— Mów — rzekł sucho.

— Wystaw sobie, żem przybywszy tu, dopiéro o losach téj pięknéj Wandzi się dowiedział... Eugeniusza znałem, dziwi mnie, żem się z niemi nigdy zagranicą nie spotkał. To musiała być nieszczęśliwa kobieta, bo Zenio, doskonały chłopak w męzkiem towarzystwie, *bon garçon dans toute l'acception du mot*, na męża dla tak poważnéj kobiety, a nawet dla żadnéj, nie był stworzony. Był doskonałym w rolach kochanków i to nie długich! Zmarło mu się słyszę na suchoty... ale téż żył... żył... Co ta kobieta z nim wycierpiéć musiała... Mój dzierżawca, prosty ale bardzo roztropny człowiek, który mnie bawić usiłuje, i u którego o wszystkich rozpytywałem, pierwszy mi o jéj losach dał wiadomość. Ciekawość mnie wzięła okrutna tę śliczną Wandzię zobaczyć, po tylu latach.

Pan Krzysztof na pół zwrócony ku oknu, choć słuchał, udawał że był swoją fajką zajęty, kilka razy zmierzył go oczyma mówiący, i ciągnął daléj, widząc, że się uspokoił.

— Wyobrażałem ją sobie zmienioną... Dwie mile ogromne odemnie do Zamostowa... opętane... Wybrałem się rano, przybyłem około południa... miejsce musisz znać...

— Przed wieki przejeżdżałem parę razy — cicho, spuszczając głowę, zamruczał Krzysztof.

— Jabym miejsca nie poznał — ciągnął pan Teodor — zmieniło się na korzyść. Pałac stary wyświeżony, park przepyszny, rezydencya pańska, a wszędzie znać tę rękę niewieścią, co chce i musi tworzyć piękno i niém się otaczać. Kazałem się zameldować; wprowadzono mnie do salonu, po dość długiem oczekiwaniu — wyszła.

Krzysztof się mimowolnie odwrócił i począł patrzéć jak w tęczę na Teodora, który ciągnął daléj obojętnie.

— Wiész, żem osłupiał; nic nie straciła piękna Wandzia, stała się tylko najpiękniejszą w świecie Wandą; poważnie, smutnie powitała we mnie dawnego znajomego. Znalazłem przy niéj

tylko jakąś daleką krewnę, podobno starą pannę i w pretensyach... Dziwna jéj piękność zdaje się nieśmiertelną; ten sam uśmiech ust i łza w oku, ten głos jakiś...

Gospodarz odwrócił się i przerwał.

— Mój Teodorze, dosyć tego opisu, proszę cię...

— Kończę... nie mówiliśmy tylko o rzeczach obojętnych. Wydała mi się zrezygnowaną i prawie szczęśliwą...

Dla obu w porę oznajmił Staszuk na prędce stworzone śniadanie; wyszli więc do pokoju naprzeciw.

Uderzyło gościa ubóstwo i opuszczenie.

— Chyba dobrowolnie — rzekł — tak się obchodzisz małém.

— Nie — odpowiedział z dumą Krzysztof — mam mało, nawykłem do małego i szczęśliwy jestem, żem się nauczył nie potrzebować więcéj. Wasz wiek wzgardził stoicyzmym starożytnych i chrześciańską skromnością obyczaju, uczyniliście się niewolnikami nałogów i potrzeb sztucznych. Pragnęliście niemi pomnożyć liczbę wrażeń i rozkoszy, stworzyliście tylko cierpienia więcéj.

— Maksymy anachorety — rozśmiał się Teodor — ja ci się przyznam, że i zbytek lubię, i życia radbym używał.

— Jesteś jak wszyscy...

Śniadanie w istocie mogło wywołać tę uwagę; w domu była wprawdzie słomka i tę upieczono, ale do niéj tylko chleb razowy, masło i jaja dodano. Wszystko to na otłuczonych starych talerzach i na grubéj bieliźnie.

Gość bystro spoglądał i uważał wszystko, nic oka jego nie uchodziło; rozmowę począł o lesie, o drogach, o okolicy, kraju w którym nie był oddawna i nią potrafił nawet pana Krzysztofa rozruszać. Chociaż od tak bardzo dawna się nie widzieli, stosunek ów młodzieńczy, pamięć trzpiotowatego Todzia, oddziaływały na Krzysztofa i czyniły go cierpliwym. Uśmiechał się nawet.

Przy Staszuku, który krzątając się, przysłuchiwał z podziwieniem rozmowie, jaka od dawna się nie obiła o mury staréj

a cichéj ruiny, nic ważniejszego mówić nie było można. Po śniadaniu zażądał gość kawy. Sługa spojrzał na pana, on nań wzajemnie, była chwila zakłopotania — gospodarz kawy nie pijał, nie znajdowała się w domu. Teodor domyślił się tego i sam za kawę podziękowawszy, wstał, przechodząc znowu naprzeciw, gdzie się na staréj kanapce pod oknem jak najwygodniéj umieścił z cygarem.

— No, wiész Krzysiu — rzekł, podparłszy się na ręku — zgadnij, po co ja do kraju powróciłem? proszę cię, zgadnij!!

— Ażeby gospodarstwo zobaczyć w Zieleniewszczyznie!

— No — swoją drogą, tak... to pewna... ale między nami mówiąc... powód był inny.

— Inny? to go nie odgadnę — odparł Krzysztof.

— Jesteśmy jednolatki — mówił daléj elegant — chociaż ty z własnéj winy w tém kamienném pudełku zamknąwszy się, daleko rychléj zrzekłeś się młodości odemnie. Będziesz się może śmiał ze mnie... ale wróciłem do kraju w myśli... ożenienia?

Krzysztof, który z fajką chodził po pokoju, odwrócił się i stanął osłupiały, wyjął ją z ust i parsknął po chwili ironicznym śmiechem.

— Żartujesz! — rzekł — oblicz się z metryką! Co ci to? Rozumiem ożenienie z namiętności, z uczucia, z rachuby, z obowiązku, na gorąco i na zimno, ale nie pojmuję go w twoim wieku, gdy kobiecie możesz tylko ofiarować kalekę i zniszczoną resztkę człowieka do pielęgnowania. W młodości, nawet małżeństwo bez przywiązania daje nadzieję, że się człowiek do jarzma nałoży; ale tobie! tobie!

— Wszystko to sobie mówiłem sam; cóż chcesz? okrutnie mi nudno na świecie. Jestem sam, a przytém kobiety lubię; bez kobiety żyć nie mogę; teraz one zaczynają uciekać przedemną, myślę więc wziąć taką, któraby z obowiązku dotrzymywała mi towarzystwa.

Krzyś stary ramionami ruszył. — To wprost śmieszne jeśli

nie gorzéj — zawołał — myślę, że ci ta fantazya przejdzie jak inne...

— Szczęśliwy człowiecze — odezwał się Teodor powoli jakby sam do siebie, patrzając za okno — tyś był zawsze i dowiodłeś tego życiem, żeś umiał być panem siebie; ja przeciwnie. Sam niewiem, serce czy fantazya gnały mnie do szukania niemożliwych ideałów czy ideału. Na tém polowaniu na nic spędziłem wiek, znużyłem się, sam niewiem co począć, chcę się zmusić do porządnego, szlacheckiego życia i szczęścia. Nazwij to wreszcie jak chcesz, muszę się ożenić.. Strasznie mi na świecie nudno.. Wiész, że nawet po części dlatego przybyłem tu, aby cię spytać.....

Tu się zawahał nieco.

— O co? — przerwał Krzysztof.

— Czy nie masz myśli odnowienia znajomości i amorów z Wandą, i żenienia się z nią?

— Ja? żenić się! Oszalałeś! — rozśmiał się Krzysztof.

— Bo jeżeli ty rezygnujesz — wiész, jam się gotów o nią starać.

Rysy słuchającego zmarszczyły się i w mgnieniu oka rozpogodziły: ironiczny uśmiech skrzywił usta.

— Na to mi odpowiedziéć trudno — rzekł sucho — staraj się; lecz pomyśl, co jéj przynosisz i czy się to godzi? Niewiem jak te lata spędziłeś, sam mówisz, że dosyć burzliwie, połamane szczątki serca, niedobitki człowieka chcesz złożyć u jéj stóp; a gdzież sumienie?

— Przepraszam cię; serce i uczucie wcale się we mnie nie wyczerpało — mówił Teodor — okrutnie się czuję młodym.

Zamilkli obaj; rozmowa się urwała, ukradkiem oczyma się śledzili. Krzysztof spoważniał i chodził zasępiony.

Po chwili jednak gość począł półgłosem.

— Wandzia mi się podoba... wiek dla mnie stosowny, imię,

majątek, wszystko... Była nieszczęśliwą, więc nie będzie wymagającą... ja wezmę sobie za punkt honoru być wiernym mężem...

— I sądzisz, że ona cię zechce? — zapytał ponuro Krzyś.

— A dla czegóżby nie? W młodości kobieta marzy, późniéj rachuje... jestem dla niéj stosownym mężem i dobrym będę towarzyszem. Do miłości eterycznéj nie mam pretensyi, ale stowarzyszenie wzajemnéj pomocy wybornie założyć możemy. Zresztą — wtrącił — to są jeszcze rzeczy nad któremi namyśléć się należy; projekta mi się snują różne, jedno tylko stałe mam postanowienie — ożenienia. Z kim? zobaczę. Łatwo by mi było wziąć młodą panienkę, tego się lękam, choć one się bardzo prędko starzeją.... zbyt staréj baby sobie nie życzę... Wandzia...

— Uczyń-że mi tę łaskę i nie mów o niéj — rzekł Krzysztof.

Zamilkli obaj.

Teodor począł znowu nalegać, aby jechali do Zieleniewszczyzny, ale Krzysztof oparł się stanowczo...

Mówili o rzeczach dawnych, potém Teodor opowiadał o różnych własnych przygodach, naostatek gdy się wszystkie przedmioty wyczerpały, wstał i począł się żegnać.

— Słuchaj-no — odezwał się trzymając rękę gospodarza — żyj sobie jak chcesz dla drugich, ze mną musisz po staremu. Musisz mi dać pozwolenie zaglądania do siebie; od tego nie odstępuję... — Spojrzał mu w oczy. — Od czasu do czasu zajrzę tutaj!

— Ja często się włóczę po lesie — rzekł Krzysztof.

— No — znajdę nie znajdę, próbować będę. Nudzę się; z tobą jestem jak z bratem... Gdybyś ty chciał zajrzéć do mnie.

— Nie mogę — odparł stanowczo Krzyś.

Z wielkiem zawsze podziwieniem dla Staszuka, gospodarz wychodzącego przeprowadził nietylko do ganku, za bramę, ale zszedł z nim rozmawiając z pagórka i nie wrócił, aż w dali powóz na drodze stojący zobaczył. Pożegnali się tu serdecznie. Straciwszy z oczów Teodora, szybkim krokiem udał się pan Krzy-

sztof do zamku. Twarz jego przybrała znowu wyraz posępny i zamyślony. Dwa te dni i dwa spotkania wzburzyły go i napełniały niepokojem. Miał mocne postanowienie szukania na to ratunku, nie znalazł innego nad samotność; zawołał sługę.

— Strzelbę mi podaj i torbę — rzekł — idę w las, niewiem kiedy powrócę — być może, iż dni kilka w domu nie będę. Jeśliby kto przybył, przysłał, odpowiesz, że mnie nie ma i że niewiesz kiedy powrócę. Rozumiesz?

— A jużcić! — westchnął Staszuk.

Stojący w ganku stary sługa zobaczył pana, który Hermesa z sobą zawołał, spuszczającego się najkrótszą drożyną w las i po chwili znikł mu już z oczu.

Machnął ręką, zamruczał coś pod nosem, starszy Hermes, który zostawał zawsze na gospodarstwie, przyszedł ziewając do towarzysza. Staszuk go pogłaskał, i oba razem wsunęli się do cichéj pustki.

ROZDZIAŁ IV.

Chata Wilczków stała na samym prawie skraju posiadłośc pana Krzysztofa, którą w téj stronie opasywał najpiękniejszy las na pół sosnowy, w pół ze starych liściastych drzew złożony. Na granicy pozostawiane dęby olbrzymie pilnować się jéj zdawały. Zaraz za niemi ciągnęła się łąka zielona, obrzucona gałęźmi zamiast płotu, które ją od napaści przechodzącego bydła broniły. Po nad rubieżą szła droga ubita, która niemal wszystkie sąsiednie wioski łączyła z najbliższém miasteczkiem.

Była téż wybita i wyjeżdżona tak, że gdyby nie grunt nieco piaszczysty, mogłaby w mokry czas stać się nieprzebytą. Po za nią już cudze widać było pola i na równinie w dali wioski, porozsiewane wśród pozostawionych gdzieniegdzie lasków, które świadczyły, iż przed laty jedna całą okolicę zalegała puszcza. Wrotka lekkie wiodły na drożynę, która przez łączkę kręcąc się biegła do chaty Wilczków, stojącéj wpośród ogródka. Dworkiem jéj nazwać było trudno, choć szlachcic pamiętał o ganeczku, i choć dwa słupki u drzwi postawił, aby się niemi od wieśniaczéj chałupy odróżnić. Zresztą, była to z bierwion sosnowych porządnie dosyć w zaciosy związanych, zbudowana chata, z wysokim dachem słomą pokrytym, w którego dwu otworach widać było gospodarzące gołębie. Oprócz tego schronienia miały one osobne domostwo na słupie. Obok mała szopka z chrustu, służyła na dobytek pana Wilczka. Tu widać było wyprzężony

wóz, pług, radło, brony i pod okapem poskładane różne gospodarskie sprzęty.

Ubogo, ale chędogo było przy chacie, i jak zwykle, pełno wszelakiego naczynia, z którém się gospodynie ukrywać nie widziały potrzeby. Para hładysz wisiała na kołkach płotu. Ceberki i niecułki schły na wolném powietrzu. Trochę chust świeżo wypranych widać było na płotach także.

Nieco porządniejsza izba i alkierz po jednéj stronie, po drugiéj czeladna i śpiżarnia, z tyłu przybudówka na sypanki i przechowanie zapasów, całą chatę składały. Sień ją dzieliła na dwoje, a drugiemi drzwiami wychodziło się do ogródka, w którym siedziały warzywa na grzędach i trochę krzaków agrestu i malin, które sobie Wilczek przywiózł, osiedlając się z sąsiedztwa.

Właśnie pod wieczór siedział wąsaty leśniczy na przyzbie fajeczkę paląc, gdy żona jego, blada, zwiędłéj, ale miłéj twarzy kobieta, powróciła z ogrodu z fartuchem pełnym ziela i sierpem w ręku, zajrzała, zobaczyła go i odezwała się:

— A toś z powrotem?

— Tylko com się przywlókł — rzekł Wilczek — a co tam?

— Właśnieś zgadł, że coś jest! — odpowiedziała spierając się o drzwi pani Wilczkowa. — Z zamku przychodził chłopiec dowiadywać się o pana, nie wiész gdzie jest? Trzy dni jak go już w domu nie było, nawet nocować nie przychodził. Stary Staszuk się niepokoi o niego.

Wilczek nic nie mówiąc głową kiwać zaczął, lecz nie zdawał się zdziwionym, co żonę naprowadziło na myśl, iż wiedziéć musiał o panu i o jego obrotach.

— Nie wiész ty co o nim? — spytała.

Wilczek się obejrzał i westchnął.

Zaciekawiło to kobiecinę.

— Tożbyś mi powiedział! cóż to tam!

— Ale, ale, gadać i gadać! — począł Wilczek ze zwykłą swą powagą, sentencyonalnie, gdyż chętnie morały prawił i myśl swą wyrażał, nadając jéj formy wyszukane. Miał się potroszę za filozofa.

— Ale, gadać? kiedy człowiek sam czego dobrze nie rozumié. Cóż gadać?

— Ale mu się nic nie stało? — powtórzyła niespokojnie kobieta. — Niechżeby téż Bóg go uchował od wszelakiego nieszczęścia, a i nas z nim. Tyle spokoju i dobrego, co z nim; drugiego takiego człeka w świecie nie znaléźć.

— Oj, co to, prawda — rzekł Wilczek. — Święta prawda!

I westchnął głęboko i dłonią namuloną powiódł po twarzy, jakby z niéj troskę chciał zetrzéć.

— Jużciż tam przedemną tajemnicy robić nie będziecie — dodała jéjmość z pewnym rodzajem wymówki.

— Pewno, pewno, bo i nie ma z czém się taić — rzekł Wilczek. — Ot, cała sprawa, że jemu i nam już życie chcą ludzie zamącić. Dobrze było jak u Boga za piecem jemu i nam, to licho przyniosło brata pod bok, z którym się nie lubią, rodzonego naprzód, a potém ciotecznego. Już to wiem, że tam obaj u niego byli, bo tu jadąc o drogę pytali, a trudnoż nie pokazać. Zaczną go najeżdżać, nachodzić, to mu i zamek zbrzydnie i wszystko. Nie dla czego téż trzy dni jak błędna owca po lesie się włóczy nieboraczysko, bo ja go szpiegowałem. Pierwszéj nocy spał w budzie na Jaskrach, drugiéj w szałasie na Pokotyniu, trzeciéj w chałupie pustéj na staréj leśniczówce. Nawet nie wiem gdzie jadł, bo i do nas nie przychodził i do dworu nie zaglądał i niewiadomo téż czy co z sobą wziął. Ja go już dawno takim nie widziałem. Ale co za dziw, kiedy człowiek rozbrat uczynił ze światem, a potém go napowrót poczną ciągnąć na Madejowe łoże, jak się nie ma bronić?

— A brat, cóż to za człowiek ten brat? — zapytała Wilczkowa, powoli rozpinając fartuch i składając zielę pod ścianą.

— To mi dopiéro jéjmość zadajesz pytanie? — rzekł marszcząc się Wilczek. — Brat? brat? albo to Kain nie był bratem? albo to wszyscy bracia do siebie podobni? Znają go tu i nie znają, dosyć, że kiedy nasz pan go nie lubi, to już źle, nie bez kozery.

— O! to pewnie! — potakiwała jéjmość — zły znak, gdy człek dobry kogo nie znosi; a zkądże się wziął?

— Już od pół roku się okupił tu, na staréj Pobogowszczyznie; teraz się wprowadzają, będą naszego męczyć, bo im to solą w oku, że w takiém ubóstwie żyć chce i na pustyni. A co komu do tego?

— I pewnie, kiedy mu z tém dobrze! — mówiła Wilczkowa.

— Oniby go pewnie chcieli między ludzi prowadzić — rzekł Wilczek z oburzeniem patetyczném — na to, aby go ludzie męczyli! Cóż to mu źle, gdzie on sobie sam panem i gdzie dni płyną jedne po drugich, jak krople wody podobne. Ale ze szczęściem ludzkiem, to tak — dodał Wilczek —że ono nigdy długo trwać nie może. Zestarzał już, niedadzą mu dokołatać do końca spokojnie.

— O! co prawda, to prawda — dorzuciła Wilczkowa, która mężowskie aforyzmy przyjmowała zawsze z uwielbieniem.

Stary, mówiąc, ręką i ruchami zwykł był słowom wyrazistości dodawać.

— Aj! ludzie, ludzie! — rzekł — od których i na pustynię się schroniwszy, jeszcze człek nie pewny.

Westchnęli chórem oboje.

— E! — rzekła Wilczkowa — ma on dosyć swojéj woli, odkaraska się od nich, nie da sobie praw dyktować.

— To go namęczą przynajmniéj, a i tego żal.

— Pewnie żal — potwierdziła kobieta.

Wilczek głos zniżył.

— Już musieli mu dobrze dojeść — szepnął pochylając się

nieco ku żonie — kiedy nieboraczysko pierwszy raz się zapomniał i po za granicę z lasów swoich się wywlókł, czego nigdy nie robił.

— Nie może być! nie może! — klaszcząc w ręce krzyknęła zdziwiona kobiecina.

— Alem ja na niego miał oko, słowo daję — dodał Wilczek — cały dzień go nie było w lesie, poszedł zaroślami ku Zamostowu.

Umilkli kiwając głowami.

— A po cóż mu tam było? — cicho spytała kobieta.

— Któż to może wiedziéć — rozumował Wilczek — ja sobie myślę tylko, że tak mu dogryźli, iż pamięć stracił, a błąkał się, już sam niewiedząc gdzie. Jakem tylko zobaczył, że po za granicę się wysunął, zmiarkowałem, że to już coś się niedobrego święci, poszedłem za nim zdaleka. Już ja jego chodzenie znam — dodał stary rękę podnosząc do góry — bo to trzeba wiedziéć téż, że każdy człek inaczéj chodzi, a nawet choćby i jeden, to od humoru będzie jednego dnia szedł inaczéj, a drugiego odmiennie? Bywało, nasz pan to tak mierzonym krokiem idzie, jak zégarek, na nogi nie spojrzy, a nie potknie się, ani kroku przyśpieszy, ani zwolni, a tu naraz, myślałem, że go choroba napadła; wysforował się pędem do granicy, na samym skraju stanął wryty jakby mu co broniło iść daléj, potém, gdyby go co rzuciło, jak się kopnie, ledwiem zaroślami zdala za nim mógł podążyć. O! źle, myślę sobie.

— Boże miły, a cóż mu się to stać mogło! — zawołała Wilczkowa ręce załamując.

— No, tak go ci ludzie, od których odwykł, wymęczyli.

— Przecież z nami żył i gadał.

— Ale, moja jéjmość — rzekł odwracając się Wilczek — z nami, to inna rzecz; z nami on był jak ze swemi. Choć pan z panów, ale szlachcica szanował jak brata i u nas mu było

swobodnie. Tu mu głowę naklekotali pełną, co za dziw, że się zawróciła?

— No i cóż? i cóż? — zaczęła pytać Wilczkowa.

— Więc się kopnął ścieżką, jakby niewiedział sam dokąd aby iść, ale jak szedł? — mówił daléj leśniczy — to trzeba było widziéć! Nie wypadało mnie go szpiegować, a no litość brała, żeby mu się co złego nie stało. Nieprzymierzając i pies i ja niewiedzieliśmy jak za nim biedz. Kilkanaście kroków leci jakby go pędziło, jakby uciekał, aż stanie i wlecze się i omal nie zawróci, to znów leci.

— Na Boga, na Boga! jakże mi paniska żal — wtrąciła Wilczkowa.

— Co to mówić? spytaj, jak mnie było na to patrząc, pociłem się jak w łaźni. Manowcami się puścił, ale osobliwa rzecz, wiem pewnie, że kilkanaście lat za dom i las krokiem nie stąpił, a jak tu wczoraj był, darł się do Zamostowa. Jam aż z sił spadł, lecz com sobie pomyślał, a nuż mu się co stanie, sam jeden? więcem się wlókł. Tedy na proszki tak przez werteby, krzaki, błoto, dobiliśmy się do Zamostowa, i trafili na ogród, który się łączy z lasem, a od niego tylko wysokim płotem jest oddzielony. Płot zobaczywszy, strach go jakiś ogarnął, stanął, patrzę, począł błądzić, stawał, zaglądał, oczy kilka razy przykładał do parkanu, jakby tam co wewnątrz chciał zobaczyć.

— Cóż mu było? — jęknęła kobieta — to do niego niepodobne.

— Pewno, że nie, ale tak przypadło nań. Chodził, chodził; jednym razem przylepił się do płotu, pochylił i jakby wrósł weń; patrzę, tylko drży, pies mu w oczy spogląda, szczeknął, ten go jak palnie... zaskowyczał i przypadł, a ten patrzy i patrzy. Zdjął z głowy nakrycie, jakby mu piekło, odprostował się, spuścił oczy i dopiéroż namyśliwszy się, nazad. Ja za nim, ani go było zgonić, tak się darł, gdyby przestraszony,

w dobre ćwierć godziny dobiłem się po nim do naszéj granicy. Po takiéj gońce, byłem już pewny, że pójdzie spocząć do nas, a no, widzę go nie ma, pewnie na Pokotyniu...

— Niechże się Chrystus Pan i Matka Jego Najświętsza zlitują nad nim — ozwała się lękliwie kobiecina — oj ludziska, bo, ludziska, co go tak męczą, niech im Bóg odpuści! takiego dobrego pana, co nigdy nikomu wody nie zamącił.

— Tsyt! — zawołał Wilczek — dać pokój gadaniu, aby kto nie słyszał; niech to będzie między nami, rozumié jéjmość?

Kiwnęła głową Wilczkowa na znak, że dobrze zrozumiała i schyliła się ku zielu przyniesionemu, spostrzegłszy idącą ku chacie Dosię, która ulubioną krowę powoli idącą raczéj prowadziła, niż pędziła.

Dosia pomimo swojego wiejskiego stroju kraśną była wdziękiem zdrowéj i wybujałéj młodości. Miło na nią spojrzéć było tak kształtnie wyrosła i tak instynktem piękną być umiała. Twarz jéj poważna, zamyślona, prawie smutna, wzbudzała nawet w prostych ludziach jakieś poszanowanie i miała dla nich urok wyższości. Na czole dziewiczém mieszkała myśl i z siwych oczów tryskało bystre pojęcie. Ojciec, popatrzywszy na nią, uśmiechnął się z dumą rodzicielską.

Jak wszystkie mieszkanki lasów, wychowane w drzew cieniu, Dosia nie miała zbyt świeżych rumieńców, ani płci białéj; opaloną była, nieco bladą, ale czerstwą i życia pełną. Strój ubogi ją okrywał. Na głowie powiązane bogate włosów orzechowych warkocze, przeplecione czerwoną tasiemką i okraszone kilkoma kwiatkami. Szyję otaczały korale i przy nich przywieszony krzyżyk i szkaplerze. Koszulę grubą opasywał gorsecik, a spódnica sukienna sięgała do kostek. Podpięty fartuch, w którym niosła téż trawę, tworzył draperyą dokoła kibici nie zbyt smukłéj, lecz gibkiéj i zręcznéj.

Na uśmiech ojca odpowiedziała Dosia półuśmiechem.

— Gdzieżeś to za płową tak daleko chodziła? — zapytała matka.

— E! bo mi się jéjmościanka rozbujała — odpowiedziała Dosia — nie dobrze jéj już było na wygonie, przeskoczyła płot i poszła w łąkę Tobiaszową.

— Bo téż to jéj wszystkim fantazyom dogadzacie — rzekł Wilczek — trzeba było dobrze skropić, żeby popamiętała.

— Ej, ojczulku — uśmiechnęła się Dosia — jabym serca nie miała. Poczciwe stworzenie, my się z nią kochamy, tylko tyle, żem jéj nagadała dobrze.

— Myślisz, że cię zrozumiała? — spytał ojciec — toć to bydlę rozumu nie ma.

— E! ma ono swój rozum, choćby nie taki, jak nasz — ozwała się Dosia potrząsając głową. — Zna ona matkę, mnie, was i Maćka. A czemu mnie i matki i was słucha, a Maćka nie ma za Boże stworzenie i czasem mu rogi pokazuje?

Wilczek słuchał córki z rozkoszą i napawał się widocznie nietylko jéj mową, ale dźwiękiem głosu.

Dziewczę obejrzało się do koła.

— Albo się ja mylę — rzekła — albo gościa mieć będziemy.

— Jakiego? — spytał ojciec.

— A kogożby jeśli nie jegomości pana naszego; widziałam go przed chwilą w okolicy, między drzewami się przechadzał, pewnie wstąpi.

Spojrzeli po sobie rodzice, dziewczę roztropne w tém wejrzeniu domyśliło się czegoś i zamilkło, jakby czekało na słowo, nikt się nie odezwał.

— Możeby co na podwieczorek dla niego przygotować! — dodała Dosia po chwili.

— Pewnie — mruknął Wilczek — ale cóż jest? bo może być głodny. Młode kartofle nie przekwitły, zwierzyny żadnéj.

— Są jaja — wtrąciła matka — sér, masło, chléb świeży, a no i ta wódka, co dla niego umyślnie się trzyma.

— On tam niewymyślny — rzekła Dosia — jak drudzy, będzie i nasz krupnik jadł nie krzywiąc się.

Ta narada nie była jeszcze skończoną, gdy gończy pies pana Wilczka, któremu imię było Grzmilas, zerwał się, nastawił uszy i szczekać począł. Był to najpewniejszy znak zbliżania się pana Krzysztofa, z którego nieodstępnym towarzyszem Hermesem byli w najnieprzyjaźniejszych stosunkach. Wprawdzie Wilczek umiał psu nakazać umiarkowanie i przy nim Grzmilas się nie porwał nigdy na Hermesa, a pan Krzysztof wejrzeniem jedném wyżła swego zmuszał do spokoju, lecz zaledwie od nich odwrócono oczy, powstawali cichaczem, sierść się im obu najeżała szczotką na grzbietach, oczy zachodziły krwią, po cichuteńku zaczynali obchodzić się w koło pokazując sobie zęby i dopiéro interwencya obu panów mogła ich od pojedynku oderwać. Kilka razy spięli się byli na siebie i chwycili za karki, ale od téj pory Wilczek zamykał Grzmilasa do chlewka na czas pobytu pana, co nietylko, że nienawiści jego ku Hermesowi nie zmniejszyło, ale zdawało się ją do najwyższéj podnosić potęgi. Niepoczciwy wyżeł czuł gdzie był nieprzyjaciel zamknięty, szedł zwykle pod chlewek, jeżył się, warczał, a że we wrotkach u dołu była dziura, którą nos Grzmilasa wyglądał, spotykali się warcząc przy tym otworze, choć sobie szkody uczynić nie mogli. Grzmilas szczekał i wył, Hermes warczał.

Szczekanie oznajmiło o panu Krzysztofie, który się w istocie u wrót pokazał, a Maciek zawołany poszedł Grzmilasa zamknąć do kozy, co się nie obeszło bez pisku i skarg na uciemiężenie. Wrotka się otworzyły, Dosia pierwsza pobiegła na spotkanie jegomości, Hermes skoczył ją witać. Ledwie się od niego obroniwszy, przyszła, wedle obyczaju, pocałować w rękę pana Krzysztofa. Podniósłszy oczy niemal się przelękła jego twarzy, tak była dziwnie zmienioną. Nigdy ona nie bywała wesołą, tym razem jednak niemal obłąkana boleść na niéj wyrytą była.

Naiwne dziewczę nieumiejące ukryć swego wrażenia, aż załamało ręce.

— O mój panie drogi! — zawołała — czy pan czasem nie chory? czy panu co jest?

— Nic mi nie jest, moje dziecko — stłumionym głosem rzekł pan Krzysztof — w istócie zdrów bardzo się nie czuję, zmęczonym bardzo, parę dni włóczyłem się po lesie. Możem i głodny, sam nie wiem.

Dosia, wedle zwyczaju, wyciągnęła ręce po strzelbę i torbę, którą od niego odbierała. Krzysztof machinalnie je oddał dziewczynie, nie śmiejąc i spojrzéć na nią, bo mu wstyd było, że mu tak z twarzy czytała.

— A co pan by jadł? — zapytała.

— Co macie, co Bóg dał, wiész, żem nie wybredny... wszystko jedno.

Wtém Wilczek nadszedł, kłaniając się do kolan.

— Staszuk tu przysyłał — rzekł po cichu, pokręcając wąsa — ztąd wiem, że jasny pan trzy dni już z domu, toby pewnie odpocząć trzeba, jeśli łaska do izby. Pierwsza zawsze dla pana wolna, bo my jéj nigdy nie zajmujemy.

Zbliżyła się téż z fartuchem przy ustach Wilczkowa kłaniając.

— Co pan każe? — spytała — niech pan dysponuje, z łaski pańskiéj wszystko jest: chléb, sér, mleczywo, jaja, miód: możeby co zrobić?

— Ca tam macie, pani Wilczkowa, co na pogotowiu, co chcecie — rzekł skłopotany tą troskliwością i po części nią rozczulony Krzysztof. — Pójdę, trochę odpocznę, bom w istocie dużo chodził... A któraż to godzina? — spytał nagle, jakby rozmiar czasu stracił. I jako mieszkaniec lasu, zamiast do zégarka sięgnąć, obrócił się w stronę słońca.

Słońce zachodziło i jaskrawe jego promienie przedzierały się dołem przez las przerzedzony.

— Pan ci u nas przenocować musi, to się rozumié — rzekł Wilczek.

Nic nie odpowiedział Krzysztof, i wolnym krokiem poszedł zamyślony ku chacie, dokąd z nim cała rodzina zdążała. Dosia miała widać przywiléj przyjmowania pana i dziwnie doń była śmiałą. Wyrosła z dziecka w jego oczach. Ona poprzedziła go do sionki, otwarła drzwi, wprowadziła do izby, którą pańską nazywano i fartuszkiem poczęła ścierać stół i stołki. W jednym kącie stał tapczan pokryty sianem i kilimkiem ze skórzaną poduszką. Na nim zwykle okryty burką sypiał pan Krzysztof; wszystko czego mógł potrzebować było dla niego przysposobione: karafka z wodą, szklanka, a w szafeczce drobne sprzęty i prosta stołu zastawa.

Dosia otworzyła okno, aby powietrze weszło; obejrzała się na okół, poprawiła stołek stojący krzywo, powiesiła strzelbę i torbę na ich miejscu, podsunęła słomiankę, na któréj w końcu łóżka zwykł był Hermes odpoczywać. Pan Krzysztof, który zawsze z nią wesoło rozmawiał i rozpytywał o jéj gołębie i kurze gospodarstwo, teraz padł od razu na tapczan, podparł się łokciem i głowę spuścił jak nieprzytomny. Dosia była nadto roztropną, aby się domagać rozmowy, lecz wybiegła cała przestraszona do matki.

— Matuniu droga, panu coś jest, ja go nigdy jeszcze takim nie widziałam. Czyście to zważali, jaki posępny? Żeby uchowaj Boże nie choroba.

Matka nie chciała widać wtajemniczać dziecka i odpowiedziała krótko:

— Zakrzątniem-no się, aby go czém posilić, ot poprostu się zmęczył.

Dosia pokręciła głową, ale tuż obie poczęły ogień z pod popiołu dobywać i zwijać się około jadła. Wilczek pozostał u drzwi na zawołanie, lecz do pana Krzysztofa nie wszedł, czuł, że więcéjby mu zawadził, niż go rozerwał. Trafny instynkt mu to wskazywał.

— Niech się wysapie powoli — mówił w duchu.

Przed ogniem między matką a córką półgłosem wszczął się spór o to, co gotować; obie chciały co było najlepszego w domu. Skończyło się jednak na pośpiesznéj jajecznicy, chlebie, sérze i miodzie.

Drewniana tacka, która tylko w uroczystych wypadkach występowała, dobytą została z szafy; obie kobiety ustawiły na niéj wieczerzę. Dosia na rękę zarzuciła czystą serwetę, a że miała przywiléj posługiwania panu Krzysztofowi, tryumfalnie wniosła tacę do izby.

Krzysztof jako był siadł na tapczan i podparł się na ręku, tak ze znużenia usnął, szmer go dopiéro przebudził, otrząsł się i uśmiechnął do Dosi.

— Bodajże mnie com pana przebudziła! — szepnęło dziewczę — gdybym wiedziała...

— Dobrze się stało, owszem, moje dziecko, owszem — rzekł zbliżając się do stołu Krzysztof — głodny jestem... Bóg zapłać... na sen będzie czasu dosyć.

Dosia przysunęła stołek, pobiegła do szafeczki po sól i pieprz, zawinęła się jeszcze, jakby na zwykłą wyzywając rozmowę, ale otrzymała tylko uśmiech smutny w nagrodę i niechcąc być natrętną, wyszła zamyślona.

— Już wy sobie mówcie co chcecie — rzekła do matki — ja tam nie wiem co, ale jemu coś jest.

— A cóż ma być! da Bóg, choroby nie będzie, tylko tyle, że się stary zmęczył — rzekła matka.

— On to tam tak stary znowu nie jest — ujęła się Dosia — tyle że włosy stracił, a jemu z tém do twarzy. Zresztą, dalipan, żaden młody mi się tak pięknym nie wydaje, jak on — dodała i zarumieniła się zapóźno.

Matka się rozśmiała.

— Ot to dopiéro! — szepnęła ruszając ramionami — co ty pleciesz pleciucho.

Spuściła oczy Dosia zawstydzona i podniosła je żywo.

— A bo prawda! — potwierdziła — a co prawda to nie grzech.

Nie chciała snać matka przedłużać téj rozmowy, pokiwała głową i zamilkła.

Wilczkowi zdało się, że w czasie podwieczorku wnijść może, otworzył więc drzwi, wszedł i stanął przy progu.

Pan Krzysztof spojrzał jedząc, ale się nie odzywał długo.

— Cóż-to, Staszuk aż tu przysyłał pytać o mnie? — spytał wreszcie.

— A tak jest, proszę jaśnie pana, co za dziw, niespokojny był.

— A wyście co powiedzieli?

Wilczek się trochę namyślił.

— Cóż mogłem powiedzieć, ino, że nie wiedziałem o jaśnie Panu więcéj nad to, że w lesie być musi.

— Czyś mnie nie najrzał temi dniami? — dodał Krzysztof.

Wilczek kłamać nie chciał, miał tę cześć dla prawdy prostego człowieka, która mu fałszu wyrzec wzbraniała, rzekł więc tylko:

— Owszem, zdalam jaśnie pana parę razy widział, alem niechciał być natrętnym.

Krzysztof milczał spuściwszy oczy.

— Nie dziwuj się, mój przyjacielu — począł po namyśle — żeś mnie widział może latającego bez celu; od ludzi uciekałem, a ty wiész zdawna, jak ja ich lubię. W tych dniach napadli mnie, aby mi popsuć moją pustelnię i odebrać spokój, który stanowi jedyne szczęście moje. Nie dziwuj się. Widziałeś nieraz spokojne mrowisko, niech je kto ruszy a dotknie, jaki to tam ruch powstaje. Tak się stało z duszą moją, trąconą obcą ręką; zburzyło się w niéj wszystko.

Pan Krzysztof westchnął, Wilczek mu tylko zawtórował drugiem westchnieniem.

— To się rozumié — dodał skłopotany nie wiedząc co ma powiedzieć, a chcąc słowo wtrącić.

Wsparty na ręku, stary mówił daléj, jakby sam do siebie:

— Co im z tego przyjdzie, że mnie chcą nieszczęśliwszym uczynić, niż jestem? nie rozumiem. Brat, który mnie długo nie znał, drugi, który mnie lat tyle nie widział. Jam już nie dla nich, oni nie dla mnie! Nie dadzą mi dokołatać spokojnie do końca tego utrapionego życia, wadzi im, żem do nich niepodobny, żem dobił do brzegu, gdy oni jeszcze na falach!

Ramionami poruszył, Wilczek słuchał z uwagą natężoną.

— Pan Paweł, słyszę, odkupił Pobogowszczyznę — odezwał się — piękny majątek.

— Niechże się nim cieszy i trzyma go, nie zazdroszczę mu; życzę wszelkiego dobra byle mi dali spokój — mówił Krzysztof.

— Wielki pan — dodał Wilczek.

— Tak, tak, na świniach się państwa dorobił — pogardliwie wtrącił Krzysztof — a drugi wrócił do domu, gdy już mu wszelkie szaleństwa obrzydły. Dobry nawet człek, lecz lekki.

— Jaśnie pan mówi o panu Męczyńskim, pewnie?

— A tak.

— O tém téż słyszałem, że po długich latach do Zielniewszczyzny powrócił. Tam dzierżawę trzyma Zamorski, wiem, miał się już niemal za dziedzica, kłopot być musi z niespodzianego przybycia. Dobrze się im działo.

— Znasz dzierżawcę? — spytał jakby tylko dla utrzymania rozmowy Krzysztof.

— A któżby go nie znał? — mówił Wilczek.

— Jakiż to człek?

Wilczek chciał wystąpić z definicyą i zamyślił się nieco.

— Człek, jakby to powiedziéć? a no — rzekł — bardzo zły on nie jest, bardzo dobry téż nie, czasem gotów i dobrze zrobić, gdy na humor mu przyjdzie i dopiec gdy się rozgniewa. Żona tam pono więcéj znaczy, niż on sam. Córek mają dwie. Ludzie się już śmieją, a mówią, aby pan Męczyński tam pomieszkał,

jedną pewnie za niego wydadzą. Dziewczęta piękne i sprytne, a choć to młode, a pan już podtuptany... dla majątku...

— Już o tém nawet mówią? — podchwycił pan Krzysztof żywiéj — słyszeliście.

— No, zwyczajnie, ludzie sobie po ludzku rzeczy kombinują — ciągnął Wilczek — nie ma nic niepodobnego, wszystko to może być.

— Zdaje mi się, że pan Teodor wyżéj patrzy — wtrącił Krzysztof.

— Ja téż nic wiedziéć nie mogę, a powtarzam jaśnie panu słyszane. W niedzielę u kościoła szlachta sobie drwiła, to się słówko o uszy obiło.

Zamyślił się pan Krzysztof, a że rozmowa się przerwała, Wilczek, który postrzegł, że jeść przestał i do gawędki ochoty wielkiéj nie miał, wysunął się pocichu. Dosia, która czatowała tylko na to, przybiegła zebrać resztki wieczerzy.

Stanęła u stolika.

— Coś pan mało jadł? — spytała — czy nie było do smaku?

— Owszem, moje dziecko, dziękuję ci, dobre to było, bo dobrem sercem dane, ale już jestem syt i mam dosyć.

— Niech-że pan sobie spocznie, ja już w domu z matką dopilnuję, aby hałasu żadnego nie było — mówiła sprzątając Dosia. — Woda jest, może okno zamknąć?

Szczebiotała tak, pan Krzysztof zdawał się prawie nie słyszéć, uśmiechał się dziewczęciu.

— Rób jak chcesz, wszystko jedno, dobrze, tak... co ci się podoba.

Dosia popatrzyła po pokoju.

— Hermesowi jeszcze muszę jeść przynieść, bo by się gotów na mnie pogniewać, jak na Grzmilasa, którego cierpiéć nie może, a dotąd miałam u niego łaskę.

Hermes wstał posłyszawszy swe nazwisko i przyszedł się sam dziewczęciu przypomniéć.

Parę razy spojrzała na milczącego Krzysztofa Wilczkówna i dziwnie się jéj wydał zmienionym, on co zazwyczaj wesoło z nią rozmawiał długo, i podżartowywać z niéj lubił.

Po chwili powróciła z miską pełną mleka kwaśnego z chlebem, postawiła ją u komina, podniosła się, poprawiła włosy i popatrzywszy na pana, rzekła:

— Taki pan nam coś dziś nie swój, niechby spoczął.

— A gdzież spokój? — odparł smutnie pan Krzysztof — myślisz, że sen uspokaja? to chyba ciebie dziecko moje, która spokojnie usypiasz i tak po pracy... nam sen przynosi mary.

Westchnął.

— Spokój tylko tam, zkąd już nic nie poruszy...

Dosi się zrobiło smutno.

— Co to pan mówi — przerwała — a toć się nie godzi takiego spoczynku żądać.

— Czemu? komużem ja na ziemi potrzebny? — dodał jakby do siebie samego pan Krzysztof.

Nie odbierając odpowiedzi, spojrzał, Dosia fartuszkiem ocierała oczy, a dla ukrycia wrażenia schylała się po miskę. Łza ta cicha snać odbiła się w duszy jego, wstał żywo i z rozjaśnioną twarzą począł jak dawniéj żartować.

— Kiedyż wesele? — zapytał.

— Czyje?

— Twoje, Dosiu.

— Chyba nie rychło — rzekła usta krzywiąc.

— Czy brak kawalera?

— Prędzéj ochoty — odparła Dosia trochę nadąsana — już panu mówiłam, że od rodziców iść sobie nie życzę. A co mi po tém.

— Bo ci się jeszcze nie podobał żaden.

— Może — szepnęła Dosia zmierzywszy go oczyma — a no o tém i mówić nie ma co. Zawsze mnie pan tém prześladuje i zawsze jedno odpowiadam. Niech-no pan sobie spocznie.

Podsunęła słomiankę psu, zakręciła się parę razy po izbie, stołek przestawiła pod ścianę, karafkę umieściła w środku stołu, przymknęła okno, zabrała miskę, zbliżyła się do ręki pana Krzysztofa, pocałowała ją prędko i zarumieniona wybiegła.

Hermes wyciągnął się na słomiance. Stary pan stał długo w pośrodku izby zamyślony, patrzał w okno. Cisza była dokoła, wieczór wiosenny mrokiem okrywał las i pola.

— I tego nawet spokoju mi zazdroszczą — zawołał wzdychając. — Tu przynajmniéj przeszłości zapomniéć mogę!! Precz mary! precz!... Widziéć więcéj z nich nikogo nie chcę. Dosyć téj próby, ucieknę jeszcze głębiéj w lasy. Przynieśli mi z sobą męczarnie... lecz od czegóż rozum i wola człowieka? Wstyd i hańba — mówił, przechadzając się po izbie — ja, ja com lat tyle nogą nie stąpił za granice tych lasów, wyrwałem się jak dzieciak, aby umarłą nadzieję zobaczyć, i serce mi biło, i ból mi serce ściskał i musiałem nadludzkim wysiłkiem władzę nad sobą odzyskiwać. Cóż pomyśli Wilczek, jeśli mnie widział oszalałego? Sam wstydzę się siebie. Napiłbym się z Lethy, choćby jéj woda miała być trucizną. Wszystko jeszcze przytomne, jak wczoraj.

Tak marząc siadł pan Krzysztof walcząc z sobą na tapczanie, wsparł się na ręku i dumając na pół senny z razu, dał się owładnąć znużeniu, które go obaliło na łoże.

Trzy noce spędzone w gorączce na niewygodnych leśnych barłogach, uczyniły ten sen potrzebą taką, iż jak stał upadłszy ledwie na tapczan, usnął snem martwym i głębokim.

Wilczkowie pozamykali drzwi, stary pozostał na straży długo, nareszcie, gdy żadnego szelestu w izbie pańskiéj długo słychać nie było, porozchodzili się wszyscy na spoczynek.

Dosia długo przed ogniem wsparta na rękach siedziała, aż ją matka do snu musiała napędzić.

ROZDZIAŁ V.

Jest-to oddawna sprawdzonym pewnikiem, że częstokroć maleńcy ludzie, wielki wpływ na daleko pozornie większych od siebie wywierają. Czemu są winni ten skutek, czy natarczywości, czy zręczności, która bywa udziałem drobnych istot, czy jakiemuś nierozpoznanemu fenomenowi moralnemu, trudno wyrokować; to pewna, iż bohaterowie i potentaci często są pod rządem niewidocznych istot, a Molierami władają niekiedy kucharki.

Jedną z takich maluczkich, niepostrzeżonych postaci, na pozór bardzo skromnych i nie szukających blasku dla okrycia się nim w oczach tłumu, był dzierżawca pana Teodora w Zieleniewszczyznie, niejaki pan Zamorski. Trzymał on w dzierżawie dobra te od lat kilkunastu i w końcu poczynał się już w nich prawie uważać za dziedzica. Człowieczek był niepozorny, zabiegliwy, czynny, pokorny, umiejący pochlebiać i śmiać się z tych, którym, jak się sam wyrażał, baki świecił.

Pan Teodor przez długi czas jeździł po świecie szczęścia jakiegoś nieokreślonego szukając i nigdzie go znaléźć nie mogąc. Powrót do domu odkładał z roku na rok, mieszkał po stolicach, pieniędzy trwonił dużo, dochód mu nigdy nie wystarczał, rachunki się mnożyły; od dzierżawcy naprzód pożyczał ciągle, rosły więc ciężary, naostatek choć mimowoli postrzegł wędrowiec, że należało się we własnych interesach rozpatrzéć na

miejscu. Wstręt miał do tego wielki pan Teodor, ale mus był i konieczność uregulowania tych nieszczęsnych rachunków. Zamorski nie bardzo sobie życzył przybycia dziedzica, lecz uniknąć rozprawy ostatecznéj nie było podobna, i pan Teodor zjechał jednego niepięknego poranku do Zieleniewszczyzny.

Wydzierżawiając ją dziedzic nie spodziewał się wcale, ażeby za domem miał bawić tak długo; zamierzał wrócić najdaléj za kilka miesięcy, za rok; czasem bywał już w drodze i coś go zatrzymywało zawsze, tak, że kilkanaście lat przeszły niepostrzeżone. Dom główny, starodawny dwór, był zupełnie wyekscypowany wraz z ogrodem; stary sługa familii, Olszak, który jeszcze dziadka pana Teodora pamiętał, rządził tu wszechwładnie. Przez lata tak długie, sam jeden siedząc, biedny starowina znudził się, skwaśniał, podupadł, zachorzał, a dwór pieczy jego powierzony, znacznie się téż nadrujnował. Wracając więc przestraszony pan Teodor, zastał niemal pustkowie, gdzie się spodziewał rezydencyi wygodnéj.

Zamorskiemu wyrzucać tego nie było można, bo dwór i co doń należało, całkowicie z pod jego władzy zostało wyjętém. Dawniéj dosyć jeszcze rzeźwego Olszaka ze zdumieniem znalazł pan Teodor kaleką niemal, i, co gorzéj, z nałogiem do konsolacyi spirytusowéj. W pokojach panował nieład niewysłowiony, dach w wielu miejscach zaciekał wszetecznie, a że pokryć go na nowo nie zebrano się jakoś, a łatania niewiele pomagały, we wszystkich niemal pokojach stały miski, niecułki, balijki i rozmaite naczynia misternie porozstawiane. Wiele okien potłuczonych od gradu i różnych wypadków, o których niejasne chodziły podania, pozalepiano papierem i pozakładano błonami sosnowemi. W ganku wschodki pogniłe zastępowały cegły niezręcznie pokładzione, posadzki były pobutwiałe, sufity rysowały się, tynk opadał. Nawykłemu do porządku i komfortu za granicą, wydało się to panu Teodorowi przerażającém.

Olszak mu dowodził, że gdzie kilkanaście lat dziedzic nie zaglądał, inaczéj być nie mogło, a może miał nieco słuszności.

Dzierżawca wprawdzie mieszkał, wedle umowy, na folwarku, lecz folwark przybrał teraz pozór dworu, a dwór wyglądał na dymissyonowanego. Tu przybudowano wiele, przyozdobiono, poobsadzano, powyklejano i było w nim, jeśli nie smakownie to bardzo przyzwoicie, a nadewszystko wygodnie, gdy we dworze u dziedzica w pierwszych dniach stęchlizna i ruina pobyt niemal niemożliwym czyniły. Piękny ów cienisty ogród starożytny, o który pan Teodor dbał tak bardzo, podobniejszym był do zdziczałego lasu, niż do ręką ludzką stworzonego ogrójca... Stare lipy, które wiatr poobalał gniły nietknięte, bo nikt nie miał prawa ani ochoty ich ruszyć.

Poczciwy, a nudny i niedołężny Olszak gdérał, stękał, pił, łajał, skarżył się, przeklinał, ale się nie brał do niczego i był konserwatorem nieładu, który rósł co chwila. Oszczędzał skrzętnie złotówki, a szkody robił na tysiące. Był-to starowina zgryźliwy, lubiący narzekanie, potrzebujący walki do życia, szukał więc jéj mięszając się nie w swoje rzeczy, gdyż siebie za rodzaj nadzorcy uważał i groził ciągle raportami do dziedzica. Zamorski śmiał się, ruszał ramionami, pozwalał gdérać do syta, ale staremu nawzajem dokuczał o ile możności.

Gdy pan Teodor przyjechał, Olszak przez dni kilka tak mu głowę nabijał zbieranemi długo zażaleniami, iż w końcu ani się w nich rozpatrzéć, ani ich spamiętać było podobna. Wszystko to zbiło się w jakiś chaos nierozwikłany, w którym kłębiły się czarne chmury, a w głąb' ich żadne i najbystrzejsze wejrzenie sięgnąć nie mogło. Dziedzic więc dał za wygranę przeszłości, złożył wszystko na zgryźliwość zdziecinniałego sługi, znudził się i zakazał mu więcéj mówić o tém.

W przystępie żalu Olszak podziękował za służbę, ale nazajutrz po trzeźwemu na nowo ją rozpoczął, zawsze z tym samym skutkiem. Nie zważano już na niego wcale.

Dzierżawca postępował sobie nadzwyczajnie zręcznie, chociaż na pozór w sposób nader prosty. Obrachowawszy zawczasu skutek skarg Olszaka, wcale nie przeszkadzał im, nie uniewinniał się, grał rolę człowieka spokojnego, czystego na sumieniu, a tymczasem na wszelki sposób starał się pozyskać pana Teodora, którego charakter i usposobienie więcéj odgadł i przeniknął ze stosunków z nim, niżby się po tak prostodusznéj istocie spodziewać było można.

Zamorski, jak sam powiadał o sobie, wysokiéj nie odebrał edukacyi; wychowanie dokończył na sześcio-klassowém gimnazyum, którego nauka wyśmienicie mu starczyła na potrzeby powszednie. Był-to człowiek mały, okrągły, wesołéj i rumianéj twarzy, na pozór bardzo otwarty i szczery, w istocie nadzwyczaj przebiegły. Podobał się wszystkim, wkraść się umiał w łaski każdego, w życiu był dogodny, wyrozumiały, przebaczający, a w towarzystwie wesół i pokorny. Powiatowe wielkości i ludzie wysokich stanowisk i wpływów, nie mieli hałaśliwszego nadeń adoratora. Lubił się uniżać, chętnie powtarzał, że jest małym dzierżawcą w dorobku, ustępował z drogi, dawał pierwszy krok każdemu, a to mu téż serca jednało. Rósł tymczasem w pierze nieznacznie. Innym zostawiając polowanie na honory i znaczenie, sam zbierał pieniądze i robił sobie stosunki, tak, że mógł każdą sprawę albo groszem lub wpływami przeprowadzić po myśli. Gospodarz niezbyt uczony, pilnym był, a zobaczywszy u drugich coś lepszego, niż u siebie, chętnie się uczył i naśladował. W ten sposób powoli gospodarstwo u siebie postawił na tym stopniu, iż lepszego, a nadewszystko szczęśliwiéj się wypłacającego nad nie, w całéj okolicy nie było.

I w tém jednak skromny Zamorski nie szukał sławy, mówił o swych zabiegach wywyższając zawsze drugich i ustępując im z drogi. Ulubioném jego przysłowiem było: że pokorne cielę dwie matki ssie. Ssał w istocie więcéj niż dwie, o których mówił, ssał kogo tylko mógł, ale ssając ściskał, całował, poił, ze łzami

o miłości i poszanowaniu zapewniał. Szczęśliwym trafem dobrał sobie towarzyszkę życia, która po pierwszych latach nowicyatu umiała się zupełnie nagiąć do obyczajów i trybu postępowania mężowskiego. Dobra kobiecina, gościnna, wesoła, gospodarna, nie ubiegająca się o pierwsze miejsce w kościele, ani o zaćmienie ubiorem, lubianą była powszechnie. Chowała się, jak wąż do kątka, szanowała bardzo dostojne panie noszące koronki, brylanty i imiona świetne, a śmiała się z nich z mężem pocichu.

Całą pociechą jéj życia, celem jego, było wychowanie dwóch córek, ładnych dziewcząt, żwawych, rozbudzonych, figlarnych, posiadających wszystkie przymioty ojca, ale nieskończenie wykształceńszych od rodziców i wzdychających do świetnego losu. Liza i Micia o rok tylko jedna od drugiéj różniące się wiekiem, miały guwernantki w domu, próbowały pensyi w mieście, z zapałem oddawały się francuzczyznie i muzyce, czytywały wiele i bez wyboru, i wyrosły na dwa aniołki wiejskie, niebezpieczne dla młodych zapaleńców i dla starych magnatów. Obie marzyły o miłości, ale... gotowe były nawet to marzenie poświęcić na ołtarzu rzeczywistości z milionem i tytułem...

Rodzice cieszyli się panienkami niewymownie, czasami zlekka prostując ich pojęcia i ochładzając morałami wybryki fantazyjne, ograniczające się na słowach, w ogóle jednak zostawiali im wiele swobody, mając wysokie wyobrażenie o instynkcie ich, rozumie i znajomości świata z książek zaczerpniętéj. Pan Zamorski w niemym zachwycie słuchał ich dowcipnego szczebiotania, a matka, choć niekiedy ruszała ramionami, dumną była ekscentrycznością miłą swych córek.

Liza, starsza o rok od siostry, miała i tę piękność, jaką na chwilę w życiu daje młodość każdéj kobiecie, i niewysłowiony wdzięk trzpiotowatego dziecięcia, które jak ćma lata koło ognia, niechcąc rozumiéć, że skrzydła popalić może. Nie kosztowało ją nic dowcipne słówko, dwuznacznik, zaczepka śmiała; żalotną

była naiwnie, natarczywie, zabawnie. Wiek czynił ją niemal dzieckiem, wiele obiecującém, nie miała bowiem nad lat ośmnaście, a matka, przez rachubę i do tego się jéj przyznawać nie dozwalała. Utrzymywała, że tylko tak nadzwyczaj jakoś prędko się rozwinęła. Ciekawa, ruchliwa, niezmordowana Liza, na swój wiek znała złych i dobrych rzeczy świata, aż do zbytku. Życie się jéj przedstawiało jak bardzo zabawna rola do odegrania, w któréj miała za sobą ogromne szansy powodzenia: piękność, młodość, wdzięk, dowcip, wreszcie i rosnący majątek ojcowski wchodziły w rachubę.

Misia, o rok młodsza tylko, choć miała może więcéj dowcipu niż siostra, daleko była skromniejszą na pozór, mniéj się z nim popisywała, ale wejrzenie jéj i słowa większą miały potęgę i silniejsze czyniły wrażenie. Liza opanowywała w pierwszéj chwili, zawracała głowy komu chciała, chociaż się one późniéj łatwo odwracały. Misi zapomniéć było trudno, zwłaszcza ci, co się do niéj zbliżyli poufaléj, pociągnięci się czuli urokiem, jaki na nich wywierała.

Liza i Misia obie były małego wzrostu, jak rodzice, zręczne, wdzięczne, rumiane, żywe, podobne do siebie, ale jeden typ różnie się w nich rozwinął: w starszéj więcéj miał promienistości, jeśli się tak wyrazić godzi, w młodszéj więcéj skrytéj siły. Oczy pierwszéj strzelały i raziły blaskiem, drugiéj dziwiły tajemniczym wyrazem. Twarzyczki ocienione włosami obfitemi, gdy się na nie patrzało z osobna, przypominały jedna drugą pokrewnym jakimś wyrazem, gdy były razem, stawały się zupełnie odmienne. Liza wyrzucała Misi jéj bojaźliwość, Misia przerażona była często śmiałością zbyteczną siostry. Godziły się z sobą, kochały, a jednak dwa te charaktery w skrytym były antagonizmie.

Na tle domu zupełnie szlacheckiego, dostatniego, ale niewykwintnego, dwie panienki dziwnie się trochę wydawały, jakby dwa hollenderskie tulipany wykwitłe na grzędzie wśród poczciwéj kapusty. Dla nich na folwarku, w którym salon miał pułap

belkami przyozdobiony, musiano postawić fortepian Bösendorfera, a do prostych sprzętów pana dzierżawcy przybywały codzień eleganckie fraszki, niezbędnie panienkom potrzebne. Obie one byłyby dom rodzicielski zupełnie przeistoczyły na swój sposób i przebrały go po europejsku; matka byłaby może nawet zgodziła się na to, ale ojciec, choć kochał córki, stanowczo się temu opierał.

— Z tego to nic nie będzie — mówił. — Jeszcze czego! jeszcze czego! aby mówiono, żem i ja na pana zachorował. Spuśćcie się na mnie, tak lepiéj. Po was widać, żeście do czego innego stworzone, i że nikomu wstydu nie zrobicie, ale ja muszę zostać czém byłem, z tém mi lepiéj. Jestem sobie skromnym panem dzierżawcą, którego wszyscy szanują, bo wiedzą, że się dorabia i ma coś w kieszeni, a ze zbytkiem jutroby zawitała jeśli nie golizna, to wątpliwość... mówiliby: Ehe! Już i Zamorski pana udaje, będzie i on cienko śpiewał rychło... Tego ja niechcę i na to nie pozwolę. Nie, nie, nie.

Ściskał Lizę i Misię, kupował im co chciały, ale domu nie zmienił. Stara kanapa została przy dawnych swych prawach, panny się podąsały w kątku i zamilkły.

Przed przyjazdem pana Teodora, Zamorski mocno chodził zamyślony. Zwykł on był zawsze każdą czynność i krok w życiu naprzód rozbierać i ważyć. Stosunek z dziedzicem był dlań niezmiernéj doniosłości. Z listów znał charakter człowieka, ale domyśléć się, jak postąpi sobie przybywszy na powrót do kraju, nie umiał. Spodziewał się rachunkami go wykwitować i nabyć za mało co Zieleniewszczyznę; nadzieja ta jednak słabą była, bo majątki szły w górę, a wszystkie długi pana Teodora jeszcze połowy wartości rzeczywistéj majątku nie dochodziły. Z niezmierną więc przebiegłością należało chodzić około znudzonego starego kawalera. Państwo Zamorscy wieczorem sam na sam odprawili naradę w tym przedmiocie.

Żona w podobnych razach służyła poczciwemu Zamorskiemu

za partnera wygodnego do rozmysłów. Niekiedy zadawała mu do rozwiązywania trudności, które się jéj nastręczały, a jemuby samemu na myśl nie przyszły; czasem potakiwała i utwierdzała go w jego przekonaniach; zamiast mówić sam z sobą, rozmawiał z tą drugą połową swą... i wychodził po naradzie z nią najmocniéj przekonany, że to, na co się oboje godzili, dobrém być musiało. Pani Zamorska miała rozsądek zdrowy, spokój wielki i często była ostrożniejszą od męża, tak, że go mitygowała i poskramiała.

Gdy przyjazd dziedzica został oznajmiony, zamknęli się oboje państwo na cichą naradę tajemną, którą jednak ciekawa Liza mimowolnie przez trzpiotostwo podsłuchała.

— No, więc tedy przybywa! nieuniknione rzecz — rzekł mąż — nie ma rady.

— A niech jedzie, to cóż? czém prędzéj tém lepiéj, raz przecie skończyć potrzeba.

— A pewnie, ale dopiéroż to będzie robota... gdy zobaczy!

— Co zobaczy? u nas nie ma co widziéć, a we dworze? dobrze mu tak, dobrze — mówiła Zamorska robiąc spokojnie pończochę — gdyby był tego, z pozwoleniem, starego osła nie osadził we dworze, a nam go dał na mieszkanie, zastałby wszystko jak należy. Sam sobie winien. Posadził tu tego głupiego szpiega... otóż ma!

— Stary będzie na nas psy wieszał.

— Wcale się o to nie ma co troszczyć... Olszak się rozpił, będzie bredził trzy po trzy, znudzi go, i tyle. Nie ma się co obawiać. Cóż powié? co powié?

— Ale ba! — westchnął Zamorski — prawdą a Bogiem, cośby się tam znalazło z drobnych rzeczy, wszelako ja się o to nie boję. Bóg z nim, gorzéj, że gdy sam tu przybędzie, może znaléźć sposób oczyszczenia majątku, i Zieleniewszczyzna się nam z rąk wyśliznie.

Jéjmość milczała chwilę, patrząc na pończochę.

— Przed niewodem ryb nie trzeba łapać — rzekła po cichu. — Człek nie bardzo stary... znudzony... kawaler... mój jegomość, różne się rzeczy trafiają. Ja mam jakieś takie przeczucie, że my go sobie łatwo przyhołubić potrafimy.

A ciszéj dodała, jakby na próbę:

— A gdyby mu się która podobała!

To mówiąc, podniosła głowę i postrzegła, że Zamorski promieniał, śmiał się i do ręki jéj skoczył, aby za tę myśl swą trafnie odgadniętą pocałować.

— Jak to my zawsze z tobą, moja duszko się zgadzamy — rzekł z uniesieniem. — Naprawdę, nie śmiałem sam z tém wystąpić, ale mi to ciągle po głowie chodziło. Prawda, że Liza ma lat...

— Co tam lata! kto te lata liczy — przerwała żywo pani Zamorska nie lubiąca podobnych rachunków. — On ma lat...

— A no, z pięćdziesiąt, ale słyszałem od tych, co go widzieli niedawno, że bardzo pięknie się zachował i wygląda młodo. Stary bałamut.

Jéjmość ruszyła ramionami.

— Byle tylko pomieszkał tu, to mu Liza głowę zawróci — rzekła cicho — to tak, jak amen w pacierzu. Człowiek z wielkiego świata, ona do takich ma szczególny pociąg. Dla starego bałamuta takie dziewczę jak malina...

Spojrzeli po sobie.

— Ale by biedna Liza — począł mąż.

— Dlaczego ma być biedna! co znowu! Starego wodzić będzie jak zechce, toć to przecie dla kobiety, jeśli nie całe szczęście, to połowa większa. Człek majętny, z imieniem, ze stosunkami.

Poczęli oboje potrząsać głowami.

— Tylko mój jegomość — dodała matka — cicho, Lizie o tém ani wspominać, to przyjdzie samo... zobaczysz. Nabrałaby

wstrętu gdyby jéj narzucano, a sama, ręczę, że się zaraz weźmie do niego, i... że zbałamuci, to zbałamuci.

— Gdyby się z nią ożenił, a no, jabym na Zieleniewszczyznie gospodarował, i na całe życie bylibyśmy spokojni. Przytém przez stosunki i Misia by lepiéj za mąż wyjść mogła.

— Już dosyć, cicho! cicho! — oglądając się dokoła, odezwała pani i drut od pończochy położyła na ustach, wskazując na drzwi.

Ostrożność była w istocie potrzebną, ale zapóźną, Liza w téj chwili pierzchnęła po cichu od drzwi wysłuchawszy rozmowy, z główką zaognioną. Myśl macierzyńska przypadała jéj do smaku; miała cel, miała zajęcie i w przyszłości świetny los, ku któremu godziła zawsze. Nietylko się jéj to dziwném nie zdało, ale nadzwyczaj trafném i z rodzicielską troskliwością obmyślaném.

Zataiła przed Misią zdobytą podsłuchem tajemnicę.

Nadjechał pan Teodor. Pierwszych dni mało się pokazywał na folwarku, nie narzucano mu się wcale. Zamorscy czém mogli służyli, a potrzeba było czego i nieustannie, bo w starym dworze wszystkiego brakło. On sam chodził ciągle z miną wesołą, z pokorą dzierżawcy dla dziedzica, z czołem pogodą jaśniejącém niewinnego w sumieniu człowieka. Pan Teodor zrazu przybity, wprędce szukając rozrywki, sam począł chodzić po nią na folwark. Znalazły się panny w salonie, Liza występowała nie jak była zwykła, ale z jakąś sztuczną powagą i zabawną dystynkcyą dziecinną. Wpadła w oko panu Teodorowi, ale w pierwszych dniach zdawała się stronić od niego, była zimną. Dopiéro bliżéj go poznawszy, odważyła się wystąpić w charakterze sobie właściwym. Jéj powolnie rozmarzająca trzpiotowatość zachwyciła starego kawalera, ale, mimo początkowéj powagi, obchodził się z nią prawie jak z dzieckiem. Na myśl mu nawet nie przyszło, aby się mógł jéj latom ośmnastu ze swemi pięćdziesięcioma zalecać.

Rozbudziło go to tylko i... dziwném stowarzyszeniem idei, wprowadziło na myśl ożenienia, ale z kimkolwiek bądź innym.

W ten sposób raz postanowiwszy żenić się, wpadł pan Teodor na myśl starania się o... hrabinę Wandę. Prostoduszny człowiek wyspowiadał się z tego sam na sam przed Zamorskim. W pierwszéj chwili dzierżawca, zręczny zawsze, myśli téj przyklasnął, znalazł ją bardzo właściwą, szczęśliwą, piękną, doskonałą, następnie począł różne podsuwać trudności i wątpliwości.

Żona przypuszczona do tajemnicy przestraszyła się téż zrazu, lecz po naradzie oboje się uspokoili tém, iż hrabina Wanda, gdyby nawet za mąż wyjść miała, pewnieby sobie stosowniejszego drugiego męża, a nadewszystko młodszego znaléźć musiała.

Zamorski jednak nie zupełnie się tém zadowolnił.

— Jak ono jest to jest... człowiek zręczny i umiejący się kobietom podobać; djabeł nie śpi, trzeba tam kogo innego posunąć, i sparaliżować te głupie konkury. Liza nie umié się téż do niego wziąć!

— O co to, bardzo przepraszam — przerwała żona — ja bacznie każdy krok jéj uważam. Gdyby miała tę myśl, a pewno jéj to do głowy nie przyszło, nie mogłaby rozumniéj postępować. Dziewczyna ma takt i instynkt wrodzony, jak rzadko.

— Ale on ją ma za dziecko.

— To nic, tém lepiéj; niech-no się tylko rozpatrzy, rozmówi, nazwyczai, no... zobaczysz.

Następnych dni znalazły się rozmaite pozory dla wciągania pana Teodora, to na obiad, to na wieczerzę, na folwark. Liza i Misia bawiły starego kawalera, a starsza, którą bolało, że ją za dziecko uważał, popisała się przed nim z niektóremi czytanemi książkami, dowodzącemi okrutnéj emancypacyi. Matka nie znając tych dzieł, nie mogła ocenić postępowania córki. Pan Teodor ogromne oczy otworzył, i raźniéj poszła rozmowa, która go wielce ubawiła.

Mimo to, mówił sobie ciągle, że ma lat ośmnaście, a on pięćdziesiąt i coś, i że... mogłaby być jego córką. Nie przypuszczał więc nawet podobnego związku.

Omylili się oboje państwo Zamorscy na charakterze starego kawalera, w którym wielki udział brało lenistwo. Jakkolwiekby mu się uśmiechało wziąć tak śliczną, młodziuchną dziewczynę, obawiał się tego więcéj, niż pragnął. Dreszcz go przechodził na myśl niepokoju, jakiby to szczęście wniosło z sobą do domu. Młodziuchna pani musiałaby się bawić, jeździć, trzpiotać; a staremu kawalerowi uśmiechał się już spokój domowy, cisza błoga i to szczęście bierne, które daje usunięcie się od walki i prądów gorętszych żywota.

Hrabina Wanda, która przeszła szkołę doświadczenia, była dlań ideałem; zdawało mu się, że i ona potrzebowała tylko odpoczynku i owéj błogiéj ciszy, pół-snu, pół-marzenia, *dolce farniente* wśród zbytku i miłych stosunków przyjacielskich.

Tego usposobienia w panu Teodorze, zręczni państwo Zamorscy wcale nie odgadli, nie mogła go téż zgadnąć Liza, która w młodéj główce wystawiała sobie, że stary człowiek żywą młodością będzie pragnął ubiegłą swą przypomniéć i zastąpić. Trzpiotała się więc i zamiast go pociągnąć ku sobie, bawiła, ale przestraszała....

Stary kawaler, pełen uwielbienia, drżał na myśl samą takiéj towarzyszki z żywego srebra.

Zamorski nie zdradzając się wcale, gdy znowu mowa była o hrabinéj Wandzie, rzucił tę myśl, że się w niéj niegdyś kochał pan Krzysztof i że, któż wié, może on, mający pierwsze prawo do jéj ręki, mógłby blizkiemu krewnemu miéć za złe, gdyby nie wspomniawszy mu nawet o swéj myśli, nie starając się z nim rozmówić o tém, posunął się w konkury do wdowy. W ten sposób nieznacznie namówił go do odwiedzenia pustelnika w jego zamczysku. Sam zaś mieszkając o granicę, znalazł pozór jakiś sąsiedzki, do odwiedzenia hrabinéj. Bywał on u niéj za

życia męża i po owdowieniu; odwiedziny więc nie mogły dziwić nikogo... Nie mówiąc o tém nic żonie, dobrawszy sobie bardzo zręcznie powód jakiś, z interesu wypływający, Zamorski włożył najlepszy frak, oblał się wódką kolońską, aby gospodarską woń, którą z sobą nosił odpędzić i jednego poobiedzia wyruszył, nastroiwszy bardzo poważne oblicze, do jaśnie wielmożnéj hrabiny.

ROZDZIAŁ VI.

Piękny pałacyk w Zamostowie, stał wpośród parku, utrzymywanego z wielkim smakiem i kosztem. Drzewa i kwiaty stanowiły jedyną zabawę i pociechę pięknéj hrabiny, która wpośród nich tylko czuła się szczęśliwszą i weselszą. Stworzyła ona sobie z nich jakiś niby idealny świat, po za który rzadko się wychylała. Ogromny ogród ze staremi drzewami, ze stojącemi i drzémiącemi wody swemi, ze ścieżynkami krętemi, gubiącemi się wśród cienistych głębin, był najulubieńszą przechadzką pani. Nieustannie coś tu sadziła, obcinała, poprawiała, przerabiała, sprowadzając drzewa, przypatrując się ich wzrostowi, tworząc sobie jakiś sztuczny cel w życiu, które już żadnego nie miało.

Samotne życie wiodła hrabina Wanda. Mieszkała otoczona liczną dosyć, ale milczącą służbą, z jedną nie młodą i bardzo nie ładną towarzyszką, którą los najdziwniéj jéj narzucił. Panna Kornelia Salowska, była krewną Wandy, zwała się jéj ciocią, ale że ten tytuł przykre na niéj czynił wrażenie, zmieniła go na kuzynkę.

Panna Kornelia nigdy nie była ładną, nawet w roku piętnastym życia, gdy wszystkie kobiety mają chwilę wdzięku, jaki przynosi im rozkwit wiosenny. Z wiekiem, dochodziła bowiem do lat trzydziestu i siedmiu, panna Kornelia stała się przestraszająco brzydką. Twarz jéj zwiędła od jakichś cierpień i zawodów, płeć zciemniała, znaczna część włosów znikła przedwcze-

śnie; zostały jéj tylko śliczna rączka biała, mała nóżka i kibić, z któréj szukała chluby, niezmiernie dbając o jéj uwydatnienie, a naostatek żywe oczy czarne, w których mieszkał jakiś ogień niespokojny. Jak wszystkie nieszczęśliwe heroiny, panna Kornelia miała nienawiść do świata, ohydę ludzi, najgorsze wyobrażenie o mężczyznach; lubiła plotki, cieszyła się nieco biedą cudzą, naostatek hodowała koty, i haftowała na kanwie ogromne, olbrzymie dywany, które miały w jéj przekonaniu nie ustępować gobelinom.

Pani hrabina wzięła ją do domu przez miłosierdzie nad jéj osieroceniem, gdyż panna Salowska wprzódy mieszkała sama w małym dworku w miasteczku i przeklinała rodzinę, która, obawiając się jéj złośliwości, domów jéj swych otworzyć nie śmiała. Rzadko dwa charaktery mniéj z sobą zgodne do wspólnego życia los sprzęga. Wanda była milczącą, smutną, poważną, patrzała na życie z łagodną rezygnacyą dobrowolnéj męczennicy; Kornelia, gadatliwa, gniewna, zła, posądzająca, zgorzkniała nadawała sobie pozór nieznośnéj sekutnicy. Trzeba było anielskiéj cierpliwości, aby z nią wyżyć i nie oburzyć się czasami. Wanda nauczyła się uśmiechać, słuchać bez niecierpliwości i zwolna tylko łagodzić rozjątrzenie kuzynki. Litując się nad nią, starała się uprzyjemnić jéj życie wszelkiemi sposoby; było to wszakże prawie niepodobieństwem, gdyż panna Kornelia gwałtownie pragnęła wyjść za mąż, a znaléźć człowieka coby ją odważył się poślubić, zdawało się niepodobieństwem.

Nietylko znosić musiała Wanda przykre wybryki kuzynki i jéj humory kwaśne, ale częstokroć wystąpienia jéj wobec ludzi, co się stawało trudném i kłopotliwém. Panna Kornelia bowiem z wielkiem upodobaniem popisywała się przed wszystkiemi ze swą ekscentrycznością, i zdziwione oczy hrabiny Wandy powstrzymać jéj nawet nie mogły.

Dwie kobiety tak różnych temperamentów zostawione same sobie, gdyż gości z początku nie wielu bywało w Zamostowie,

może dlatego wytrzymać mogły, że się tak charakterami od siebie oddalały. Wanda napróżno starała się nawrócić Kornelię na swoją spokojną, nieco fatalistyczną rezygnacyę; Kornelia zżymała się i niecierpliwiła na widok tego spokoju kuzynki, lecz ani do gniewu, ani do wybuchu chwilowego doprowadzić ją nie mogła. Niekiedy hrabinéj twarz okrywał tylko purpurowy rumieniec, milczała czas jakiś patrząc w okno lub na podłogę i wracała do swego chłodu zwykłego.

— To kobieta z lodu i kamienia! — mówiła sobie panna Kornelia — nie ma serca, nie ma czucia, dobra jest, ale apatyczna, prawdziwie niewiem, jak dla niéj ludzie szaléć mogli.

W rzeczy saméj hrabina była ze wszech względów nieskończenie wyższą istotą, któréj taka panna Kornelia ani pojąć, ani ocenić nigdy nie mogła.

Rodzajem marszałka dworu był niejaki Wyżewski, niegdyś rejent i przyjaciel domu rodziców hrabiny Wandy, zubożały człowiek, przybity stratą całéj rodziny i majątku, któremu Zamostów dawał przytułek od dawna. Poważnéj postaci, siwy, prosto się zawsze trzymający, z sygnetem krwawnikowym na palcu, małomówny, smutny, rejent był nieposzlakowanéj zacności człowiekiem i wielkiego serca. Jemu powierzoną była zwierzchność nad służbą, a nawet nad gospodarstwem. Milczący zwykle, na pozór zimny, trzymający się zdaleka, Wyżewski oddawał znakomite usługi pani Wandzie i był aniołem stróżem Zamostowa, jak ona go zwać zwykła. Należało do niego właściwie wszystko, wglądał w każdy kąt i obawiano się go niezmiernie. Panna Kornelia z wielu a różnych powodów cierpiéć go nie mogła, lecz znosić musiała. Miał za to szacunek i wiarę u saméj pani, dla któréj gotów był życie poświęcić. Nie on zresztą jeden we dworze żywił to uczucie dla hrabiny, miała ona tę władzę szczególną, którą niewiele kobiet posiada, że budziła przywiązanie dla siebie we wszystkich ją otaczających. Szanowali ją, nadskakiwali i każdy się miał za szczęśliwego, gdy mógł jéj uczynić jaką przyjemność.

Była téż hrabina dla całego swego dworu prawdziwą matką; oko jéj umiało dostrzedz i odgadnąć łzę, niepokój, potrzebę każdą, a dłoń śpieszyła z chętną pomocą. Całe jéj życie upływało na cichych takich uczynkach miłosierdzia, za które żądała tylko, aby jéj nie dziękowanò, i aby o nich nie wspominano. Jedno zarzucano pięknéj, miłéj i kochanéj pani. Choć nie wahała się brudnego dziecięcia wieśniaczego wziąć na ręce, choć dla najmniejszych i najlichszych była pełną łagodności i dobroci, jéj postać szlachetna, mowa powolna skąpa, ubiór wykwintny i smakowny, całe jéj obejście się pańskie jakieś i trochę chłodne pozornie, nadawały jéj — nazwisko arystokratki.

Szlachta uważała ją za zbyt wielką panią i czuła się w towarzystwie jéj nieco obcą i zakłopotaną. Smutek rozlany na twarzy, milczenie, rozważne odzywanie się, odstręczały od niéj wielu tych, co bliżéj poznać jéj nie mogli. Życie w Zamostowie płynęło bardzo spokojnie i jednostajnie; hrabina Wanda spędzała je na pielęgnowaniu kwiatów i ogrodu, na czytaniu książek i nut, które najczęściéj parę razy przegrawszy odkładała na półkę, by ich więcéj nie wziąć w rękę; na przechadzkach po parku i przejażdżkach po okolicy.

Tego dnia wiosny, gdy pan Zamorski wybrał się w odwiedziny do Zamostowa, hrabina Wanda była właśnie z książką w ogrodzie. Na turkot wózka, łaknąca gości i słuchaczów, panna Kornelia pośpiesznie ścisnąwszy pasek na czarnéj sukni i poprawiwszy loków przyprawnych *à l'anglaise* w zwierciedle, wybiegła co najrychléj do przybyłego, nie wiedząc nawet kto przyjechał.

Właśnie kamerdyner wprowadził do salonu pana dzierżawcę i prosił go o cierpliwości chwilę, gdy żwawa kuzynka wpadła szeleszcząc suknią na powitanie gościa. Zamorski był jéj dobrze znajomy, lubiła go nawet, bo słuchać umiał i uśmiechał się zręcznie na każde dowcipne jéj słówko; był więc na téj pustyni bardzo pożądanym.

— A! to pan — zawołała w progu zaraz — jakże się miewa

kochany sąsiad, jak pani i córeczki. Co słychać u państwa i co szanownego pana do nas sprowadza, bo, prawdę powiedziawszy, do naszych uroczystych nudów nikt się nie zgłasza z dobréj woli, chyba go interes zmusi! Nieprawdaż?

— A! pani dobrodziéjko! — zaprotestował Zamorski z głębokim ukłonem — jakże można...

— Ale, prawda przedewszystkiém, mój panie Zamorski, tak! tak! Siadaj pan, proszę — szczebiotała panna Kornelia, rada, że się jéj ktoś do rozmowy trafił — kuzynka zaraz nadejdzie z ogrodu, bo jéj poszli dać znać, jeśli tylko się zbyt daleko gdzie z marzeniami nie zabłąkała! bo — dodała poufnie ciszéj, z pewną złośliwością — my lubiemy marzyć jeszcze.

Zamorski milczał i słuchał; odwróciła zaraz rozmowę.

— Cóż u państwa słychać?

Dzierżawca się zamyślił.

— A, chyba tyle, że mamy miłego gościa, mojego dziedzica, zatém czas nam spływa przyjemniéj.

— E! e! — poczęła Kornelia — czyżeście państwo mu tak radzi? Stary, nudny kawaler, który młodego jeszcze chce udawać. Panny musi nudzić.

— Myśmy nie tak wybredni, pani dobrodziéjko.

— Chyba — wrzuciła panna Kornelia; — mnie się wydał niesmacznym i w pretensyach.

Dzierżawca, któremu o dziedzicu nic złego mówić nie wypadało, spuścił oczy.

— Mnie się zdaje — szepnęła przysuwając się stara panna — że on się jeszcze gotów ożenić i że w téj myśli do kraju powrócił. Jak pan sądzi?

— Nic nie wiem i nie umiem wnioskować — rzekł ostrożnie Zamorski — bardzoby to być mogło.

— Ja panu więcéj powiem — dodała, przelotny rzut oka obwodząc dokoła, jakby się lękała, ażeby ją nie podsłuchano — mnie się wszystko zdaje, że on kuzynkę Wandę ma na myśli.

Spojrzała w oczy dzierżawcy, który chwilę pomilczawszy, zdecydował się wreszcie bąknąć:

— Wié pani dobrodziéjka, że... że toby bardzo być mogło.

— Widzisz pan, żem odgadła! ja mam dosyć bystre oko — dorzuciła panna Kornelia — ale to nie ma sensu dla tych co Wandę znają. Najprzód ona wcale za mąż iść nie myśli; powtóre, trudnoby się jéj mężczyzna podobał, a...

— A i to nie jest dla nikogo tajemnicą — rzekł ośmielony Zamorski—że niegdyś się w hrabinie kochał, pono nie bez wzajemności, pan Krzysztof Pobóg, a — stara miłość.

— Tak! tak! słyszałam o tém, ale przestrzegam pana, że tu nazwiska tego wspominać nie wolno — poczęła żywo panna Kornelia. — Może to i dowodzi, że o nim nie zupełnie zapomniano, może iż do niego zachowało się w sercu żal, ale, to pewna, że ile razy przypadkiem napomknęłam o nim, zawsze się odwracała udając, że nie słyszy; ale mówmy lepiéj o panu Teodorze. Zkądże mu ta myśl małżeństwa odezwała się tak późno.

— Nic pani o tém powiedziéć nie umiem — szepnął w kapelusz patrząc Zamorski — mnie się z niczém tak dalece nie zwierzał.

— A to zabawna rzecz będzie, konkury starego kawalera do młodéj wdówki! — rozśmiała się panna Kornelia — nie trzebaby mu przeszkadzać, niechby wziął harbuza. Cha! cha! niechby się rozkochał do szaleństwa, toby było bardzo, bardzo zabawne! Na wsi musiemy się ratować choć takiemi dramatami, bo życie okrutnie nudne i jednostajne. To go tu Pan Bóg zesłał, prawdziwie, na pociechę naszą.

— Ja, jako wierny sługa szanownego mego dziedzica, żałowałbym go — dodał Zamorski.

— A! cóż mu się tam stanie — odparła Kornelia — w dwudziestu latach chłystki to sobie przynajmniéj w łby strzelają, ale taki zawiędły kawaler...

I zaczęła się śmiać stara kuzynka, zacierając ręce. Właśnie

wśród tak zajmująco rozpoczętéj rozmowy, weszła powoli z ganku od ogrodu hrabina Wanda, ze zwykłą sobie powagą i spokojem.

Zamorski, który ją dosyć dawno nie widział, uderzony był, jakby po raz pierwszy, wdziękiem téj postaci, zachowującéj cały urok młodości, spotęgowany tylko dojrzałością, która go posągowym, uroczystym oblała spokojem. Oczy jéj i usta jak niegdyś w pierwszych latach, piętnował smutek i uśmiech ożenione z sobą melancholijnym, poetycznym twarzy wyrazem. Wanda chodziła zwykle czarno i bardzo skromnie ubrana, ale z niezmierném staraniem i smakiem. Piękność jéj, można powiedziéć, była składową częścią charakteru; chciała być piękną, nie będąc zalotną, czując, że taką stworzyła ją natura, że jéj taką być kazała.

To staranie o siebie posuwała do drobnostek piękna hrabina, chociażby miała być sama z sobą, choćby nie przyjmowała nikogo oprócz służącéj. Potrzebna jéj była ta piękność zewnętrzna dla saméj siebie. Nie zdawała sobie z tego sprawy, instynkt ją prowadził, lecz ten był tak silnym, że się mu oprzéć nie umiała, ani chciała.

Zamorski powstał na widok tego zachwycającego zjawiska, nie mogąc oprzéć się wrażeniu, jakie ono na nim, równie jak na innych, niemniéj prozaicznych czyniło istotach. Kornelia wstała także z krzesełka żywo i trzpiotowato nad wiek.

— Jakżeśmy to dawno pana w Zamostowie nie widzieli — odezwała się piękna pani, podając śliczną białą rączkę panu dzierżawcy. — Kuzynka pewno panu powiedziéć musiała, jak my tu samotne jesteśmy... sąsiedzi o nas zapominają.

— Pani hrabino dobrodziéjko — kłaniając się odparł jowialnie dzierżawca — ze mnie prostego hreczkosieja nie wielka pociecha. Człowiek stworzony do pracy, nie do salonu.

— Jedno się z drugiém godzi, panie Zamorski.

— W łaskawych oczach pani hrabiny — rzekł śmiejąc się dzierżawca.

Usiedli. Panna Kornelia rzuciwszy okiem szyderskiém na

szlachcica, wyszła zaraz, gdyż do jéj atrybucyi należały podwieczorki i herbata, a lubiła się rządzić w garderobie i po domu. W niedostatku rozmowy zadowalniała się nawet paplaniem ze służącemi, którzy nie bardzo jéj jakoś słuchali i niezbyt szanowali.

Po krótkim wstępie, pragnąc czémś usprawiedliwić przybycie swoje, Zamorski począł mówić o jakimś wymarzonym interesie małéj bardzo wagi. Szło o coś takiego, co wybornie sam pan rządca mógł, nie odwołując się do pani, rozwiązać; hrabina Wanda w kilku słowach zbyła się sprawy i rzecz była skończoną. Szlachcic jednak, grając rolę nadzwyczaj sumiennego człowieka, usiłował się wytłómaczyć z natrętności.

— Pani hrabina dobrodziéjka raczy mi darować — rzekł cisnąc kapelusz w rękach — iż ją trudziłem taką bagatelą, ale nie chciałem bez jéj wiedzy uczynić kroku. Wprawdzie łąki, których mi potrzeba, dostałbym może w lasach u pana Krzysztofa Poboga.

Tu spojrzał na hrabinę, któréj twarz okrył nagły rumieniec i wprędce niezwyczajna bladość; zwróciła oczy w stronę, usiłując odegrać obojętność; pan Zamorski mówił daléj.

— Ale z panem Krzysztofem, którego my nazywamy pustelnikiem, nadzwyczaj sprawa ciężka. Nie żeby to miał być zły człowiek, i owszem, ze wszech miar szanowny dziwak, ale do niego przystąpić niepodobna. Jak się raz zamknął na tym zamku ze starym sługą, ludzkie oko go prawie nie widziało. Od ludzi ucieka formalnie, zakazał kogokolwiek bądź przyjmować.

Hrabina, ochłonąwszy, zdawała się słuchać z pewną ciekawością nie przerywając wcale. Zamorski mówił uśmiechając się zwolna, jakby nie czuł, jakie czyni wrażenie i niczego się nie domyślał. Udawał dobrodusznego.

— A, już to, że o takiego drugiego oryginała trudno, to pewna — mówił Zamorski. — Całe dnie i tygodnie spędza czasem w lesie, śpi po budach, albo u swojego strzelca, kawałkiem

chleba i wodą żyć gotów, byle głód zaspokoił, a zdaleka cień ludzki zobaczywszy, zmyka jak przestraszony.

Hrabina nie odzywała się ni słowa.

— Raz, przypadkiem zabłądziwszy — mówił dzierżawca — znalazłem się w lesie pod tym jego zameczkiem, w którym on mieszka. Ruina, powiadam pani hrabinie dobrodziéjce, ruina dla puszczyków nie dla ludzi, dziura okropna. W koło gęstwina lasów nieprzebyta. Ja nie wiem jak ten człowiek tam sam lat tyle przeżyć może.

— Mnie się to tak dziwném nie wydaje — przemówiła wreszcie hrabina Wanda — nawykł do téj samotności, i jeśli mu z tém dobrze...

— Zapewne; ale szkoda takiego człowieka — rzekł Zamorski — ci co go dawniéj znali, odchwalić się nie mogą, i zdolności i charakteru, i serca pana Krzysztofa.

— Ruina majątkowa do tego musiała go przyprowadzić — cicho i w stronę patrząc z pewną obojętnością rzekła hrabina.

— Teraz-że dzięki Bogu Pobogowie z niéj wyszli tryumfalnie — odezwał się Zamorski — pan Paweł odkupił cały majątek familijny; dorobił się bardzo szczęśliwie.

— Słyszałam o tém — wtrąciła hrabina — ale pan Paweł ma rodzinę i z bratem dzielić się nie poczuje się pewno w obowiązku.

— Przepraszam panią hrabinę — rzekł żywo Zamorski — wiem najpewniéj, że oto w tych dniach pan Paweł się wdarł niemal gwałtem na zamek do brata, ażeby mu ofiarować pobyt w swych dobrach, gdzieby sobie życzył.

Hrabina spojrzała ciekawie i pytająco.

— No, i pan Krzysztof zburczał tylko podobno brata i nietylko nie przyjął ofiary, ale go odprawił ostro... ostro...

Wanda oczy spuściła, nie odpowiedziała nic.

— I mój pan dziedzic tam był także — śmiejąc się ciągnął daléj dzierżawca. — No, z tym, że byli w przyjaźni dawniéj, więc

jako tako jeszcze poszło, rozmówili się podobno dosyć znośnie. Cóż po tém, człek ów jak był dziki tak został. Pan Teodor powiada, iż zauważył, że mu się drugi raz nawet tam dobić będzie trudno.

— Pan Teodor długo tam był? — spytała hrabina.

— Kilka godzin. Powróciwszy, taki był przejęty widokiem i téj ruiny i tego puszczyka, że nie mógł się przed nami o nim nagadać cały wieczór.

— Cóż mówił? — zapytała chłodno hrabina.

— A, opisywał nam wszystko, dobrowolne to spartańskie jęgo ubóstwo, chléb razowy, pootłukane talerze, stare sprzęty, zamek ciemny i smutny, starego sługę, co tam z nim mieszka... gospodarstwo... psy.

Mówiąc, Zamorski wpatrywał się ciekawie w hrabinę, lecz z jéj oczów spuszczonych i marmurowéj fizyognomii nic już oprócz obojętności chłodnéj wyczytać nie mógł. Zabierał się opowiadać dłużéj jeszcze, gdy niespodzianie zmieniając rozmowę, pani Wanda zapytała go o żonę i dzieci.

Było to znakiem, aby ją nudzić zaprzestał, zmięszał się pan dzierżawca i grzecznie odpowiedziawszy krótko na pytanie, zamilkł. Zaczęto mówić o pogodzie, o wiośnie, o wszystkiém tém o czém się mówi, gdy się o niczém nie chce rozmawiać ważniejszém.

Podano herbatę, gość przeszedł do salonu, a tu zjawił się wyprostowany pan rejent, zwołany, jak się zdawało, aby pomógł bawić szanownego Zamorskiego. Urodzaje wiosenne, wyjście ozimin z pod śniegów, wschody jarzyny, wróżby urodzajów przyszłych wyszły na stół, hrabina zdawała się tém mocno zajmować. Panna Kornelia ziewała nieprzyzwoicie.

— Ale mój kochany panie sąsiedzie — rzekła w końcu zniecierpliwiona — przyjeżdżacie tak rzadko, iż moglibyście jadąc zrobić sobie prowizyą jakich takich nowinek, a nie prawić nam kobieciętom o łąkach, polach, zasiewach i innych tego rodzaju

ekonomskich interesach. A dosyć-że już tego. Mów pan! chce się kto żenić? rozwodzi się kto? kocha? stara? umiera? kłóci?

— Ale ja jestem stary hreczkosiéj — rzekł Zamorski.

— O tém słyszałam już i nie raz — rozśmiała się panna Kornelia — nie przeszkadza to panu być grzecznym, a grzeczność wymaga, abyś nas bawił, choćbyś miał kłamać.

Uśmiechnęła się hrabina.

— Przez kwadransik — wtrąciła Kornelia — gdym miała przyjemność rozmawiać sam na sam, *tête-à-tête* z panem Zamorskim, dobyłam tylko z niego jedną wiadomostkę ciekawą, że pan Teodor pono ma matrymonialne zamiary. W ogóle nieokreślone, bez celu, ale, że się chce ożenić, aby miał kogoś, coby jego nieochybną pedogrę pielęgnował — to pewna.

— Pan Teodor? — spytała hrabina powoli — pan Teodor nie jest jeszcze tak stary.

— Daleko starszy, niż jego metryka — ciągnęła nielitościwa stara panna — żył prędko i zamaszysto i zapas lat swój wyszafował prędzéj, niż drudzy. Mąż z niego będzie najnieznośniejszy w świecie, za to ręczyć mogę. Nie ma straszniejszych małżonków nad starych kawalerów.

— A stare panny? — pocichuteńku, patrząc na swój talerz, wybąknął nieśmiało, i jakby mimowolnie, milczący rejent, bo mu się to widocznie wyrwało bez wiedzy, aż się przestraszony obejrzał, posłyszawszy sam te wyrazy, w nadziei, iż może uszły ucha słuchaczów.

Ale wybuch nagły śmiechu przekonał go niestety, iż próżno sobie pochlebiał, że mu to ujdzie bezkarnie. Nie mogła się wstrzymać od śmiechu hrabina, rozśmiał się Zamorski, panna Kornelia śmiała się także, lecz mściwém okiem, gniewu pełném rzuciła na rejenta. Było to jakby wypowiedzenie wojny nieubłaganéj.

Epizod ten rozmowę sprowadził z toru, jakim się toczyła. Panna Kornelia obróciła w żart przymówkę, Zamorski bardzo

zręcznie jakoś wplątał znów w opowiadanie swe pana Krzysztofa, lecz tym razem hrabina zwróciła oczy w inną stronę, zdawała się nie słuchać wcale i nie wmięszała się już ani słowem do rozmowy. Pod koniec jéj nawet wstała od stolika i poszła coś obejrzéć w wazonikach, które ustawione były przed oknami. Zamorski zręcznie zaczął mówić o czém inném.

Gdy po herbacie pożegnał hrabinę i odprowadzony przez rejenta do ganku, znalazł się znowu na swéj bryczce pan dzierżawca, począł rozbierać w myśli wszystkie szczegóły pobytu, rozmowy, wrażeń i wnioski z nich wyciągać, zdało mu się, iż mógł być spokojnym co do projektów pana Teodora.

— Tu on nic nie dokaże — rzekł w duchu — ta kobieta albo nikogo nie kocha, albo jeszcze zachowała miłość dla pana Krzysztofa. Gdyby ich do siebie zbliżyć, byłoby to prawdziwie, prawdziwie rozumnie, pięknie i uczciwie, a nie zaszkodziłoby dla bezpieczeństwa, bo... a nuż się kobieta znudzi, a nuż pan Teodor, kat go tam wié, znajdzie jaką zarosłą drożynę do jéj serca. Héj — zawołał nagle, jakby myślą jakąś uderzony Zamorski do woźnicy — héj, słyszysz, zbocz-no tak, abyśmy do chaty Wilczka zajechać mogli, mam z nim coś do pomówienia!

Z Wilczkiem, który znajomości ani szukał, ani unikał, pan Zamorski, jako sąsiad spotykał się czasami, a był z nim, jak ze wszystkiemi, w doskonałéj zgodzie i przyjaźni. Pochlebiał mu nawet, wedle swojego obyczaju, wynosząc wielce jego naturalny, zdrowy rozsądek. Wilczek miał ludzką naturę, bądź co bądź, pochlebstwo mu smakowało trochę, dobrodusznie Zamorskiego miał za prostego, a serdecznie poczciwego człowieka.

Rzadcy bywali goście u Wilczka, bo i on téż w domu nie siadywał, częściéj bywał w lesie i na granicach. Gdy bryczka gościńcem po nad Pobogowszczyzną idąc zatrzymała się i przed wrotkami wysiadł z niéj pan Zamorski, przeciwko któremu pobiegł zawzięcie szczekając Grzmilas, a za Grzmilasem piękna Dosia i chłopiec, w chacie państwa Wilczków wszystko się zerwało

na nogi. Stary tylko co był z lasu powrócił, poznał zaraz po koniach i po wzroście a postawie Zamorskiego i ochotnie ku niemu wyszedł sam. Grzmilasowi nakazano, aby się przyzwoicie znajdował, Dosia otworzyła wrotka i pan Zamorski witając ją uprzejmie, wszedł na łączkę przed chatą.

Wilczek stał też z odkrytą głową, wyszedłszy na gościa spotkanie. Dzierżawca podał mu rękę.

— Jakże się miewasz, szanowny sąsiedzie — odezwał się wesoło — kopę lat, kopę jakeśmy się nie widzieli.

— A no, prawda — odparł stary — ale co pan chce, wy pracujecie w polu, ja w lesie, ludzieśmy nie wolni, jak Bóg przy. kazał, w pocie czoła chleb pożywamy. Każdy idzie swoją drogą, a drogi nasze rzadko się schodzą.

— Prawda! prawda! rozumny z was człek, panie Wilczek, rozmówić się z wami miło, — począł idąc ku chacie Zamorski — dlatego wracając z Zamostowa, a mijając wasz dworek...

— E! chałupę — poprawił Wilczek.

— Dom — rzekł Zamorski — zachciało mi się wstąpić, aby was zobaczyć.

— Bóg zapłać! czémże jegomości mam przyjmować?

— Dobrém sercem — przerwał Zamorski — niczém więcéj.

— Świeżuteńkie mléko! — rzekł Wilczek. — Dosiu, daj szklankę, to nie może zaszkodzić.

— A, proszę — ozwał się Zamorski i nie wchodząc do chaty usiadł na przyźbie Wilczkowi, który stał, wskazując miejsce obok siebie.

Dosia zawinęła się żywo około mléka. Z za drzwi pokazała się blada twarz pani Wilczkowéj i znikła.

— Bardzo sobie tu pięknie mieszkacie — ozwał się Zamorski oglądając do koła — dalipan, do zazdrości.

— W istocie, ani w raju by mi lepiéj być nie mogło — począł patetycznie zawsze Wilczek. — Nie ma dnia i godziny żebym w duszy temu zacnemu człowiekowi nie dziękował, który

mi tu dał przytułek. Tu mi się dopiéro wieść poczęło, tu odetchnąłem i zasmakowałem w życiu. Niech mu Bóg po wsze czasy błogosławi.

— Zacny człowiek to prawda, ale że dziwak to dziwak — wtrącił dzierżawca.

— Dlaczego dziwak? — ofuknął Wilczek — albo on nie ma prawa drugich tak samo nazywać. Czyni to co jego naturze przystało! Wszakci wszystkich pustelnikami robić nie myśli? toby było dopiéro dziwactwo. Każdy ma swoje potrzeby i widzimisia.

— Tak — poprawił się Zamorski, biorąc mléko, które Dosia w szklance ogromnéj na talerzu mu przyniosła, i uśmiechając się do pięknego dziewczęcia, tak — masz waćpan słuszność, ale mi żal tego człowieka, bo się marnuje, a mógłby być pożytecznym.

— To trudno — rzekł Wilczek powoli — zapóźno na to radzić.

— Ale ba — mówił Zamorski obejrzawszy się i sądząc, że go nikt oprócz Wilczka nie słucha, bo Dosia podawszy mléko, skryła się za zrąb ode drzwi — na toby była rada może.

— Jaka? — zapytał Wilczek.

— Znasz waćpan jego historyę? — rzekł Zamorski cicho.

— Piąte przez dziesiąte — przerwał stary — coś się słyszało, trochem się domyślał. Z bratem byli źle.

— E! to nic — mówił Zamorski zniżając głos. Pan Krzysztof się w młodości srodze kochał w pannie, którą potém wydali niemal gwałtem za hrabiego z Zamostowa.

— A no, to wiadomo.

— Otóż mu ta miłość pono odjęła ochotę do życia z ludźmi — kończył dzierżawca — ale cóż? Pan Bóg wypróbowawszy oboje, mógłby ich teraz zbliżyć ku sobie. Hrabina owdowiała, ten nie żonaty, hę? co waść myślisz, a tożby mogli się zejść znowu!

— Ale! ale! — niedowierzająco potrząsając głową, odezwał się Wilczek po namyśle — mnie się to nie widzi. Jak się raz taka złota nić urwie, mój panie drogi, już jéj potém nie złatać. I po co? któż to tam wié czyby szczęście znaleźli oboje zgorzkniawszy, oboje się zmieniwszy, hę! hę!

Zamorski patrzał na starego, który mówiąc to, nagle sobie przypomniał ową wycieczkę pana Krzysztofa pod płot Zamostowskiego ogrodu i — uderzony tém wspomnieniem, spuścił głowę, uciął i umilkł.

Tak to przerwanie dziwaczne, było widocznym skutkiem myśli jakiéjś wewnętrznéj, która nagle przyszła Wilczkowi, iż dzierżawca to postrzegł i wtrącił:

— O czém-żeś się to pan zamyślił tak, panie Wilczek?

Leśniczy stał jak rażony z głową spuszczoną, nie chciał mówić, a nie wiedział jak się wytłómaczyć.

— E! to tam nic, nic, to ja tak sobie kombinuję — westchnął po chwili stary — kombinuję, a no, dziwne ludzkie sprawy, dziwne.

— Waćpan co go tak kochasz i w którym on ma zaufanie, pan co do niego masz łatwiejszy przystęp nad innych — począł dzierżawca — waćpan byś powinien mu to poddać przecie, aby chociaż szczęścia spróbował. Niechby wylazł trochę, choć gwałt sobie zadawszy, z téj leśnéj skorupy. Będzie mu źle, któż broni do niéj powrócić? A ja waćpanu powiem pod sekretem, między nami, że mi się zdaje, iż.. — Tu się pochylił do Wilczka. — Mnie się zdaje, że w Zamostowie na niego czekają, hę?

Stary Wilczek zadumał się, ręką powiódł po czole, westchnął, obejrzał się. Zamorski wstał z przyźby właśnie i powoli począł iść ku wrotkom z panem Wilczkiem, zamyślonym głęboko.

— Osobliwszą mi to rzecz powiedzieliście — mruknął stary tak cicho, jakby się lękał sam siebie i własnego głosu — może gdyby sumienie dopuściło, i jabym mógł co do tego dodać nie mniéj szczególnego, ale muszę milczéć. Niegodzi się, niegodzi.

Zamorski spojrzał ciekawie, leśniczy wstrząsnął tylko głową i powtórzył:

— Niegodzi się.

Dopytywać nie śmiał dzierżawca, aby nie obudzać jakiegoś podejrzenia, obiecywał sobie drugim razem dobadać się więcéj. Pożegnali się u wrót, pan Zamorski zdala stojącą Dosię salutował, siadł na bryczkę i odjechał.

Wilczek ręce powkładawszy w kapotę powracał do domu, gdy mu Dosia zapłoniona drogę zabiegła przed samemi drzwiami. Jakiś dziwny wyraz zmienił jéj twarz zwykle spokojną i uśmiechającą się poważnie, zdawała się niemal rozgniewaną.

— Bóg widzi — zawołała do ojca — żem nie podsłuchiwała was, samo w uszy wpadło, ale cóż bo ten pan plótł? Co? oni naszego jegomości chcą żenić? czy co?

Wilczek spojrzał na dziecko i zdziwił się, tak Dosia była oburzoną i rozdrażnioną.

— A to piękna rzecz! — dodała żywo — piękna rzecz! A jemu to na co? Chcą go znowu wciągnąć tam, zkąd on musiał uciekać, tak mu dopiekło. Piękni ludzie! dobrzy przyjaciele! nieprawdaż tatku? I jeszcze się chcą wami do tego posługiwać? Zapewne!

Wilczek patrzał zdziwiony tém wystąpieniem.

— A tobież, dziewucho, co do tego? — zapytał bez gniewu, ale seryo — hę?

— Jakto? a toć my go tu wszyscy kochamy, jak ojca — dodała Dosia — i pozwolemy na to, żeby mu kamień do szyi przywiązali tacy przyjaciele, jak oto ten.

— Zkądże wiész, że kamień? dziecko jakieś? — śmiał się dziwnie Wilczek — cóż tobie jest?

— Co? złości mnie biorą! — mówiła Dosia. — Zkąd taka nagła miłość dla naszego jegomości, zkąd ta opieka? Toć to wszystko nie daremne. Gdyby oni go kochali, mieli czas przecie wcześniéj o nim pomyśléć.

— A co ty tam rozumiész! — westchnął stary — ot, nie bałamuć lepiéj i idź matce pomagaj. Po co tobie i nam mięszać się w te sprawy. Co nam do tego, co on z sobą pocznie?

Zawstydziła się nieco Dosia, fartuszek podniosła ku zapłonionéj twarzy, popatrzyła na ojca, pokraśniała mocniéj jeszcze, zamilkła, zawróciła się nagle i pierzchnęła w głąb' chaty. Wilczek zadumany siadł na przyźbie i powoli zaczął swoją fajeczkę nakładać, ale czoło mu się pofałdowało i posmutniał dziwnie, a gdy Wilczkowa wieczerzę podała i Dosia przyszła mu o tém oznajmić, musiała trzy razy jedno powtórzyć i ojca w ramię trącić, nim ją posłyszał i zrozumiał.

ROZDZIAŁ VII.

Pan Teodor nudził się mocno. Aby to sobie wytłómaczyć, trzeba było znać przeszłość jego. Rozpieszczony niegdyś przez matkę, gdy się uczuł swobodnym, puścił się w świat szukać tych wszystkich mniemanych rozkoszy życia, których nie zakosztował jeszcze. Był swobodny, młody i majętny, wszystko więc dlań stało otworem i świat zdawał mu się uśmiechać. Pan Teodor, który marzył długo i wiele, w którego wyobraźni gorącéj zawczasu płomieniste przyszłości wypiętnowały się obrazy, niezmiernie zdziwiony przekonał się wkrótce, iż rzeczywistość nieodpowiadała wcale powziętym o niéj nadziejom. Usiłował więc, przypisując to nieszczęśliwemu trafowi, szukać swych ideałów coraz gdzieindziéj; przez chwilę czasem łudził się, że je znajdował, ale wkrótce doznawał nowego zawodu. Zużywał się tak na nieszczęśliwe próby, płynęły lata, uciekała młodość, w końcu trzeba było przyznać się przed samym sobą, iż szczęście i ideały gdzieindziéj chyba być musiały, albo ich nie było wcale.

Po wysiłkach nastąpiło zniechęcenie, znużenie, niesmak do życia, brak celu w nim i znękanie, które spowodowało powrót na pogardzone domowe śmiecisko.

Do straconych złudzeń należało i przekonanie o własnéj wartości. Pan Teodor wybrał się w świat, pewien, iż będzie jedną z najcelniejszych ozdób jego, musiał się przyznać sam przed sobą, że bardzo podrzędną na nim grał rolę. Wyścigali

go nawet pośledniejsi od niego w ogóle, ale szczęśliwiéj uposażeni w środki popisania się przed ludźmi ze szczupłym zasobem. Kilka razy panu Teodorowi zdawało się, że dosięga pożądanego w społeczeństwie stanowiska, wprędce jednak tracił je przez jakiś fatalizm niepojęty.

Włoska księżna, piękna i młoda wdowa, z którą się miał ożenić, odbitą mu została przez jakiegoś Anglika daleko nadeń ekscentryczniejszego, starszego, i, jak on utrzymywał, głupszego; znakomita artystka Francuzka, któréj geniusz słynął naówczas w całéj Europie, była nań bardzo łaskawą, ale względy te podzielał z tylu innymi, iż na wartości straciły. Starał się potém o młodą i piękną Angielkę, która miała być milionową dziedziczką, a pokazała się zręczną awanturnicą.

Wśród tych przygód nie zbywało na pojedynkach, na otrzymanych ranach i na znacznych kosztach doświadczeń przedsiębranych. Miłość, równie jak przyjaźń, zawodziła. Pan Teodor dziwił się sam sobie, jak mógł podejrzanych często awanturników brać za bardzo przyzwoitych ludzi, jak się dawał zgrywać grekom, wyzyskiwać szalbierzom i wystawiać na śmiech chłystkom niepoczesnym. Otwierały mu się oczy zapóźno zawsze i gdy już przypłacił omyłkę. Londyn, Paryż, Bruksella, Rzym, Neapol, Wiedeń, Berlin, nie licząc stoliczek pomniejszych, dawały mu z kolei schronienie. W każdém z tych miast zrazu mu było doskonale, z zapałem robił znajomości, unosił się nad niemi, lecz po niejakim czasie opadały one, jak powiędłe kwiaty i zostawiały po sobie zeschłe łodygi kolące. Nikt lepiéj może nie znał Europy nad pana Teodora, jéj gospód i gościńców, latem uczęszczał do wszystkich wód, których zdrowie jego wymagać miało, zimą wędrował do miast; przez jedne stosunki łatwo do drugich dochodził; wciskał się w koła arystokratyczne, bo te mu były najupodobańszemi, unosił nad bohaterami salonów, ale niesmak przychodził wprędce. Nikt nie był w téj mierze nieszczęśliwszym nad pana Teodora; zbyt miał wiele rozsądku, aby

się długo dał oszukiwać, a nadto pragnął być oszukanym, żeby zrazu nie rzucić się na oślep w matnię. Przyszło do tego, że w duchu zazdrościł ludziom ślepszym od siebie i nie przeglądającym tak jasno do głębi charakterów.

Powrót do kraju był dlań ostatnim ratunkiem. Na progu i tu zawód go oczekiwał. Znalazł swą Zieleniewszczyznę pustką okropną, ruiną; Olszaka zniedołężniałym opojem, a majątek zawikłanym. Szczęściem na zręcznym do zbytku, ale pozornie dobrodusznym Zamorskim nie poznał się swym obyczajem pan Teodor, wziął go za jednego z tych wieśniaków serdecznych, o których słuchiwał niegdyś z tradycyi. Zamorski wydał mu się niezmiernie poczciwym hreczkosiejem, dorobkowiczem, względem którego nie potrzebował nawet mieć się na ostrożności. Cieszyło go, że tu przynajmniéj zbroję nieufności zrzucić może, niewiarę odłożyć na stronę i słów z ust wychodzących nie pilnować. Rozebrał się ze swych podejrzeń, jak czasem ludzie po balu zrzucają suknie i wdziewają wygodne szlafroki. Wszystko w domu Zamorskich zdawało mu się naiwne, proste, szczere, niekłamane, niefarbowane, wieśniacze: jak Bóg stworzył. Zakochał się prawie w Zamorskim, rozmiłował w samćj jéjmości, panny go bawiły, bo nie podejrzywał ani ich kolorów o róż, ani cery o bielidło, ani wyrazów o rachubę.

Liza wydała mu się uroczą postacią z obrazka Greuza, Misia jakby kreacyą Ary-Scheffera, folwark idyllą, nieco szorstkiemi rażącą stronami, ale za to wcale nie teatralną i nie przebraną. Pomimo to na myśl mu nie przyszło nawet, ażeby Greuze i Scheffer ze swemi utwory, co więcéj nad chwilową rozrywkę w życiu jego stanowić mieli.

Zamorski, trzeba przyznać, umiał nadzwyczaj trafnie obchodzić się z dziedzicem. Prowadził go instynkt ów chłopski, który często prześciga najmądrzejszą rachubę.

Nie ciągnął do swojego domu dziedzica, zapowiedziawszy mu z góry, że w nim wykwintnego towarzystwa, do jakiego nawykł,

nie znajdzie. To co w nim znalazł pan Teodor, po tej zapowiedzi, tém piękniejszém mu się wydać musiało. Podobali mu się wszyscy, aż do służącéj, która na folwarku równouprawnioną była do usług razem z lokaikiem w liberyi na starszego robionéj.

W starym dworze było nieznośnie, ciekło, wiało, cuchnęło; natychmiast trzeba się było wziąć do niezbędnych reparacyj, a że pan Teodor stuku i hałasu znieść nie mógł, choć się odgraniczył od rzemieślników, zbiegał często na folwark, aby na nieład nie patrzéć.

Tu go po prostu, ale serdecznie przyjmowano. Niewystępowano wcale i wiejska prostota obyczajów dopuszczała wiele wybryków, które zawsze na korzyść państwa Zamorskich wypadały

— *Ils sont adorables de naiveté!* — mówił pan Teodor, nie przypuszczając, aby tak doskonale naiwność odegrywać było można.

Zamorski wybiegał do gospodarstwa, pani do śpiżarni, Misia do gołębi, a Liza, zawsze przypadkiem jakimś bawiła dziedzica. Zbliżała się doń, jak dziecko niedoświadczone, wdzięczyła niby sama o tém nie wiedząc, pan Teodor zachwycał się, lecz... lecz ostatecznie nie podziałało to nań w ten sposób, jak się spodziewano.

Ten świat sielankowy nie był dlań jego światem; pan Teodor czegoś innego pragnął.

Po bytności w Zamostowie rozgorzał miłością starego kawalera dla hrabiny Wandy. To była idealna żona dla niego: piękna, poważna, urocza, arystokratyczna, znużona, jak on światem i z sercem ukołysaném po burzy.

Przyjęto pana Teodora bardzo dobrze i bardzo zimno; rachując się z sumieniem stary kawaler przekonał się, że zdobyć rękę i serce hrabiny było trudno. Cóż on jéj przynosił z sobą? nic nad trochę dowcipu, sarkazmu i doświadczenia, które nie były tu żywiołem ani pożądanym, ani może nowym.

Powiedział więc sobie, opierając się na pewnych danych z ży-

cia wydobytych, że powinien był grając rolę obojętnego przyjaciela, stać się niezbędnym, uczynić koniecznym, choćby tylko jak od nudów lekarstwo.

Systematycznie więc przedsięwziął oblegać tę fortecę, nie śpiesząc ze szturmem, któryby go mógł od niéj odpędzić na zawsze. Miłości udawać nie chciał, rachował na uwielbienie, szacunek i przyjaźń.

— Będę bywał — mówił w duchu — przyzwyczai się widywać mnie, starać się będę zabawiać ją, postaram się o kwiaty, zostanę bodaj ogrodnikiem, będę woził książki i nuty, zaprzęgę się do służby, któż wié? a mam czas!... przywiązanie powoli przyjść może.

To „mam czas“, nie bardzo było obmyślaném, gdyż w istocie, mimo starannego zachowania resztek młodości, na niedługo ich mogło starczyć panu Teodorowi.

Dwa razy w tydzień, jak febra, nieuchronnie zjawiać się postanowił w Zamostowie; panna Kornelia nawet go febrą po cichu przezwała, z czego zaledwie się uśmiechnęła hrabina, która pozostała nietylko chłodną dla gościa, ale zdawała się z każdym dniem być z nim ceremonialniejszą. Po jednych z takich odwiedzin wróciwszy przed wieczorem, smutny czegoś do domu, pan Teodor tylko co zasiadł dumać w swojém krześle, gdy go hałas rzemieślniczy do niecierpliwości przyprowadził. Znieść nie mógł tego gwaru. Czekał ażali robotnicy się nie rozejdą, gdy Zamorski w stroju ekonoma wracającego z pola zjawił się w progu, powitać swego pana.

— A! mój Zamorski — zawołał zobaczywszy go pan Teodor — myślałem, że utrapienia tego uniknę i wyjechałem z domu; wracam wieczorem, jeszcze ta ciżba tutaj.

— Dziś mają rachunki i wypłaty, zabawi to dłużéj — rzekł Zamorski — ale dlaczego pan do nas nie ucieka?

— Niechcę wam być ciężarem. Jakkolwiek nie gość, zawsze wpół jeszcze obcy jestem i będę wam przeszkadzał.

— Ale, bynajmniéj! — zawołał dzierżawca — ja przewidując nawet, że pan tu nie dotrzyma, przyszedłem od żony mojéj prosić go na herbatę.

Pan Teodor chwycił za kapelusz.

— Chodźmy, uciekajmy! — rzekł wysuwając się co najprędzéj.

Droga ze dworu na folwark najbliższa szła przez ów stary opuszczony ogród, w którym teraz najęci ogrodnicy gospodarowali. Zaczynał on przyzwoitszą przybierać postać. Chwasty i zarośla padały pod kosami i siekierami, przecinano zdziczałe i suche gałęzie, ścieżki już były oczyszczone w części i wysypane żwirem. Uśmiechnęło się oblicze panu Teodorowi, bo mu się młodość tu spędzona przypomniała. Zamorski narzekał na niesłychane koszta, które ogród nieużyteczny pociągać miał za sobą, Teodor jakby go nie słyszał, szedł zamyślony, gdy na zawrocie pod staremi lipami postrzegli dwie panny Zamorskie, przechadzające się w białych sukienkach.

— Niech się pan nie gniewa, żeśmy się tu wdarły nie mając prawa — zawołała Liza zdaleka. — Uciekamy! niewiedziałyśmy o jego powrocie.

— Ale cóż znowu! daję paniom prawo zabawiania się w ogrodzie, kiedy tylko ich wola i łaska gospodarowania w nim, jak się podoba.

Liza, do któréj się zbliżył, ustroiła sobie główkę dzikiemi kwiatkami i wyglądała w nich jak jakieś bóstwo leśne. Ten strój cudnym się wydał dziedzicowi.

— Bardzo pani z tém ładnie! — zawołał.

Liza się zarumieniła i jakby dopiéro przypomniała sobie kwiatki, poczęła je zrzucać z głowy.

— Pan się nie obrachował dobrze — przerwała — dając nam pozwolenie gospodarowania w swoim ogrodzie; nie wié pan z kim ma do czynienia. Tak! doprawdy! Ja passyami ogród

lubię, mam najdziwniejsze fantazye; gotowam go wziąć za słowo i zrobię mu szkodę.

— Nie cofam com powiedział — dodał pan Teodor — sama przyjemność widzenia pani wśród téj zieloności, na tle tych drzew, nagrodzi mi choćby nawet szkody.

— Mam więc być „stafażem“ w obrazku? — zapytała Liza.

Pan Teodor się roześmiał.

— Łapiesz mnie pani za słowa.

Gdy się ta żwawa toczyła rozmowa, pan Zamorski coś zaczął szeptać Misi, która przodem pobiegła na folwark, a sam zatrzymał się mając coś do pomówienia ze spotkanym ogrodnikiem, tak, że dziedzic z Lizą sam na sam pozostał. Nie było w tém nic nadzwyczajnego, i Liza bynajmniéj się tém nie zmięszała. Owszem, natrętnie w oczy patrzała, jak dziecko, panu Teodorowi, i uśmiechała mu się dziwnie, bawiąc go szybko podrzucanemi słówkami.

— Gdzie to pan dziś był?

— W Zamostowie.

— Pan tam bywa tak często!

— To jedyne sąsiedztwo.

— Czy piękna hrabina, ja jéj już bardzo dawno nie widziałam, podoba się panu?

Zmięszał się tym wystrzałem pan dziedzic.

— To dawna moja znajoma — rzekł po cichu — wygląda jeszcze bardzo świeżo i młodo.

— A! jeszcze! jeszcze! — I Liza śmiać się zaczęła. — Wszak pan powiedział: jeszcze? O! gdyby kiedy kto tak o mnie ośmielił się powiedziéć, tobym się gniewała!

Teodor się uśmiechał jakoś tęskno i z przymusem. Mimowolnie oczy się jego zwróciły na świeżuchną, jak pączek zaledwie się otwierający, sąsiadkę. Spotkał jéj wejrzenie straszliwie śmiało wymierzone na siebie, z dziecinną istotnie odwagą.

— Pan dziś czegoś jesteś smutny?

— Znudzony.

— Czém, odwiedzinami w Zamostowie?

— A! nie, ale stukaniną, którą zastałem w domu.

— I nie uciekł pan do nas?

— Bobym państwu zawadzał.

— Ale nie! nigdy! nigdy! — zawołała Liza — pan dla nas jesteś rosą ożywczą, pan nam możesz coś powiedziéć o tych krajach, które my tylko z książek znamy. My go słuchamy z taką ciekawością, pan nam jesteś tak pożądanym.

— Pani jesteś bardzo grzeczną, ale...

— Nie, ja jestem, niestety, często nawet niegrzecznie prawdomówną. My jesteśmy proste wiejskie dziewczęta, mówiemy co myślemy.

— A! pani! zachowajcie tę prostotę jak najdłużéj — rzekł Teodor — jest-to dar nieoceniony. Cóż to za męka z ludźmi, których zawsze tylko odgadywać potrzeba, a nigdy im wierzyć nie można.

Lizie po usteczkach różowych przebiegł niepostrzeżony uśmieszek, powiedziała sobie w duchu: — To on jest prostoduszny, że mnie tak wziął za słowo, — ale słuchała do końca i wcale się nie wydała z myślami.

— My pana tą naszą wieśniaczą prostotą nudzić musiemy i śmieszyć — dodała prędko. — Ja i Misia tak się pana bojemy!

To pochlebiło niewiedziéć czemu panu Teodorowi, westchnął.

— Czegóżbyście się panie bać miały starego kawalera.

— Ale pan wcale starym nie jesteś! — zaprotestowała Liza z wyrazem prawie oburzenia — pan się obgadujesz. Ja sądzę, że pan sobie lat i powagi dodawać musisz, bo wielu młodych, dokumentalnie młodych, starzéj od niego wyglądają.

To kadzidło, na rachunek naiwności, wprost rzucone w twarz panu Teodorowi, zdumiało go i ucieszyło razem.

Potwierdzało ono jego własne, głębokie w tym względzie

przekonanie; w istocie czuł się młodym, ale potrzebował być skromnym i zaprotestował wykrzyknikiem.

Liza niezmiernie zręcznie korzystała z chwili téj sam na sam spędzonéj z dziedzicem. Ośmielił się podać jéj rękę, twarz mu się rozjaśniła, zapomniał się, rozweselił i począł sypać dowcipami. Liza śmiała się do rozpuku.

Co chwila spotykał jéj wejrzenia tak ogniste, że je tylko młodość nieopatrzna dziewczęcia tłómaczyć mogła.

— Coby to z tego było — rzekł w duchu pan Teodor — gdyby tę istotę puścić w większy świat. Jakżeby głowy zawracała! Ale na wsi, za parę lat, kury sadzić będzie.

Jakby odgadując tę myśl, przyznała się panu Teodorowi, że nie bardzo wieś lubi, że bardzoby świat widziéć pragnęła i że tęskni za miastem.

— Życzenie pani łatwo się ziścić może — odparł pan Teodor — lada dzień wyjdziesz pani za mąż, a że na mężu potrafisz wymódz co zechcesz, za to ja ręczę.

— Ja za mąż iść tak prędko nie myślę — odezwała się Liza — będę wybredna, potrzebuję kogoś, kogoś, coby miał choćby suknie lepiéj skrojone, niż nasi wiejscy eleganci.

Pan Teodor śmiać się zaczął.

— Nie jesteś pani wiele wymagającą — zawołał.

Wchodzili właśnie na ganek folwarku, gdzie się i Misia znalazła, a tuż i sam Zamorski pośpieszył. Dziedzic puścił rękę Lizy, która zarumieniona od żywéj rozmowy, powiodła okiem tryumfującém po rodzicach. Zdawała się mówić siostrze i ojcu: Pierwsza bitwa wygrana.

Okrągluchna mama pośpieszyła także powitać wesołym swym śmiechem przybywającego pana Teodora, który dziwnie jakoś miło i dobrze uczuł się na folwarku, wśród tych poczciwych wieśniaków. Porównywał ich w duchu z towarzystwem, do którego był nawykły, a porównanie całkiem na korzyść Zamorskich wypadało.

Gdy po chwili weszli do *quasi* saloniku dosyć niesmacznego, przez który do jadalnego pokoju, gdzie herbatę podano, przechodzić było potrzeba, zastali już piękną Lizę u fortepianu od niechcenia przebiegającą klawisze jego z wprawą i lekkością zadziwiającą. Zadumana patrzała po salce, biegała oczyma po wchodzących i zdawała się igrać tylko z klawiszami.

Pan Teodor nie mógł się wstrzymać od komplementu o talencie wirtuozki, który mile ucho mamy połechtał.

— Ale bo pan nie wié, Liza na pensyi grywała w koncertach na ubogich, a nauczyciel jéj ostatni nazywał ją... jakże ją nazywał, moje serce? — zapytała zwracając się do Misi — bo mi to nazwisko wyszło z pamięci!

— Klarą Wieck! — szepnęła Misia.

— Tak! tak, Klarwiką ją nazywał — dokończyła pewna już siebie pani Zamorska. — Żeby pan słyszał, jak gra marsz węgierski Liszta, to można zdaleka pomyśléć, że cała kapela, aż się okna trzęsą.

Pochwały matki znacznie ostudziły zapał do idylli pana Teodora, nieznaczny uśmiech przebiegł mu po ustach, wrażenie, jakie Liza przed chwilą na nim uczyniła, zatarło się niezręcznością mamy.

Zaledwie zasiedli do herbaty, gdy Liza, rzuciwszy fortepian, przybiegła. Jakimś trafem (tu wszystko trafem się działo tak, jak było najdogodniéj), krzesło jedyne nie zajęte zostało przy panu Teodorze. Piękne dziewczę wśliznęło się śmiało i z niezmiernym wdziękiem poczęło gospodarzyć u stolika, posługując sąsiadowi.

Przy téj zręczności rączki bardzo kształtne, bieluchne, wypieszczone, mogły się popisać z sobą i wzrok starego kawalera długo się na nich zatrzymał. Były jeszcze trochę za różowe, ale w nich płynęła krew młoda!

Przy herbacie mówiono o przeróżnych rzeczach, Liza bawiła wszystkich przedziwnym humorem, rodzice spoglądali na siebie,

mówiąc sobie oczami: — Oczaruje go, chybaby był głuchy i ślepy.

Ale pan Teodor na wodzy się trzymał, wdzięk panny wrażenie na nim czynił, którego się lękać zaczynał, był grzeczny, choć widocznie ostrożny i wstrzemięźliwy. Nareszcie, gdy światło podano, a herbata i podwieczorek się skończył, Zamorski z cygarem wyprowadził pana Teodora na ganek. Zostali sami.

— Był pan dziś w Zamostowie? — odezwał się dzierżawca na pół żartobliwie — a cóż, jak tam idzie?

Pan Teodor wygadał mu się z planami swemi.

— Jakże chcesz, żeby szło? — odparł cicho dziedzic — mnie chodzi o to, aby się stosunki nie zerwały. Nie myślę wcale wdawać się w konkury i amory, w moim wieku byłoby to śmieszném, dobijam się szacunku i chcę się dać poznać.

— Słyszałem już kilka razy pana dobrodzieja mówiącego o swoim wieku — przerwał dzierżawca — ale słowo daję, że tego nie rozumiem. U nas bywało siedmdziesiątletni się żenili. Dopiéro od niedawna weszło w modę konie brać do uprzęży we trzech latach, a młodzież żenić we dwudziestu. Pan dobrodziéj jesteś tak zakonserwowany, że niktby panu nie dał nad trzydzieści kilka.

— Dziękuję ci, kochany Zamorski, niestety, metryka uczy rozumu!

Dzierżawca ręką zamachnął.

— Kto zdrów ten młody! — rzekł z cicha. — Pan, nie pochlebiając, każdéj kobiecie się podobać możesz, dlaczegóżby i nie hrabinie Wandzie, gdyby serce wolne miała, ale — tu sęk!

— Myślisz? — przerwał Teodor.

— Mówię co słyszałem i wiem, mogą to być bajki — kończył dzierżawca — ale chodzą słuchy, iż hrabina Wanda nigdy pierwszego swojego przywiązania do pana Krzysztofa nie straciła. Gdym był ostatnią razą, a zostaliśmy sam na sam, z jaką ciekawością mnie o niego wypytywała, wyrazić trudno. Nie

jestem wielkim znawcą serc ludzkich, jako prosty hreczkosiéj, ale w oczach się jéj malowało.

Pan Teodor namarszczony nie dał mu dokończyć.

— Ale mnie mówiono — przerwał — że tam o nim nawet wspomnieć w domu niewolno.

— Może to być dla domowych, jednak ze mną mówiła, słuchała i dopiéro, gdy panna Kornelia nadeszła, przerwała tę rozmowę.

Zasępiony dziedzic wstał z ławki i po ganku się począł przechadzać.

— Gdyby tak było w istocie, jak się domyślacie — odezwał się po namyśle — nie pozostawałoby mi nic innego, jak Krzysztofa tam napędzić, a samemu się usunąć, ale Krzyś wzdryga się wspomnieć o tém, zarzeka się najuroczyściéj, że życia nie zmieni. Ja go znam, uparty był zawsze, a dziś stwardniał bardziéj jeszcze.

— Czyż to ta jedna kobieta na świecie! — dodał Zamorski — przed panem jeszcze cały świat otwarty!

Pan Teodor, jak zwykle, uczuł się do zaufania i szczerości ze swym poczciwym dzierżawcą pobudzonym, był w usposobieniu do wywnętrzania się łatwego.

— Tak ci się to zdaje, mój Zamorski — rzekł zbliżając się do niego. — Dla mnie jednak stosowniejszéj wiekiem i charakterem partyi nie było; kobieta już nie pierwszéj młodości.

Zamorski głową potrząsł. — Tém gorzéj! — szepnął.

— Wszystko za nią mówi — kończył pan Teodor. — Nie mogę powiedzieć, bym w niéj był zakochany, to prawda.

— A cóż to warto małżeństwo bez miłości! — śmiejąc się dodał Zamorski — my prości ludzie mamy to za prawidło, kiedy się wybieramy w drogę wziąć zapasu jak najwięcéj, a gdy w małżeństwo, miłości co niemiara, bo bez niéj i ta podróż prędko się sprzykrzy.

Dziedzic stanął zamyślony, westchnął.

— Nie mówmy o tém — rzekł cicho — będzie. co z tego, dobrze; nie, to nie.

— My panu inną w takim razie znajdziemy — roześmiał się Zamorski dobrodusznie. — Jak Boga kocham!

Rozmowa na ten raz skończyła się wykrzyknikiem dzierżawcy, bo chmurny pan Teodor za rękę go ścisnął i nie żegnając kobiet, po cichu nazad chciał wyruszyć do dworu. Liza, jakby to przeczuła, ukazała się w ganku.

— Pan już ucieka? — odezwała się — a to ładnie? nie powiedziawszy nam nawet dobranoc. U nas na wsi tak po angielsku się nie wysuwa. Niedawno nas jeszcze w ręce całowano.

— Ja sądzę, że i dziśby się na to każdy skusił, gdyby nie lękał pań nudzić — rzekł wesoło, zawracając się pan Teodor. Z naiwnością Liza wyciągnęła mu rączkę maleńką i pochwycony za słowo stary kawaler przyłożył do niéj usta. Liza się zarumieniła, ojciec zaczął śmiać, pan Teodor szybko się pożegnał i zniknął.

Wszedłszy w ogród zwolnił kroku. Obraz figlarnéj Lizy stał mu przed oczyma.

— Jakież to miłe dziewczątko! — począł w duchu sam do siebie — co za prostota urocza, jaka niewinność cudna, jaka dziecinna szczerość! Żadna najwprawniejsza miejska zalotnica nie uczyniłaby takiego wrażenia, siląc się na nie, jak ta, która wcale nie myśli się podobać i idzie za instynktem natury! *Adorable!* — dorzucił wzdychając pan Teodor i dreszcz przebiegł po nim.

— Ale któż wié, co z tego kwiatka wyrośnie? — dodał. — Kto odgadnie w co się przemieni jéj naiwność, prostota i ten wdzięk niewinności? — Spuścił głowę. — Nie potrzeba się dawać téj pokusie; byłbym niegodziwy, gdybym korzystał z nieopatrzności tego dziecięcia i zaufania rodziców. Wprawdzie mają mnie za starego, ale zostawują ją godzinami ze mną sam na sam, znajduję ją w ogrodzie, dziecko znudzone garnie się widocznie. —

Uśmiechnął się do siebie. — Dowodzi mi, że nie jestem starym, no! przypuśćmy, żeby się jéj główina trochę zawróciła! Cóż daléj? Ale nie, nie, nie! Toby było szaleństwo; myśléć się o tém nawet nie godzi. Matka mi mówiła, że nie ma lat ośmnastu... to dziecko.

Otrząsłszy się z tych natrętnych myśli, pan Teodor powrócił do smutnego dworu swojego, w którym zaledwie para pokojów była dlań dostępną. Tu wisiały wszystkie całego życia pamiątki, które w drodze żywota pozbierały się i przypominały bolesne po większéj części stacye téj drogi kalwaryjskiéj. Z ram starych uśmiechał mu się z wyrazem litości obraz matki, co go wychowała i groźne oblicze ojca, którego nie pamiętał wcale. Daléj szły z zeschłemi kwiatki, miniatura pierwszéj, do któréj uderzyło jego serce, dziéweczki, co już dawno spoczęła w grobie, a na drugiéj ścianie fotografie i akwarelle księżny co go zdradziła, artystki co go kochała dwie godziny, prześlicznéj Angielki, która była awanturnicą, Włoszki, którą mu malarz odebrał, Niemki co go znudziła, Polki, któréj nie mógł zyskać serca. Wśród nich stali gdzieniegdzie przyjaciele, dawno już pozbawieni tego tytułu. Pan Teodor przyglądał się z kolei twarzom, rozmyślał o przygodach i więcéj niż kiedy, utwierdzał się w przekonaniu rozumném, iż do portu czas przybić było. Portem i spoczynkiem zdawał mu się Zamostów tylko.

— Bądź co bądź, raz jeszcze się należy rozmówić stanowczo z Krzysiem. Uczciwość każe mu powiedziéć otwarcie, że Wanda ma, to jest, jak ludzie suponują, zachowała dlań jakieś uczucie. Jeżeli on z tego korzystać nie zechce, będę w sumieniu wolnym. Choćby mnie miał połajać znowu, pojadę raz jeszcze. Stanowczą musi mi dać odpowiedź. Jeśli on wystąpi w szranki, ha, to się usunę!.. Zamorski ma słuszność: Wanda przecież nié jest jedną kobietą na świecie. Puszczę się trochę w świat, po znajomych, może gdzie znajdę wdówkę jaką, chociaż takiéj, jak ona, nigdzie... — Podchwycił się na tych wyrazach.

— Juściż się w niéj nie zakochałem!

Usiłował zajrzéć w głąb' serca i znalazł w niém ze zdumieniem wielkiém, niewiedziéć jak, zabłąkany obraz uśmiechniętéj Lizy. To go oburzyło na samego siebie.

— Co za wrażliwość w moim wieku! — dodał. — Zamorski ma słuszność: jestem jeszcze młodym, inaczéj to dziewczę naiwne nie uczyniłoby na mnie takiego wrażenia. Dziewczyna bardzo ładna i dowcipna, ale, piękniebym się wykierował, biorąc takie stworzonko ruchawe, któremu się chce wszystko widziéć i wszystkiego kosztować. A! uchowaj mnie Boże! Byłaby to wyprawa na wojnę, a jam na żołnierza za stary!

Pochodziwszy po pustych pokojach, pan Teodor postanowił, korzystając z pogody, nazajutrz wybrać się do Krzysia do lasu.

ROZDZIAŁ VIII.

Staszuk stał w ganku trąc łysinę i sumując swym zwyczajem, bo, jeśli się nie modlił, to na siebie, pana, świat i losy we wnętrzu gdérał i czyniło mu to wielką satysfakcyą, gdy postrzegł z bramnych ciemności wynurzającą się postać pana Teodora.

Poznał go od razu. — Otóż jest! — rzekł w duchu — raz drogę spytał do nas, pokoju nie da'! Ale na ten raz figa, pana w domu nie ma i kwita. Niewiem kiedy powróci... skończona rzecz... z Panem Bogiem.

— Jak się masz stary? — zawołał ręką go witając nadchodzący — jak się masz... a pan?

— Zdrów, dzięki Bogu, ale go nie ma i wybrał się na długo pono, bo w torbę wziął zapas. Mówił nawet, że nie prędko powróci.

— Otóż masz, a miałem pilny interes do niego.

Stary ruszył ramionami, jakby chciał dać do zrozumienia, że na to nie ma żadnéj rady. Teodor stanął.

— Utrapienie z tym Krzysiem, trzeba tropić, jak dzikiego zwierza, albo się go wyrzec zupełnie.

Stary głową kręcił niezrozumiale, zdawał się mówić: — Rób pan jak mu się podoba. — Męczyński, który się był powstrzymał w pochodzie, ruszył się znowu i zbliżył ku gankowi. Wszedł na wschodki. Stary sługa ze swego miejsca się nie ruszył. Dobył z sakiewki trzy srebrne nowiuteńkie talary i nic nie

mówiąc, *captando benevolentiam* wcisnąć je chciał w rękę staru szka, który dłoń cofnął, usta wydął i parę kroków w tył się poruszył, głową dając znać, iż podarku nie przyjmie.

— Przecież cię nie przekupuję — zawołał Teodor — pana twego cioteczny jestem, sam on mi się chwalił, żeście goli, jak tureccy święci; nie grzech ci się czémś przysłużyć.

— Pewnie — zamruczał stary — gdyby nie chodziło o to, paneczku, abym mojego pana zdradził i pomógł do wyszukania go, ale z tego nie będzie nic.

— Wiész, żeś śmieszny, mój poczciwcze — odparł Męczyński — czyż to ja Krzysiowi źle życzę? czycham, czy dybię na niego? Jeśli się chcę widziéć z nim, przecie chyba dla jego dobra; mam interes ważny, od którego może szczęście jego zależy.

— A kiedy ón i tak szczęśliwy! — rzekł stary. — Co komu do tego?

— Ślicznieście obaj szczęśliwi! — zaśmiał się Teodor — nie ma co mówić. Opływacie tu we wszystko: pałac przepyszny, kuchnia doskonała.

— A kiedy nam więcéj nie trzeba! to co? — zapytał stary, i odwrócił się trąc łysinę. — Kara Boża z tymi opiekunami, którzy nas teraz obsiedli.

Trochę ostre wyrażenie starego, rozśmieszyło tylko pana Teodora.

— Tłómaczyć ci się nie będę — rzekł — ale jeśli pana swojego kochasz, a mnie wierzysz, powinieneś mi pomódz, bym go wyszukał.

— Dlaczegóż ja mam panu wierzyć? — ofuknął coraz się więcéj niecierpliwiąc stary — dlaczego?

Męczyński śmiał się do rozpuku.

— Oryginały obaj! — zawołał.

Zdawało się, że rady nie ma już żadnéj; przybyły po ganku chodzić począł, gdy świśnięcie przenikliwe, ostre, dało się słyszéć

z blizkiego lasu. Powtórzyło się z równą siłą parę razy. Stary ucha nadstawił i zdawał się już ani widziéć gościa.

— Cóż mu się stało? co to jest! — krzyknął — niedawno wyszedł i już się oznajmuje, że powraca.

Odwrócił się do Teodora.

— Trzeba panu wiedziéć, że ja tu w las, nie daleko po grzyby i poziomki dla niego chodzę, nie naszukałby się za mną, więc gdy ma powracać to tak świszcze, a świstałka przeraźliwa, że ją pół mili usłyszéć i poznać można.

— Widzisz stary, los jest rozumniejszy od ciebie.

Nie było na to odpowiedzi, poznać mógł po twarzy sługi pan Męczyński, że gdyby sposób znalazł przyzwoity, wybiegłby pewnie panu oznajmić o niebezpieczeństwie, które go w domu czekało; lecz snać nie wiedział, z któréj strony wróci pan Krzysztof. Stał więc markotny.

Pan Teodor tryumfował, przysiadł się na murku od ganku i cygaro przysposabiał. Stary Hermes posłyszawszy świstanie, wstał, wyprężył się, uszy nastawił i także zdawał się oczekiwać przybycia.

Chwila upłynęła w milczeniu.

Po niejakim czasie, gdy już z cygara zapalonego dymek się w górę niebieski unosił, u bramy spostrzegł pan Teodor idącego powoli pana Krzysztofa, który się strzelbą podpierał i kulał na nogę.

Pobóg zobaczył równocześnie oczekującego, stanął, jakby chciał zawrócić, widać było po nim zniecierpliwienie, lecz Teodor głośno go powitał i krzyknął:

— Nie wywiniesz mi się. Chodź! Nie dzicz się, nie zjem cię, mamy z sobą do pomówienia.

Wezwaniu temu zadość czyniąc, choć słówka nie odpowiedziawszy, Krzysztof się posunął zwolna ku swéj pustce. Po chodzie widać było, że nogę miał okaleczoną. Sługa postrzegłszy to, pobiegł co rychléj ku niemu. Zszedł i pan Teodor.

— Co ci to jest?

— Nic, nogę przebiłem nieostrożnie stąpiwszy, dlategom do domu powrócić musiał i temu winieneś, że się z sobą widzimy — rzekł Krzysztof.

— Wolałbym to być winnym sercu twojemu, niżeli nodze — odparł pół ironicznie Męczyński i podał mu rękę, chcąc pomódz do wnijścia na górę, lecz zasępiony pan Krzysztof nie przyjął jéj, wskazał przed sobą drogę bratu i powlókł się za nim zaciąwszy usta.

Sługa tuż szedł, drzwi pootwierał, znaleźli się na górze. Na chwilę poszedł pan Krzysztof nogę opatrzéć, co niedługo trwało i powrócił wkrótce w jednym pantoflu, do pierwszéj izby.

Na twarzy jego nietajone malowało się zniecierpliwienie; poznał je i pan Teodor, szedł widocznie zbyć się co najrychléj natręta. Usiadł w krześle, nałożył fajeczkę, spojrzał na Męczyńskiego i począł:

— Sądzę, że cię nie wymyślony pozór, ale jakaś istotna tu sprowadziła potrzeba; boć ciekawość już zaspokojona. Radbym wiedziéć o co idzie?

Odetchnął mocno.

— Przyznam ci się — mówił daléj — że ostatnia twoja bytność i przyniesione przez ciebie wspomnienia, wcale mi przyjemnemi nie były. Wzburzyło się we mnie wszystko, wystąpiły niedogasłe zarzewia głupiéj przeszłości. Nierozumiem ludzi, którzy z zimną krwią bawią się cudzą męczarnią.

— W istocie, takiéj zabawki i jabym nie rozumiał — odezwał się Męczyński — byłaby głupią i okrutną. Jesteś dziwak, ale ci dobrze z twém dziwactwem, albo przynajmniéj znośnie, dlaczegożbym miał chciéć cię nawracać, nie wiedząc czy cię potrafię szczęśliwym uczynić? Widzisz więc, Krzysiu, żem chyba ani tak zły, ani tak nierozsądny, jak myślisz.

— Zatém... do rzeczy! — przerwał chmurno pan Krzysztof.

Męczyński wstał, przeszedł się, namyślił i stanąwszy naprzeciw brata, począł:

— Byłem w Zamostowie kilka razy; Wanda mi się podoba, jest-to dla mnie jakby stworzona na osłodzenie reszty mojego życia kobieta; chcę się z nią ożenić, uczynię co jest w ludzkiéj mocy, aby się jéj podobać, aby jéj rękę pozyskać; otwarcie ci to oznajmuję.

— Po cóż u kaduka oznajmujesz mi to! — wybuchnął pan Krzysztof — po co? Kto ci broni czynić co ci się podoba. Idź, jedź, staraj się, kochaj, żeń; co mnie do tego!

Z tak gwałtownym wyrazem powiedział te słowa Pobóg, iż Męczyński chwilę stał zmięszany.

— Słuchaj-że — odezwał się — z tego gniewu wnieść łatwo, że się w niéj jeszcze kochasz. Ludzie mi mówią i składają dowody, że ona o tobie nietylko pamięta, ale że prawdopodobnie kocha cię jeszcze. Widzisz, żem człowiek uczciwy, mówię to przeciwko własnym interesom, chcę twojego szczęścia. Idź! zobacz ją, zbliż się, ja ci ustąpię.

Oczy pana Krzysztofa złowrogim jakimś palące się blaskiem wlepione były w Męczyńskiego, uderzył pięścią w stół, i rozśmiał się dzikim przymuszonym śmiechem.

— Szatanie! kusicielu! szaleńcze! stary dzieciaku!—krzyknął — idź precz ode mnie! idź! to są głupie domysły i fałsze. Młodość się nie wraca i miłość nie wraca; mnie o grobie myśléć nie o małżeństwie; stanie przed ołtarzem, ale chyba trumna moja. Dajcie mi pokój! nie dręczcie mnie — wołał podnosząc głos — co wam do mnie? Nie jestem dzieckiem, nie potrzebuję opieki, nie chcę rady; dosyć tego, na miłość Boga! dosyć tego!

— Ale nie gniewaj-że się! nie gniewaj! — odpowiedział pan Teodor — zkąd ta passya cię bierze? jeśli nie z niedogasłych żarów, jak sam przyznajesz. Kochasz ją więc, a niechcesz jéj.

Krzysztof oburącz chwycił się za głowę i milczał uparcie. Gwałt sobie zadawał widocznie. Nagle wstał, podniósłszy oczy, które poczęły błądzić po izbie.

— Spiknęliście się na mnie — zawołał. —Słuchaj Teodorze,

kochałem cię jak brata, więcéj niż tego rodzonego, którego za nieboszczyka uważam; nie godzi się, abyś mnie za to wystawiał na męczarnie. Pierwszą twą bytność odbolałem srodze, chodziłem po niéj jak szalony. Uczucia i namiętności gwałtowne dała mi natura, walczyć musiałem z niemi, aby je pokonać. Stłumiłem,—zasklepiły się rany, wy pod pozorem przywiązania przychodzicie je rozdzierać. Jestem stary, szczęścia sobą nie przyniosę nikomu i nikt mi go na ziemi dać nie jest w stanie. Młodość poniosła z sobą złudzenia, sny i marzenia. Niezużyta jéj gorączka została mi na lata stare, ale co po niéj, gdy nie ma służyć już komu. Wiem, że to co dla was wygląda owocem, jest popiołem; że to co wam wygląda złotem, jest szychem; że to co dla was nieśmiertelnością, jest znikomą chwilą. Życia na nowo rozpoczynać nie chcę. Trupem między żywych nie wejdę. Wasz świat.

— Aleś mi to wszystko mówił pierwszym razem — przerwał Teodor — ja ci więc powiem także: dosyć! Odpędzasz mnie, pójdę i nie wrócę więcéj. Człowiekowi szczęścia narzucić niepodobna.

To mówiąc, Męczyński wziął za kapelusz.

— Nie gniewaj się... i... bywaj zdrów.

Kilka kroków postąpił w tył, Krzysztof ochłonął był nieco i podszedł ku niemu.

— I ty się nie gniewaj na mnie — rzekł cicho — wstydzę się mojego uniesienia. Siadaj, spocznij.

Męczyński usiadł widocznie uradowany.

— Wiem, że mi źle nie życzysz — dodał gospodarz — ale, wy... wy... ty... nie wychodziłeś ze społeczeństwa, nie zakosztowałeś ciszy, nie pożegnałeś się ze światem. Wnijdź w położenie moje.

— W dziwactwo chyba — dodał Teodor — tego inaczéj nazwać nie można. Jesteś w istocie młodym i gorączkowym nad wyraz wszelki. Ja ten ogień posiałem po gościńcach, nie

ma go już we mnie i... doprawdy ci go zazdroszczę. Na twojém miejscu, wiész cobym zrobił?

— Naprzykład? — spytał Krzysztof.

— Oto pojechałbym z panem Teodorem do Zamostowa w odwiedziny, zobaczyć najprzód jakie uczynię wrażenie, potém jakiego doznam. Masz zupełną słuszność, że nieśmiertelnego na świecie szczęścia nie ma, ale znikome musimy chwytać, aby go skosztować! Dlaczegóż nie sięgnąć po nie? czemu nie spróbować.

Milczący pan Krzysztof chodził podśpiewując coś po pokoju, Teodorowi się zdawało, że słowa jego czyniły pewne wrażenie, ciągnął więc daléj.

— Nie godzi się gardzić i resztką żywota, że się go zmarnowało wiele, nie jest-to przyczyną, ażeby wyrzekać się pozostałego. Jesteś w sile wieku i zachowałeś serce gorące.

Krzysztof się rozśmiał.

— A! tak! — rzekł ironicznie — w człowieku umiera najprzód co w nim jest dobrego, tak jak z wiekiem ściera się najprzód wdzięk z twarzy, pozostają olbrzymiejące brodawki i przerosłe wady. Miła jest taka dojrzałość! Z usposobieniem jak moje, z humorem, stanąć do Holbejnowskiego tańca śmierci, bardzo dobrze, ale do menueta z piękną panią...

Rękami strzepnął gwałtownie, pan Teodor śmiał się, w mowie pana Krzysztofa zaszła już widoczna zmiana na lepsze, nie rozpaczał więc, że go, jeśli nie nawróci od razu, to przynajmniéj przysposobi ku temu.

— Krzysiu! — zawołał — kradliśmy z tobą razem wiśnie z ogrodu, truskawki na inspektach, lataliśmy za wiejskiemi dziewczętami, nasza przyjaźń stara jak my, czemubyśmy dziś z sobą tak szczerzy być nie mieli, jak niegdyś? Nie odziewaj się żadną szatą pustelniczą, żadnym płaszczem dziurawym hiszpańskiego granda, bądź dla mnie jednego Krzysiem... proszę cię.

— Chcesz rzeczy niepodobnéj — westchnął gospodarz — ja nim nawet sam dla siebie być nie mogę. Ów Krzyś roztopił się gdzieś, rozwiał, zniknął, nie poznaję samego siebie ; nie ma mnie we mnie. Com kochał, dziś mi obojętne, czém się brzydziłem, to drogie.

— I niepotrzebnéj deklamacyi nauczyłeś się nie rozmawiając z ludźmi, tylko się bawiąc z bibułą — dodał Teodor. — Jam zimniejszy, ostudzę ciebie Krzysiu, jedź ze mną, zaklinam cię, jedź ze mną. Raz, tylko raz pokaż się w Zamostowie, spokojniejszy będę w sumieniu.

Uśmiechnął się pan Krzysztof.

— Jeśli Wanda jest taką, jaką ją sobie wyobrażam, choć wiem, że zmienić się wielce musiała od téj, którą znałem i pamiętam, na sumieniu możesz być spokojnym, bo nigdy nie pójdzie za ciebie.

— Dlaczego? — spytał nieco sucho Teodor.

— Dlatego, żeś ty nadto człowiekiem... dla niéj zbyt zimną istotą. Masz zmysły młodzieńcze, a zdaje ci się, że masz serce, masz może nawet uczucie, ale ono pełza po ziemi.

— Dziękuję — rzekł Teodor nieco urażony. — W istocie, do tych sfer, do których ty Ikarowemi skrzydłami dobijać się chciałeś, spadłeś i połamałeś sobie nietylko żebra, ale klepki w głowie; ja nigdy lecieć nie miałem najmniejszéj ochoty. Dla mnie ideałem była... elegancya, przyzwoitość, atłasy i koronki, a pod niemi marmurowe kształty i uśmiech szczerze zalotny. Na starość ideał stał się poważniejszy, lecz jak nie wierzyłem w anioły i heroiny, tak dziś téż nadziei spotkania się z niemi wyrzekam.

Trochę się nadąsał pan Teodor, ale to przeszło prędko.

— Powiedziałeś mi prawie impertynencyą — rzekł w końcu. — Zdaje się więc, żeśmy się pokwitowali z sobą, piękne za nadobne.

Krzysztof rękę wyciągnął, ujął dłoń Teodora i jakiś czas

ją trzymał w swéj dłoni, twarz jego, jakby pod wrażeniem wewnętrznéj walki zmieniła się i spoważniała.

— Nie potrafisz — rzekł — ani tego rozumiéć ani ocenić, ani mi uwierzyć. Uczynię dla ciebie tę ofiarę, największą, jaką w życiu dla kogokolwiek bądź zrobiłem; tak, pojadę z tobą do Zamostowa, stanę przed nią zmieniony, stary, zdziczały, wstręt obudzający, ze wszystkiemi wadami memi, z szyderstwem w ustach i niewiarą. Pojadę z tobą, Wanda spojrzy na mnie... i pójdzie za ciebie. Coś przecie potrzeba uczynić dla przyjaciela młodości, któremu się dobrze życzy! — Uśmiechnął się smutnie. — Mam się męczyć myślami i wspomnieniami, które przyszedłeś rozbudzić we mnie, będę się męczył mniéj może gdy ją zobaczę i... zostanę przyjęty jak zasługuje, powtarzam, trup, który bez paszportu na świat powraca.

Jakkolwiek może przygotowanym był Teodor do tego, iż Krzysztofa nakłoni do opuszczenia choćby chwilowego téj pustki w któréj się zagrzebał, z podziwieniem nietajoném usłyszał to nagłe postanowienie, prawie z niedowierzaniem.

— Tak, to rzecz postanowiona—odezwał się żywo Krzysztof, wlepiając w niego oczy — teraz gdybyś ty chciał, nic mnie od tego odstręczyć nie może, jadę, powinienem. Niech się to raz skończy i rozwiąże. Możesz-że wymagać więcéj?

Pan Teodor rzucił mu się na szyję.

— Krzysiu! tak! bardzo dobrze, jedź ze mną, lecz na miłość Boga, nie z tém usposobieniem, nie z tém szyderstwem na ustach.

— Na ustach mogę to tylko miéć, co będę miał w sercu — zawołał gospodarz — nauczyła mnie samotność jednego: kłamać nie umiem. Mówisz, że deklamuję? może to być; słowo, którego używałem mało, stało się dla mnie świętém, płynie mi z serca. Gdybym chciał, to go ani powstrzymać, ani skrzywić nie potrafię. Z góry więc powiedziéć ci nie mogę, ani jakim będę, ani co usta moje poruszy: uczucie, czy szyderstwo.

Teodor znalazł się nagle w położeniu człowieka, który dopra-

szał się czegoś usilnie bez nadziei otrzymania, a nagle zdobywszy to czego pragnął, nie wié co ma począć ze zdobyczą.

— Ha! więc jedziemy! — rzekł — jedziemy! Kiedyż? jak?

— Natychmiast — odpowiedział pan Krzysztof — nosić się z tą myślą wyjazdu nie umiałbym, ona by mnie spaliła. Słowo się rzekło... jedziemy.

— Do mnie najprzód — dodał Teodor. — Nim staniemy w Zieleniewszczyznie, czas na odwiedziny przyzwoity minie. Nocujesz u mnie, jutro jesteśmy w Zamostowie. Czy każesz się spytać wprzódy o pozwolenie?

— Po co? — rzekł brwi marszcząc Krzysztof — dlaczego? Nie może mi być wzbronionym wstęp do jéj domu. Opowiemy się u drzwi, nie zechce mnie przyjąć? tém lepiéj; przyjmie....

Cichym szeptem dokończył spuszczając głowę.

Można sobie wyobrazić przerażenie starego sługi, gdy go zawoławszy, pan Krzysztof kazał tłómoczek pakować.

Niedowierzając swym uszom stał długo biedny stary, patrząc panu w oczy i naostatku zapytał:

— A ja?

— Zostaniesz w domu, bo i ja jutro się tu powrócić spodziewam. Jadę do pana Teodora.

Jakiś czas postawszy jeszcze, jakby oczekiwał na odwołanie nieprawdopodobnego rozkazu, stary się poruszył mrucząc. Tysiące trudności stawało na przeszkodzie spełnienia woli pana; o tłómoku od lat kilkunastu nieużywanym nie miał wyobrażenia stary sługa, nie wiedział co do niego wpakować. Świąteczna garderoba pustelnika była fantastyczną i więcéj do lasu niż na pokoje zastosowaną. Potrzeba więc było kilkakrotnie wywoływać pana Krzysztofa dla narady. Na wyjezdném podano spartańskie śniadanie: flaszeczkę wódki z przywiązanym do niéj na sznureczku korkiem, chléb i masło. W domu nie było nic innego. Głodny pan Teodor z rezygnacyą napił się i zjadł co podano, mając téż na widoku, aby się tém Krzysiowi przypodobać, który

chodził, jak noc posępny, chmurny i w miarę jak się chwila odjazdu zbliżała, niecierpliwszy coraz.

Konie pana Teodora stały pod górą zamkową, stary więc suknie w derkę dla niedostatku tłómoka, który szczury zjadły, zawiązane, zaniósł za panem do powozu. W milczeniu zeszli obaj po ścieżce. Teodor wskazał miejsce w powozie bratu, sam usiadł przy nim, pożegnali skinieniem głowy wkutego nad drogą starego sługę i ruszyli.

Pozostawszy sam, patrzał aż dopóki powóz nie zniknął mu z oczu, i rzekł w duchu: — Sądny dzień! Na nogę przebitą nie uważał, but wdział, jakby o niéj zapomniał, głowa mu się zawróciła. Co teraz daléj będzie?

Tego nieumiejąc już rozwiązać, powlókł się nazad powoli. Stanął tylko u krzyża z cierniową koroną na dole i pomodlił się. Na sercu lżéj mu się jakoś zrobiło, bo pana opiece Bożéj polecił.

Teodor nieznacznie woźnicy zaleciwszy, aby koni nieoszczędzał, siedział już niemal całą drogę milczący. Sam się dziwował cudowi, który dokazał. Dobrze, czy źle uczynił, nie wiedział spełna; zdawało mu się jednak, że dopełnił obowiązku. Pan Krzysztof zrazu jechał nic nie widząc; jazda po długiem zasiedzeniu upajała go. Nie wychodząc za obręb swych lasów oddawna, nie widział téj okolicy, w któréj przeżył lata młode. Tu wiele na podziw rzeczy zostały nietkniętemi, jakby wczoraj je porzucił, inne zmieniły się do niepoznania. Mimowolnie pan Krzysztof dał się pochwycić wrażeniu. Kilka razy zapytał o coś, na co mu Teodor bez pomocy swych sług odpowiedzieć nie umiał, to znowu wykrzykiwał z podziwienia i wzdychał na widok ruin. Droga ta do Zieleniewszczyzny znacznie go uspokoiła. Gorączka, z jaką wyjechał z domu, ustała, zastępował ją innego rodzaju niepokój: męztwo słabło. Myśl o widzeniu Wandy niepokoiła go dziwnie i niemal rozczulała; gniew zastępowało

rozrzewnienie, przeciw któremu sam się oburzał, a pokonać go nie mógł.

Gdy stanęli przed dworem, który pan Krzysztof świetnym jeszcze pamiętał, nie powstrzymał wykrzyknika:

— O mój Boże! cóż to za ruina.

— Niestety! masz słuszność! — odparł, wesołością pokrywając wstyd swój, Teodor. — *Qui va à la chasse, perd sa place.* I łowy mi się nie udały, i majątek podupadł.

Jak zwykle gdy Teodor do domu powracał, a powóz jego zdala poznał pan Zamorski, tak i teraz znalazł się usłużny dzierżawca na wysiadaném. Zdziwiła go niezmiernie nieznana mu postać pana Krzysztofa, w któréj się odludka domyślił. Przychodził z zaproszeniem od żony na herbatę i wieczerzę, ale mu wyrazy na ustach zamarły.

— Panowie się znać nie możecie, choć sąsiedzi blizcy — odezwał się Teodor — jest-to mój zacny a miły przyjaciel i dzierżawca pan Zamorski, a to... domyślisz się pan zapewne... mój cioteczny, pan Krzysztof Pobóg.

Pobóg się zdala, sucho, sztywnie i dumnie ukłonił.

Nastąpiło milczenie, Zamorski jednak nie stracił głowy i wracając do zwykłego swego tonu, odezwał się:

— A ja tu na mojego dziedzica dobrodzieja czekałem z herbatką. Czém chata bogata tém rada. Gdyby szanowny pan Pobóg, szlacheckiem ubóstwem hreczkosieja nie pogardził, bardzobym był szczęśliwy powitać go w progach naszego folwarku.

To mówiąc, skłonił się, spojrzał w oczy interpellowanemu, który stał wyprostowany, milczący, jakby nie do niego mówiono. Nie przewidywał wcale wyjeżdżając z domu, iż zmuszonym być może wstąpić jeszcze gdzieś więcéj, niż do brata i do Zamostowa. Niewysłowienie przykre owładło nim uczucie.

— Darujesz mi pan — odezwał się w końcu — nie bywam nigdzie od wieków, odwykłem od ludzi, a nawykłem do lasu.

Na nic się wam nie przydam, zostanę tu, niech pan Teodor idzie na herbatę, ja jéj nie pijam, dziękuję.

— Ale to nie może być! to nie może być! — począł przyskakując ku niemu Zamorski — moja chata uboga żadnéj panu nie uczyni subjekcyi. Myśmy ludzie prości; wreszcie będziesz pan zawsze jakby u brata, boć to wszystko jego, a ja i moja rodzina szczycimy się tylko, żeśmy jego wierni słudzy.

Krzysztof ręką się pochwycił za czoło, zawahał, wtém natrętny Zamorski śmiało go za rękę pochwycił.

— Nie puszczę pana dobrodzieja! Bóg widzi, musisz mi ten honor uczynić! zaszczycisz chatę naszą. Proszę, błagam.

Co począć było? Pan Teodor się uśmiechał, Krzysztof nie śmiał się opierać. Poszli więc ku folwarkowi, tąż samą drogą przez ogród, jak ostatnim razem. I, jak naówczas, w ogrodzie znowu spotkali bawiące się Lizę i Misię, które na widok nieznajomego, posępnéj twarzy, dziwnie trochę ubranego mężczyzny, stanęły osłupiałe. Krzysztof także byłby się cofnął od białych sukienek, gdyby Zamorski nie uspokoił go zawczasu w swym szlacheckim języku wyrazistym, oznajmiając mu... że to były te... smarkate jego dziewczęta.

Gdy pierwszy popłoch przeminął, obie panny przyłączyły się do towarzystwa, Misia ze zwykłą sobie bojaźliwością, Liza wesoło i z mocy dobréj znajomości z dziedzicem, poufale go witając. Po chwili namysłu obie one nie pytając odgadły kto był ów nieznajomy, a że o nim dziwy słyszały, z niezmierną mu się ciekawością przypatrywały. Pan Krzysztof szedł milczący i zamyślony, z twarzy mu wyczytać było łatwo, jak był nierad z siebie i swego położenia. Cofnąć się bez dziwactwa i obrazy ludzi nie było podobna. Szedł więc jak na ścięcie.

W ganku nowa męczarnia: stała jakby naumyślnie pani Zamorska.

— Jéjmość! — zawołał dzierżawca — wielki zaszczyt dziś niespodzianie dom nasz spotyka: gość, jakim się nikt w sąsiedz-

twie nie pochlubi, nie pogardził naszym ubogim dachem, — pan Krzysztof Pobóg.

Z rodzajem przestrachu rzuciła nań okiem gospodyni i weszli wreszcie do domu, gdzie, zabrawszy miejsce jak najmniéj widoczne, pan Krzysztof mógł spocząć i odetchnąć.

Jakkolwiek Liza rada była może osobliwéj figurze, o któréj obiecywała sobie opowiadać późniéj znajomym, gość ten nie bardzo był jéj na rękę, gdyż niedozwalał z równą jak zwykle poufałością zaczepiać pana Teodora. Ostrożnie tylko oczkami na niego rzucała Liza i strzelała półgłośnemi słówkami. Surowe oblicze pana Krzysztofa wszystkich chłodem jakimś obwiało, obudzał strach dziwny; spoglądano nań zdala, z obawą, a po kilku próbach daremnych wciągnięcia w rozmowę, dano mu pokój, i dozwolono milczéć. Zmęczyli się wszyscy tym gościem, który równie zdawał się niemi znużony. Teodor widząc to musiał nawet skrócić pobyt u Zamorskich, gdyż litość w nim pan Krzysztof obudzał. Pożegnali się wprędce i wyszli nazad do pustego dworu.

Liza nie mogąc mówić wiele, oczyma tego wieczora tak dokazywała, iż w końcu pan Teodor uległ urokowi tego wejrzenia i wyszedł rozmarzony mocniéj niż kiedy.

— Siedziałeś ze spuszczonemi oczyma — odezwał się, gdy weszli w ogród i oddalili się od folwarku — nieuważałeś nawet pewnie pięknych panienek. Co to za wyśmienite dziewczęta! naiwne, proste, wieśniaczki! Prawdziwie, nie mogę się niemi nacieszyć! Porosło to u mnie na grzędzie, jak polne maki.

Krzysztof się uśmiechnął.

— A tak — rzekł — doskonałe porównanie, teraz są jak różowe kwiatki makowe, ale w nich już jak w makach zaród trucizny. Będzie z tego doskonałe opium na upojenie czyjeś.

— To są dzieci, naiwne istoty!

Rozśmiał się jeszcze głośniéj pan Krzysztof.

— Szczególniéj ta, która za wami, panie Teodorze, nieustannie oczyma wodziła.

— Za mną! co ci się dzieje!

— Tak jest — powtórzył Krzysztof. — Tyś ślepy. Zamorski ma na ustach swe ubóstwo i hreczkosiejstwo, panny udają skromne dziewczątka.

Teodor okrutnie się oburzył.

— Pessymistą jesteś! — zawołał — ja tych ludzi znam, co ty mi mówisz. W takiém usposobieniu jak twoje, w istocie nie pozostaje nic, tylko się zamknąć na puszczy.

— Ja téż to uczyniłem — dodał Krzysztof spokojnie.

Rozmowa skończyła się na tém wprawdzie, ale Teodor oburzonym pozostał na brata, za dziwny sąd wydany o Zamorskich; nie mógł mu darować tego. Wolał już zmilczéć, aby nic więcéj nie słyszéć.

Zamorscy ujęli go sobie już byli zupełnie, wierzył im, może oczy Lizy przyczyniały się téż do nadania wdzięku domowi całemu, choć się sam do tego nie przyznawał przed sobą. Miał za złe Krzysztofowi, iż śmiał widziéć ich inaczéj i nieoceniać téj wieśniaczéj prostoty i dobroduszności.

Zaledwie powróciwszy do starego dworu, znużony, milczący gość poprosił gospodarza, aby mu dozwolił przejść do przygotowanego pokoju na spoczynek.

Pan Teodor zbyt był poruszony, aby mógł o śnie pomyśléć; zapalił cygaro, otworzył okno, a że noc była piękna majowa, oddychając powietrzem wonném, głęboko się zadumał.

ROZDZIAŁ IX.

Hrabina Wanda czytała siedząc w krześle i oczekując ażeby upał, który dnia tego panował, nieco ustąpił pod wieczór, gdy panna Kornelia wpadła do jéj pokoju z twarzą dziwnie, do niewypowiedzenia przestraszoną.

— Nic pani nie słyszy? goście przyjechali! - zawołała.

— Któż taki? — zwolna składając książkę odpowiedziała hrabina.

— Pan Teodor, febra, ale to nic, toby jeszcze nic nie było — mówiła plącząc się i patrząc w zwierciadło stara panna — pan Teodor przywiózł z sobą...

Głosu jéj nie stało; — hrabina patrzała na nią zdziwiona, przestrach Kornelii nieco ją rozśmieszył, usta się poruszyły.

— Cóż ci jest moja droga?

— A! co mi jest! co mi jest! — ręce załamując i przybliżając się, odezwała się stara panna — pan Teodor przywiózł z sobą... upiora!

Hrabina spojrzała na nią zdziwiona.

— Proszęż cię, bez zagadek.

— Zdawało mi się, że się pani łatwo tego domyśli — złośliwie poczęła kuzynka — z panem Teodorem przyjechał pan pustelnik Krzysztof.

Nie domówiła tych wyrazów, gdy twarz hrabiny, która umiała panować nad sobą, okryła bladość. Spuściła oczy, zaczęła

poprawiać książkę i zmięszała się widocznie, chociaż usiłowała nie dać tego poznać po sobie, ręce jéj trzęsły się; głosem na pozór spokojnym, nie patrząc w oczy towarzyszce, odezwała się cicho:

— Niepotrzebnieś mnie tak — przestraszyła. Proszęż cię, zabaw chwilę tych panów, nim wyjdę.

Prośba była wyrzeczona takim jakimś głosem poważnie nakazującym, zmienionym, niezwykłym, poruszonym, że panna Kornelia, któréj usta nie łatwo się zamykały, na którą prośba nie zawsze skutkowała od razu, cofnęła się ku drzwiom szybko i nic nie mówiąc wyszła.

Co się działo w duszy kobiety, na którą po latach tylu jak piorun spadało to wspomnienie tylą boleści stłumione, to po wyjściu świadka twarz sama zdradzała. Załamała ręce, stała długo zadumana, jakby rachując się z sobą co ma począć, wynijść czy się nie pokazywać wcale. Dwa razy chwyciła za dzwonek, chcąc zawołać sługi i złożyć się chorobą, i odsunęła go nieporuszywszy. Padła na krzesło i wstała wstydząc się swéj słabości.

Krzysztof, jak go widziała raz ostatni, młody, piękny, żywy, rozkochany, przysięgający miłość wiekuistą, niezłomną, stanął przed jéj oczyma. Tyle lat ubiegło; któż wié co się z nim stało i w co się zmienił ten ideał kochanka? Miałaż go zatrzéć w pamięci widokiem innego człowieka, w którym ruina przeszłości występowała przed nią: ruina ciała, serca i ducha?

Lecz nie wyjść, było to przyznać się niemal do uczucia dla niego! Prędko przeleciało także przez myśl jéj, kto był winniejszym z nich dwojga, czy on co się wyrzekł jéj słowa i przyrzeczeń swych razem, czy ona co rodzicom musiała być posłuszną, nie będąc już i niczém związaną?? To zerwanie świętego węzła co ich łączył, ona przypłaciła ofiarą całego życia; — on?? on pewnie mniéj cierpiał. Uczuła żal do niego, gniew na niego niemal. Stawił się teraz więc zuchwały, jakby się upominał o to słowo którem sam wzgardził, o węzeł który potargał. To było zuchwalstwo z jego strony, które ukarać należało.

— Wyobraża więc sobie — rzekła w duchu — że dosyć mu się teraz pokazać przedemną, abym na rozkaz wróciła odepchnięta??

Wszystkie te myśli szybko jak błyskawice krzyżowały się po jéj głowie, przeszywały serce jak miecze rozpalone, biły krwią do skroni. Chciała go widziéć i lękała się; miała pragnienie podać mu rękę do zgody i uścisnąć dłoń serdecznie, ale duma nie pozwalała i gniew sztuczny powracał.

Długa chwila upłynęła nim potrafiła ochłonąć, spojrzała mimochodem w zwierciadło, poprawiła włosy i suknię czarną i jakby gwałt sobie zadając, szybko, bezprzytomnie pobiegła do salonu.

Tu przybyli goście, ze złośliwą panną Kornelią,która się ich domięszaniem napawała — zostawieni sam na sam, milczący oczekiwali przybycia gospodyni domu. Na twarzy Teodora widać było gorączkowe rozciekawienie i niepewność, Krzysztof stał jak winowajca, na pozór zimny i nieporuszony, w rzeczy niemal nie wiedząc co się z nim dzieje. Pot zimny występował mu na czoło. Pomimo próśb Teodora nie zmienił swojego pustelniczego, dziwacznego nieco ubioru, wieśniaczego zarazem i fantastycznego. Podobniejszym w nim był do leśniczego wracającego z polowania, niż do sąsiada przybywającego w odwiedziny. Rysy jego twarzy, które wiek mało odmienił, posępne były i nie zdradzały rozrzewnienia ani czułości; prędzéj w nich było można wyczytać wymówkę, ból, niż pokorę i prośbę.

Gdy suknia zaszeleściała i kroki się słyszéć dały, pan Krzysztof skamieniał, oczy zwrócił ku wchodzącéj, i stał nieporuszony. Drzwi się otworzyły, Wanda raczéj wbiegła niż weszła, spojrzała na niego, oczy ich spotkały się, krótka chwila wahania poprzedziła powitanie.

Przed wnijściem do salonu hrabina powiedziała sobie, że powinna udawać wesołą. Nie było to ani w jéj obyczaju, ani w charakterze, zdało jéj się jednak że powinna nią być, aby nie

zdradzić wzruszenia, ani gniewu; bo gniew dowodziłby czego więcéj. Bledszą była niż zwyczajnie.

Pan Krzysztof się skłonił.

— Ośmielił mnie pan Teodor do złożenia pani mojego uszanowania — rzekł powoli — nigdybym się sam na to nie ważył, wiedząc że pani gości nie lubi, a ja téż gościem nigdzie oddawna bywać nie zwykłem.

Hrabina skłoniła się zimno i zdaleka.

— Bardzom wdzięczna panu Teodorowi za tę miłą niespodziankę i za wyciągnięcie pana z jego lasów. Gdy raz ta klauzura została złamaną, inni téż korzystać będą z jego towarzystwa.

Pan Krzysztof nie zebrał się na odpowiedź, skłonił się tylko z rezygnacyą i siadł na miejscu wskazaném. Nastąpiło milczenie przykre, którego nikt przerwać zrazu nie śmiał. Wejrzenia się krzyżowały, pan Teodor cierpiał prawie tyle co nieszczęśliwy Krzysztof, który spuściwszy głowę i oczy, stracił zupełnie zwykłą swą odwagę i przytomność. Panna Kornelia uważała niemal za obowiązek odezwać się z czémś obojętném, bo widziała i na twarzy Wandy napróżno tajoną boleść i wzrastające pomięszanie.

— Pan podobno — przemówiła do Krzysztofa przy którym ją przypadek umieścił — pan długo bardzo nie wyjeżdżał nigdzie, nawet w najbliższe okolice. Jakże się panu wydały, czy zmienione?

Zagadnięty jakby się przebudził, podniósł oczy powoli.

— Zmienione? nie umiem opowiedzieć mojego wrażenia — rzekł cicho — tak, niektóre rzeczy znalazłem bardzo odmienne, inne... dziwnie zachowały się jakby ani zestarzéć ani rosnąć nie chciały. Tak, prawdziwie — dodał plącząc się nieco — bardzo rozmaicie trwają niektóre przedmioty, mienią się inne. W ogóle okolica charakter swój i fizyognomią zachowała.

— A ludzie? — wtrąciła złośliwa panna Kornelia.

— Ludzi... nie widziałem prawie — rzekł pan Krzysztof.

— Pan, naturalnie postarzałeś — odezwała się dziwnym głosem gospodyni — aleś się bardzo mało odmienił.

— Boję się żebyś pani tego nie wzięła za komplement — odpowiedział pan Krzysztof widocznie ośmielony — ale pani ani się mogłaś postarzéć, ani odmienić.

Roześmiała się hrabina.

— Nauczyłeś się pan grzeczności dla kobiet w lesie — szepnęła spuszczając oczy — ja najlepiéj czuję jak wielka we mnie zaszła zmiana. Słyszałeś pan zapewne o moich losach; cierpiałam wiele, straciłam męża, zostałam samą na świecie, którego pokochać nie umiałam; wszystko to nie odmładza. Lecz przyszła rezygnacya, wyrobił się spokój ducha i teraz mogę powiedziéć, żem tak z mym losem przejednaną, iż nadeń innego nie pragnęłabym szczęśliwszego.

— Mało się ludzi poszczycić tém może — dodał pan Teodor — my wszyscy musimy pani zazdrościć.

— Ale nie pan Krzysztof — dokończyła gospodyni śmieléj. — Słyszałam, żeś pan sobie życie urządził wśród ukochanéj puszczy tak po swéj myśli...

— W istocie, a najlepszym tego dowodem — rzekł pan Krzysztof — iż gdyby nie pan Teodor, do śmierci bym się pewnie nie ruszył z ruin mojego zamku.

— Przyznam się żem go bardzo ciekawa — przerwała panna Kornelia.

— Zawiedzioną byś pani została — odezwał się Krzysztof — nic tam nie ma oprócz kupy kamieni jako tako wyporządzonych, aby wśród nich żyć było można.

— W istocie — wmięszał się pan Teodor — z nazwiska starożytnego zamku, całkiem coś innego sobie wyobrażałem. Przyznaję, że trzeba heroizmu i prostoty pana Krzysztofa, aby wyżyć wśród téj pustyni.

Gospodyni słuchała nie mięszając się i często bardzo spoglądając na pana Krzysztofa, który na nią oczu podnieść nie śmiał i siedział jak na mękach.

— Czuje się winnym! — w duchu szepnęła gospodyni — niech pokutuje.

Cały ten początek rozmowy, tak jakoś był nieokreślonym i ogólnikowym, iż nic z niego o rozwinięciu się jéj wnosić nie było podobna. Pan Teodor zaczynał się niecierpliwić, bo na cóżby mu się to przydało, gdyby Wanda i brat jego ani się zbliżyć, ani poufaléj, szczerzéj rozmówić nie mieli. Uczuć ich nawet niepodobna mu było odgadnąć, hrabina była surową i poważną jak zwykle, Krzysztof przybity bardziéj niż kiedy i dziwnie nieśmiały.

Pan Teodor raz wziąwszy na siebie tę rolę pośrednika, chciał ją, bodaj zuchwale, doprowadzić do ostatecznego kresu. Zdawało mu się, że powinien manewrować tak, aby nie okazując iż to czynił umyślnie, ułatwić rozmowę bez świadków. Odciągnąć pannę Kornelią zdawało mu się łatwem. Raz postanowiwszy dojść do tego, próbował z nią zawiązać rozmowę *a parte*, którąby była wstępem do żywszéj i interesowniejszéj na osobności. Ganek od ogrodu stał otworem. Panna Kornelia lubiła się bardzo popisywać z dowcipem, w każdym innym razie byłaby oburącz chwyciła zręczność błyśnięcia nim przed panem Teodorem, lecz teraz czy ciekawość, czy litość na kuzynką, trzymały ją przykutą do krzesła, a, co gorzéj, na zapytania ciche odpowiadała głośno, dając do zrozumienia, iż nie jest usposobioną do szeptów.

Zakłopotanie wszystkich trwało już dobrą chwilę, miało jednak ten skutek zbawienny, że zwolna ochłonęli aktorowie téj sceny, że śmieléj poczęły krążyć ich wejrzenia i oswoiwszy się z położeniem, każdy się czuł panem siebie.

Pierwsza oprzytomniała pani domu; bladość powoli schodzić zaczęła z jéj twarzy, litość, którą uczuła w początku, zmieniła się znowu w niewytłómaczony gniew i urazę, serce jéj biło, życzyła sobie niemal zbliżyć do pana Krzysztofa, aby mu powiedziéć otwarcie, że się łudzić nie powinien. Oburzała się na zuchwalstwo, które go tu jakby po wypłatę zaległego długu przywiodło.

Pomimo to, hrabina szukała w tym człowieku znękanym i zestarzałym, dawnego Krzysia i znajdowała z podziwieniem w téj ruinie prawie młodzieńczy wdzięk jéj dawny.

— I on cierpiał! — myślała — lecz zasłużył... a ja? ja? czyż nie odbolałam więcéj jeszcze?

— Czémżeś pan rozrywał tę samotność? — zapytała zwracając się do milczącego Krzysztofa.

— Trochę książek mi zostało — odparł spokojnie, spoglądając pierwszy raz w jéj oczy, których wyraz smutny, dawny, co się tak dziwnie żenił z uśmiechem, powitał go znowu — myślałem wiele, i polowałem niemal codziennie; nie licząc szczupłego mojego dworu, pozostały mi dwa psy, których przyjaciołmi nazwać się godzi. Z niemi razem błąkaliśmy się po lesie.

— I nigdy nie zatęskniłeś pan za światem?

— Za światem? — podchwycił bardzo żywo pan Krzysztof, i w głosie jego zadźwięczała ironia — ja... za światem? Nigdy on nie był moim ulubieńcem, a od czasu jak się stał targowicą i jarmarkiem, cierpiéć go nie mogę.

— Przecież nie cały? — podchwyciła chcąc się wmięszać panna Kornelia.

— Nie znam wyjątków — mówił pustelnik — są może mniéj żarliwi handlarze, i nie bardzo zręczni, ale komuż dziś o co innego idzie jak o grosz w jakikolwiek sposób zdobyty i jak najpowszedniejszym sposobem zużywany dla siebie. Za mojéj młodości świat był jeszcze chrześciański i rycerski, dziś jest pogański i mieszczański a rzemieślniczy... wszystko się stało rzemiosłem, ja zaś na rzemieślnika nie czułem się stworzony.

— Przecież sztuki kwitną — potrąciła gospodyni.

— O tém ja na pustelni naturalnie nic nie wiem — dodał pan Krzysztof — ale o ile mnie doszły wieści, domyślam się, że sztuka stała się téż potroszę rzemiosłem.

Hrabina zamilkła. Pan Krzysztof, chwilę zatrzymawszy się, mówił daléj.

— Godzi się mi przebaczyć te sądy, boć, jak pani powiada, z lasu wychodzę; jestem podobny do Satyra Kochanowskiego.

Panna Kornelia, która o Kochanowskim wiedziała mało, a o Satyrze jego nic wcale, obejrzała się w twarzach obecnych szukając tłómaczenia, o jakim Kochanowskim była mowa, gdyż o żadnym w sąsiedztwie nigdy nie słyszała. Nikt nie podniósł tego wyrażenia, milczeli wszyscy. Pan Teodor już nieco zniecierpliwiony, pochylił się do ucha panny Kornelii.

— Jeśli mi pani co dobrego życzy, proszę, błagam, wyjdźmy na ganek, mam z panią kilka słów do pomówienia.

— Pan, ze mną, w ganku? sam na sam? — Zaczęła się śmiać do rozpuku. — Cóż to może być? Uprzedzam, że jeśli mi się ośmielisz oświadczyć, weźmiesz odkosza.

— Panno Kornelio! miéjże pani litość! — szepnął Teodor.

— A gdzieżeś pan słyszał, aby stara panna litość nad kim miała? — wrzuciła mu w ucho kuzynka.

Jednakże czy ciekawość czy litość zwyciężyły; po chwili wstała z krzesła, a że i pan Teodor ruszył się zaraz, hrabina która zrozumiała strategią Męczyńskiego, pobladła i zdała się w początku chcieć wstrzymać odchodzącą, po namyśle jednak odstąpiła od tego.

— Tak lepiéj — rzekła w duchu — i owszem, dam mu jasną i wyraźną odprawę... raz na zawsze. Usłużny kuzynek doskonale robi jego interesa.

Panna Kornelia niezbyt szybkim krokiem przeszedłszy się po salonie, gdy się do niéj zbliżył Teodor, posunęła się ku gankowi.

— A! rozumiem, więc to wszystko umówione! Chcieliby nam czułą scenę ułatwić — mówiła w duchu hrabina — bardzo się na tém zawiodą. Doprawdy, to oburza.

Po odejściu pana Teodora została zmuszoną, choćby dla przyzwoitości zawiązać rozmowę z Krzysztofem. Pierwszy raz po latach tylu znajdowali się sam na sam. Krzysztof, który

siadł opodal, obejrzał się i jakby nabierając męztwa, przybliżył się do gospodyni.

Z postanowieniem chłodnego wytłómaczenia się szedł ku niéj, podniósł oczy, twarz jéj była tak groźna, tak posępna i prawie gniewna, że się zawahał.

Któż wié, jedno może z serca płynące słowo byłoby ich zbliżyło i przejednało od razu, lecz słowo to zamarło na ustach. Pan Krzysztof zrozumiał wejrzenie i ostygł.

— Nie miéj mi pani za złe mojego kroku — rzekł siląc się na zobojętnienie — nie uczyniłem go z własnéj woli, spełniłem życzenie Teodora. Muszę być otwartym, aby się oczyścić z zarzutu, jaki mi pani słusznie uczynić byś mogła. Teodor... marzy o szczęściu i szuka go tutaj, ale jest dobrym bratem. Zdawało mu się, że ja także mógłbym do tego rościć nie prawo, gdyż żadnego nie mam, ale że... że...

Hrabina przerwała żywo.

— Pan Teodor wierzy w trwałość uczuć... dawno wystygłych i zapomnianych.

Spojrzeli sobie w oczy, wejrzenie hrabiny było coraz groźniejsze, wargi jéj drżały.

— Pan Teodor jest marzycielem — dodała — a my oboje staliśmy się, spodziewam, ludźmi rozumnemi i ostygłemi. Dziecinne chwilowe przywiązanie przecież wiecznych więzów nie wkłada, pan nadto cenisz swą ciszę abyś je miał nosić, a ja stałam się sceptyczną i nadewszystko cenię to co dziś mam — swobodę.

— Ja także — rzekł pan Krzysztof. — Smutno mi tylko, że Teodorowi na nic się nie przyda to co i pani musiało uczynić nieprzyjemność i mnie kosztowało wiele.

Skłonił się lekko i zamilkł.

— Biedny mój Teodor! — westchnął cicho.

— A! nie użalaj się pan nad nim tak bardzo — odezwała się hrabina — w jego wieku uczucia nie są groźne, są to echa

przeszłości tylko. Mogło mu się zdawać coś na chwilę, to przejdzie.

— Jak wszystko przechodzi — wtrącił pan Krzysztof. — Gdybym jednak śmiał pani polecić trochę mojego kuzyna, jest-to bardzo dobry człowiek.

— Zupełną mam wiarę w wielkie jego przymioty, ale... swoboda jest lepszą od najmilszego z mężów — zawołała hrabina, proszę, nie mówmy o tém.

W głosie jéj drżał gniew. Spodziewała się wcale czego innego po nim, — zmartwychwstającéj miłości, wyrzutów, upomnienia się o prawa, rzewnych wspomnień, a znajdowała wystygłe opiekowanie się kim innym.

To było nie do przebaczenia. Spojrzała nań prawie z oburzeniem i wzgardą. A jednak głos choć stłumiony i zmęczony, przypominał jéj Krzysia; serce biło, sama siebie nie rozumiała Wanda.

Co się działo z Krzysztofem, tego z twarzy obumarłéj wyczytać nie było można.

Wszedł tu rozdrażniony, poruszony, obawiając się wybuchu; kilka słów rozmowy zepchnęły go na stanowisko tak nizkie, tak podrzędne, iż ani serca ani oczów nie śmiał podnieść ku niéj. Siedział milczący, czekając jakiegoś ratunku i wyzwolenia.

— Dziwnie odmienne były naszę losy — jasnym, spokojnym głosem poczęłą hrabina, jakby tylko dla utrzymania obojętnéj rozmowy — pan siedziałeś zamknięty w ciasnym obrębie swoich lasów, ja musiałam latać po świecie. Zwiedziłam całą prawie Europę.

— Wątpię byś pani co innego znalazła w niéj nad to, com ja widział w swych lasach — rzekł Krzysztof. — Ludzie są wszędzie ci sami, a natura, choć bardzo rozmaita, wszędzie piękna.

— Przyznaj pan jednak że to zamiłowanie odludzia, to dziwactwo. Gniewasz się pan na świat, niechcąc może przyznać, że nierad jesteś z siebie.

— Ale ja się na świat nie gniewam — uśmiechając się rzekł Krzysztof — a z siebie nigdy nie byłem zadowolniony, i do tego przyznaję się chętnie.

— Udana pokora — szepnęła hrabina, znajdując jakąś przyjemność w znęcaniu się nad panem Krzysztofem.

— Bardzo pani dla mnie jesteś niełaskawą — głos zniżając odezwał się pan Krzysztof. — Po latach wielu przyszedłem zmuszony, na chwilę, naprzykrzyć się pani; w życiu się więcéj nie zobaczemy pewnie nigdy, godziż się być tak nielitościwą?

Hrabina się zarumieniła.

— Nie rozumiem tego czém mi pan grozisz, że się już więcéj nigdy widziéć nie mamy — podchwyciła szybko — byłoby to śmieszném i kompromitującém dla nas obojga. Jeżeli o co go prosić mogę to właśnie, byśmy jako dobrzy dawni znajomi widywać się mogli. Przeszłości trzeba zapomniéć, ale teraźniejszości nie należy wyrzekać.

Krzysztof, jakby niezrozumiał z razu, długo patrzał milczący, cierpliwość i zimna krew opuściły go nagle, poruszył się na krześle.

— Pani więc myślisz że mnie nic ta bytność tak jak ją nie kosztowała, że przybyłem dla ciekawości i mógłbym od czasu do czasu stawić się tu, aby jéj dostarczyć cierpliwéj ofiary, która wszystko znosić musi, byle uratowała się od mniemanéj kompromitacyi? Przyznam się pani, że musiałaś zapomniéć jakim byłem dawniéj, lub sądzisz, żem tak się potrafił zmienić.

— Jak ja? nieprawdaż? — szydersko zawołała hrabina. — Ale ja się nie zapieram wcale tego, że jestem zupełnie, całkowicie zmienioną, że we mnie nie zostało nic z dawnéj płochéj dzieweczki jaką mnie znałeś. Musiałam tonąć i ratować się, przejść przez wszystkie jego obrzydliwości; tak jest! miałam prawo zmienić się... zmienioną jestem.

— A ja, nie! — przerwał rozogniając się pan Krzysztof. — W mchu tych moich lasów zasnąłem, zaskrzepłem z młodemi

uczuciami i przeżyły we mnie za kres zwykły gdy u innych uczucia tępieją i serce bić przestaje.

Spojrzał na nią rozpromienioną bólem twarzą, paliły mu się oczy. Wanda wejrzenia ich znieść nie mogła, drgnęła i spuściła źrenice.

— Z uczuciami staremi włóczyć się po świecie aby je drażnić, rozżarzać i cierpiéć od nich, byłoby samobójstwem — dodał pan Krzysztof — nie mam żadnego celu wychodzenia upiorem z grobu i przebaczysz mi pani, że tego więcéj nie uczynię.

— Uspokój się pan, proszę — odezwała się hrabina spojrzawszy w ganek na Kornelią — mówimy tak żywo, że moja kuzynka posądzić nas może o wcale inną treść rozmowy. Radabym pana widziéć chłodnym, przejednanym z losem i pożegnać go, do widzenia dłonią przyjazną. Zdaje mi się, że w imię przeszłości mogłabym się choć tego domagać.

— Sama pani mówiłaś że przeszłość ta umarła i że w niéj nic już z tamtych czasów nie pozostało.

— Przyjaźń dla pana — cicho odezwała się hrabina.

Krzysztof poruszył się na krześle.

— Na miłość Bożą! — zawołał — rozumiałbym nienawiść... przyjaźni nie pojmuję. Miłość się nigdy nie zmienia na nią, chyba od razu miłością nie była. W mojém téż sercu więcéj jest gniewu i nienawiści, powiem szczerze, niż... tego wodnistego napoju, który się nazywać zwykł przyjaźnią.

Hrabina się zarumieniła, pan Krzysztof odsunął się z krzesłem i chciał wstać.

— Proszę pana — pozostań i mówmy znowu chłodno.

Lecz snać rozmowa chłodna była niepodobieństwem, bo zamilkli oboje. Krzysztof począł się oglądać na Teodora, jakby go na pomoc wzywał, Wanda czuła się winną, i była niespokojną; żałowała, że była z nim za surową. Lecz mogłaż być inną? Obudzał w niéj litość znowu.

Całéj téj sceny świadkami były oczy panny Kornelii i pana

Teodora. Tu, w ganku, rozmowa po kilku słowach się przerwała, ucichła, stanęli oboje usiłując przeniknąć i zgadnąć co dawni kochankowie mówić z sobą mogli.

— Dałabym rok życia — mówiła panna Kornelia — żeby podsłuchać ich. A! to musi być ciekawém. Ale od kuzynki nic się nie dowiem, to próżno.

— Ani ja od pana Krzysztofa — dodał Teodor.

— Kłócą się... ja to widzę po twarzy Wandy, jest niezmiernie poruszoną. Co to będzie! co to będzie.

— Więcéj się lękam o Krzysztofa niż o hrabinę, która jest panią siebie; biédny Krzysztof.

— Tst! Tst! — zawołała kuzynka, którą jakieś słówko doleciało — pan jesteś nieznośny, proszę milczéć.

Zamilkli, ale rozmowa przycichła i ciekawa stara panna nic już pochwycić nie mogła.

Widoczném tylko było, że gwałtownemi wybuchy mieniali z sobą myśli ci państwo; że chwilami przerywała się ta zamiana niezgodnych wyobrażeń i że oboje męczyli się. Panna Kornelia uczuła wreszcie litość nad hrabiną, i zawołała do Teodora: — dłużéj tu nie wytrzymam, wracajmy do salonu.

I nie słuchając już towarzysza, który usiłował ją uprosić aby pozostała, posunęła się żywo ku opróżnionym krzesłom.

Zastali tu uroczyste milczenie, twarze były zarumienione, widać po nich przejście burzy.

— Państwo nas opuściliście — odezwała się hrabina, — a ja naszego sąsiada wcale zabawić nie umiałam; o wszystkośmy się prawie sprzeczać musieli, tak się jakoś nie rozumiemy.

— Należy to przebaczyć odwykłemu zupełnie od ludzi — dodał Krzysztof—wiedziałem o tém, żem już do towarzystwa nie stworzony.

To mówiąc wstał z krzesła i zbliżywszy się do Teodora, szepnął mu:

— Jedźmy! na miłość Bożą, jedźmy.

Ale hrabina odgadła to i zawołała żywo:

— Niech mi pan mojego gościa nie buntuje, musicie zostać na herbacie, choćby na dowód że jesteśmy, mimo rozmowy dosyć spornéj, w dobréj zgodzie.

Teodor spojrzał na gospodynią.

— Ja jestem wszystkim rozkazom posłuszny.

— A ja korzystam z tego zaraz — dodała Wanda — aby wydać panu rozkaz przywiezienia z sobą, gdy będziesz łaskaw być w Zamostowie, pana Krzysztofa. Pogodzimy go z życiem i światem.

— Pani by to z łatwością przyjść mogło — szepnął wzdychając Teodor.

— Nie zrozumiałeś mnie pan — poprawiła się rumieniąc. — Pan Krzysztof stał się mizantropem, trzeba go z tego wyleczyć, bo to po prostu choroba.

— Wszyscy co z początku na ideały chorowali, kończą na mizantropii — rzekł Teodor.

Panna Kornelia, która na chwilę się oddalila zajrzéć co się dzieje z herbatą, oznajmiła, że ją podano. Nie można było odmówić uprzejmemu zaproszeniu gospodyni. W sali jadalnéj stał już wyprostowany i milczący pan rejent.

Był-to z bardzo dawnych czasów znajomy i przyjaciel niegdyś młodego jeszcze pana Krzysztofa, który straciwszy go z oczów, o losach jego nie wiedział wcale. Rejent wiedząc o przybyciu Poboga, zawczasu mu się zdala uśmiechał, gdy pan Krzysztof, który od razu twarzy zmienionéj przypomniéć sobie nie mógł, patrzał nań jeszcze zdziwiony tym wyrazem fizyognomii prawie obcéj.

Rejent się zbliżył wzruszony cały.

— Panie Krzysztofie dobrodzieju! pan mnie nie poznaje? — zawołał.

Głos ten rozbudził pamięć pustelnika, który z całą żywością serca drgającego jeszcze świeżém wzruszeniem, począł ściskać

rejenta. Hrabina, która się tyle uczucia nie spodziewała w mizantropie, patrzała nieco zdziwiona.

Odeszli na stronę obaj.

— Po latach tylu... o mój Boże! — mówił urywanemi słowy rejent — jakżem ja szczęśliwy, że widzę pana. Wiedziałem o nim alem szanował wolę jego, i nieśmiałem mu się naprzykrzać

— Dobrześ uczynił, panie rejencie, jam się skazał na dobrowolną samotność i zdobyłem nią spokój, naruszać go tak jak spokoju grobów, niegodziło się. Dziś, gdy cię widzę, rad jestem.

Rejent patrzał nań jakby się nie mógł nasycić widokiem jego.

— Prawda? zmieniają lata! — rzekł Krzysztof.

— Sądzę że to więcéj na mnie znać, niż na panu — odparł stary.

Odeszli parę kroków do okna. Panna Kornelia zajęta była herbatą. Teodor nieśmiało zbliżył się do hrabiny.

— Nie masz mi pani za złe, żem tego dzikiego człowieka tu ściągnął? — zapytał z pokorą.

— Najlepszym tego dowodem — gorączkowo nieco i śpiesznie odezwała się hrabina — żem pana prosiła, aby ten pierwszy raz nie był ostatnim.

Głos jéj sprzeciwiał się wyrazom, Teodor łatwo to dostrzegł.

— Zdziczałym — dodał — wiele przebaczyć potrzeba.

Wanda spojrzała nań roztargniona i nie odpowiedziała ani słowa; patrzała w okno zadumana, policzki jéj okrywał rumieniec, cierpiała widocznie. Stanu duszy nikt, nawet ona sama, wytłómaczyćby była nie mogła. Za co się gniewała na biednego człowieka, na siebie, na Teodora, na wszystko?

Przez kilka minut mówili po cichu Krzysztof z rejentem, wrócili potém do stolika i gość zajął miejsce skromne, jak najdaléj gospodyni, przy dawnym znajomym, z którym ciągnął daléj urywaną rozmowę, nie mięszając się do ogólnéj, podsycanéj przez pannę Kornelię, która na pustelnika nieustannie oczyma ciekawemi rzucała.

Wanda niekiedy z ukosa spoglądała na odsuniętego daleko Krzysztofa, niekiedy dorzucała słówko do rozprawy pana Teodora o herbacie w Europie. Długie pół godziny ceremonialnego podwieczorku przeszło nareszcie.

Krzysztof, domagający się oczyma odjazdu conajprędszego, naostatek zmusił kuzynka że wstał i zaczęli się żegnać. Żal się zrobiło hrabinie tak upokorzonego i zrezygnowanego Krzysztofa. W chwili gdy nie śmiejąc się nawet zbliżyć już, chciał ją pożegnać z daleka, postąpiła kilka kroków i podała mu rękę.

Zawahał się zrazu gość, machinalnie prawie wyciągnął dłoń drżącą i po latach wielu te dwie ręce, które los miał niegdyś połączyć na zawsze, spotkały się znowu. Ręka Wandy była drżąca, Krzysztofową nieśmiało dotknęła i cofnęła się jakby z obawy, ażeby magnetyczny prąd z serca przez nią nie przeszedł do jego piersi i większym ich jeszcze nie napełnił niepokojem.

— Mam słowo pana Teodora, że mnie wprędce panowie obaj odwiedzicie — odezwała się zmięszana hrabina — rachuję na jego spełnienie.

Teodor się skłonił, Krzysztof już dążył ku drzwiom. Powóz stał u ganku, siedli milczący. Przez całą drogę Męczyński napróżno zaczepiał po kilkakroć pana Krzysztofa, który mu nic nie odpowiadał. Tak dojechali do Zieleniewszczyzny, i gdy wysiedli w starym dworze, a zostali sam na sam, Krzysztof ujął rękę Teodora.

— Teraz mówmy — rzekł — skończmy tę męczarnię, którą wycierpiałem dla ciebie. Zrobiłem czegoś wymagał po mnie, wiesz z jakim skutkiem? Hrabina nietylko odepchnęła mnie — tegom się spodziewał; — ale gdym zagadnął o ciebie, odpowiedziała mi stanowczo, że swobodę swą nadewszystko ceni, że za ciebie ani za nikogo nie wyjdzie; oto masz ostateczny rezultat, czém okupiony — dodał uderzając się w piersi — Bóg i ja wiemy tylko.

To mówiąc rzucił się na krzesło i zamilkł, Teodor stał zupełnie spokojny przed nim.

— Mniéj więcéj i ja się tego samego lub gorszego spodziewałem — odezwał się powoli — nie dziwi mnie to nic a nic. Ty, Krzysiu mój, zapomniałeś ludzi i nie znasz kobiét. To co ona powiedziała w uniesieniu nic nie dowodzi, a zdobyliśmy jeden fakt, którego mi nikt nie wybije z głowy: była mocno poruszoną, serce jéj biło, wspomnienia się odezwały. Na chwilę mogła być podrażnioną. Pojedziemy raz drugi i wszystko się zmieni, a ja jeszcze będę drużbą na twojém weselu.

Krzysztof porwał się z krzesła śmiejąc.

— Noga moja tam nie postanie nigdy. Jadę do domu i żadna moc ludzka ztamtąd mnie nie wyciągnie, ani ty, ani nikt! Dosyć tego. Jestem na długo a długo wzburzony, gniewny, nierad z siebie i nieszczęśliwy, tom winien tobie.

Noc już była, pomimo to pan Krzysztof domagał się koni do chaty Wilczka, i koniecznie chciał odjeżdżać natychmiast. Teodor zaklinał go na wszystko aby pozostał, obiecywał go odwieźć nazajutrz, nic nie pomogło.

— Jeśli mi nie dasz koni, pójdę piechotą — odparł spokojnie — nawykłem do długich wycieczek, to mi wszystko jedno.

Nie było sposobu, niechcąc go więcéj drażnić posłał Męczyński po konie, pożegnali się zimno. Krzysztof śpieszył, pilno mu było zostać z samym sobą; skoczył na bryczkę, ręką jeszcze pożegnał brata i kazał jechać ku swym lasom.

W półtoréj godziny, gdy już wszyscy spali we dworku, Grzmilas zaczął szczekać okrutnie i wszystkich pobudził, Krzysztof wchodził na dziedzińczyk i co żyło zerwało się, aby mu nocleg przysposobić.

Stary leśniczy chciał pana zabawiać rozmową, ale się wprędce przekonał, że był w tém niemém usposobieniu, w którém słowa z niego dobyć nie było podobna.

Dosia, która posługiwała, wróciwszy do matki, szepnęła:

— Coś mu się stać musiało? Bóg wié, chmurny jak noc, ja go z jednego wejrzenia poznam! Biedny człek!!

Przed starym dworem w Pobogowszczyznie, który ostatni dziedzice chcąc po swojemu upiększyć, popsuli niesmacznemi przybudowkami w nowszym a raczéj bez żadnego smaku, pomiędzy dwoma staremi lipami, na ławce z brusa dębowego, u stolika, siedział ubrany po wiejsku w surducie płóciennym pan Paweł. Patrząc nań z uwagą, można w nim było poznać brata Krzysztofa, lecz w twarzy jego rysach zmęczonéj i zwiędłéj, więcéj było czynu a mniéj myśli. Bystrzejszy wzrok patrzał śmiało w oczy temu co przed sobą spotykał. Mniéj rycerstwa i dumy, mniéj w nim było wdzięku, lecz za to coś wzbudzającego zaufanie i wiarę. Czytałeś w nim że marzyć nie umiał, że do walki był gotowym i że słowo mierzył z czynem, tak aby się jedno nie rozbijało o drugie.

Pan Paweł trzymał gazetkę w ręku, na którą rzucał roztargnionemi oczyma. Naprzeciw niego, bardzo skromnie ubrana siedziała kobieta rysów twarzy pospolitych i nie pięknych wcale, pełna zdrowia i spokoju na czole, dosyć rumiana i otyła. Strój jéj czysty był, ale nie wyszukany i nie ułożony dla wdzięku, snać wiedziała, że piękną być nie mogła, a udawać piękności nie chciała. Za to na ustach miała uśmiech dobroci pełny. Blade oczy niebieskie, usta duże, nos kształtny ale spory, owal twarzy nieco za pełny, odznaczały gosposię. Była to żona pana Pawła, córka zamożnego kupca z miasteczka, która się jeszcze z nowém szczęściem męża i dostatkami jego oswoić nie mogła i zachowała dawną obyczaju prostotę, choć może marzyła o czém innném. Stojąca przy niéj wysmukła i piękna dziesięcioletnia dziewczynka, wesoło spoglądała na matkę i robiła ową podwiązkę, od któréj panienki poczynają swój zawód jako od wstępu do skomplikowanéj pończochy. Tuż za siostrą stał słuszniejszy od niéj chłopak w siermiężce, podobny trochę do ojca, trochę do matki, dziarski i żywy a niespokojny. Książkę złożywszy

patrzéć się dokoła zdąwał, gdzieby mógł jakiego figla wypłatać. Między siostrą a nim odbywała się rozmowa na migi. Magdzia go wstrzymywała od jakiegoś wybryku, pokazując mu ojca drutem od pończochy.

— Już chyba Teodor dziś nie przyjedzie — odezwał się pan Paweł do żony — przysłał się dowiadywać czy jesteśmy w domu, miał na pewno przyjechać, a tu wieczór już... i nie ma go. To bałamut, z podwieczorkiem nie trzeba czekać na niego, każcie dawać.

— Jeszcze chwileczkę się wstrzymajmy — odezwał się łagodny głos kobiety — może nadjedzie.

Paweł na zégarek spojrzał. — Siódma godzina.

— Człowiek z wielkiego świata — przemówiła pani Pawłowa — u nich godziny inne mają znaczenie. Wstają o południu, a kładą się po północy.

Gdy to mówili, niepoczesny człowieczyna na lichym koniu zatrzymał się u wrót, konia przywiązał do słupa, i sam trzymając w ręku biały papier, zbliżył się ku lipom. Pan Paweł podszedł.

— Zkąd to?

— Z Zieleniewszczyzny.

Prędko rozpieczętował kopertę gospodarz, rzucił okiem na kartę i krzyknął tak jakoś dziwnie, że żona rzuciwszy pończochę podbiegła ku niemu. Dzieci zdziwione zostały przy stoliku.

Pawłowstwo oboje z pochylonemi nad listem głowami czytali. Był następującéj treści.

„Niemogę dziś przybyć do kochanego kuzyna, a co gorzéj, przykrą mu udzielić muszę wiadomość. Pozawczoraj byliśmy z panem Krzysztofem w Zamostowie; późno w noc naparł się powracać do domu, a raczéj do chaty Wilczka. Co się potém stało — niewiem, ale Wilczek dał mi znać, że nad rankiem wybierając się na polowanie, Krzyś nieostrożnie obszedł się ze strzelbą, i cały nabój w lewy bok sobie wpakował. Nim przybyłem, felczer wezwany z miasteczka już mu loftki powyjmował,

rana niebezpieczna, pierś przestrzelona, cudem jakimś niepojętym serca nie tknął i zdaje się, że żaden ważniejszy organ nie ucierpiał. Bóg wié czy go ocalemy. Możeby wypadało abyście wy przyjechali; ja go nie odstępuję...“

Przeczytawszy list, oboje państwo Pawłowstwo stali długo milczący spoglądając po sobie, oboje byli mocno wzruszeni, Paweł niepewien i wahający się co ma począć.

Niechcąc, aby ich dzieci słyszały, odeszli nieco w głąb’ dziedzińca.

Żona patrzała mężowi w oczy niespokojna — on milczał.

— Niepojęta rzecz — odezwał się nareszcie — człowiek który całe życie nawykł chodzić około broni, żeby się mógł w ten sposób przez nieostrożność postrzelić... w lewy bok...

Poruszył głową.

— Jechać? nie jechać — dodał — wiész jak mnie nie lubi, moje przybycie może go podraźnić. Co ja tam pomogę? lękam się bym nie zaszkodził!

— Ale jechać potrzeba, należy — odezwała się kobieta łagodnie — uczynisz jak zechcesz, ja ci radzę... jedź. Choćbyś go nie miał widzieć, dobrze, byś tam był i dowiedział się czy mu czego nie potrzeba.

— Odemnie nic nie przyjmie.

— Znajdziesz sposób, podyktuje ci serce twoje jak mu masz usłużyć. Ty wiész jak ja nieznając go lituję się nad nim... jak mi go serdecznie żal. Sam mi mówiłeś, że nieszczęśliwa miłość przyprowadziła go do tego.

— Tak! i nieszczęśliwe pojęcia o szlachectwie.

— Trzeba mu to przebaczyć — westchnęła kobieta. — Ale, proszę cię — dodała — nie znajdujesz to dziwném, że zaraz po podróży do Zamostowa trafił się ten przypadek. Po co tam jeździł?

— Mnie to także uderzyło. Teodor mi mówił że go tam za-

wiezie. Zmusił go... któż wié jak tam został przyjęty. W tym człowieku wieczna burza mieszkała.

Westchnął głęboko.

— Jadę — rzekł — nie pójdę do niego, wiedziéć o mnie nawet nie będzie, ale ja dowiem się przynajmniéj.

Skinął na chłopaka stojącego z siostrą przy stole.

— Wacek, każ mi zaprządz prędko parę koni!

Ledwie dosłuchawszy rozkazu, Wacek się kopnął ku stajni; nic przyjemniejszém mu być nie mogło, nad zbliżenie się do furmanów i koni, do których towarzystwa tęsknił zawsze.

Państwo Pawłowstwo przechadzali się smutni. Posłańca odprawiono ze słowną odpowiedzią, iż Paweł natychmiast jedzie. Człowiek upewniał, że w chacie Wilczka znajdzie pana Teodora.

W kwadrans zaszły konie, gospodarz się ubrał na prędce, pożegnał żonę kilkoma cichemi słowami i wyjechał. Wieczór był chmurny i wietrzny, zanosiło się na burzę. Niezważając na to kazał pośpieszać, i bliższą drogą, choć gorszą znacznie, przed północą w deszcz już stanął po cichu u podwórka chaty Wilczkowéj.

W oknach widać było światło... ale cisza panowała do koła. Na szczekanie psa wyszedł stary leśniczy.

— Jest pan Teodor? — zapytał w sieni przybyły.

— Jest przy panu.

— Wywołajcie go ostrożnie nie mówiąc o mnie.

Wilczek otworzył drzwi przeciwka i wpuścił Pawła do izby. Przy piecu siedziała leśniczyna z twarzą fartuchem okrytą, płacząc. Tuż przy niéj Dosia stała z rękami załamanemi, z głową spuszczoną, zatopiona w myślach, z oczyma suchemi, których nawet na wchodzącego nie podniosła. Pierwsza matka spostrzegła pana Pawła i dała znak osłupiałéj córce, aby stołek podała. Dziewczę nie zrozumiało.

— Jak się ma chory? — spytał Paweł.

— Pan nasz... a! nie wiem! nie wiem — poczęła Wilczkowa i zakryła znowu twarz fartuchem, a córka dodała głośno:

— Ale on umrzéć nie może! Pan Bóg nie dopuści na nas tego nieszczęścia — nie — nie... O! nigdy... a to...

I opamiętawszy się nagle zamilkła cofając się w głąb' izby za piec, o który oparła głowę i ręce. Wtém wszedł blady Teodor. W milczeniu podali sobie ręce. Nadto było świadków ażeby mówić mogli; obejrzał się Męczyński, deszcz lał na podwórzu, wyszli obaj do sieni ku ogródkowi. Tu stanęli w progu.

— Jest niebezpieczeństwo? — zapytał Paweł.

— Felczer niepewny swego, posłałem po doktora, choć Krzysztof się temu sprzeciwia. Zrazu ratować się nie dawał, nierychłom go skłonił, a raczéj zmusił do tego.

— Lecz jakże doświadczony stary myśliwy... mógł...

Teodor uderzył po ręku Pawła i dziwnie głową poruszył; zmarszczyły mu się brwi.

— Strzał niepojęty... wypadek niezrozumiały — rzekł cicho — tajemnica, któréj lepiéj się niedobadywać. Wilczek powiada, że przybywszy odemnie w nocy, bo się naparł powracać, tak że chciał bodaj iść pieszo, zamknął się zaraz w izbie w któréj zwykle nocował. Dosia, córka leśniczego, chciała go spytać czy mu czego nie potrzeba, odprawił ją słowa nie mówiąc. Stał trzymając się za głowę, myślano że go boli. Dano mu pokój. Kobiety się nie kładły, sądząc, że czego zapotrzebować może. Dosia, która do niego jest jak dziecię przywiązaną, podsłuchiwała pode drzwiami: chodził do późna, a raczéj do rana, jęcząc i stękając. Zaczynało świtać gdy w izbie ucichło; myśleli że się wreszcie położył. Zaledwie dziewczę odeszło i poczęło się do snu układać, gdy strzał się dał słyszéć. Wilczek będący najbliżéj wpadł pierwszy, zastał go leżącego na ziemi i broczącego we krwi, a rękami konwulsyjnie odpychającego ratunek. Na stole leżała torba i przybory myśliwskie Wilczka. Zaniesiono go gwałtem na łóżko i szlachcic mimo oporu ranę poobwiązywał, chłopca wyprawiono

po felczera i do mnie. Przybyłem razem prawie z nim... zdawało się że nie ma ratunku. Męczył się okrutnie; wołał: Dajcie mi umrzéć!.. Scena była dziwna. Dosia u nóg łoża uczepiona u jego ręki i jak obłąkana, Wilczkowa, on sam... wszystko to jęczące i ryczące z płaczu. Przystąpiłem i ja. Udało się nam wszystkim razem zmusić go do posłuszeństwa i dozwolenia opatrzenia rany, z któréj felczer najprzód szczęściem po żebrach poosuwane loftki powyjmował. Upływ krwi był ogromny... rany szkaradne. Od czasu jak się dał opatrzéć, słowa nie można dopytać się, milczy, usta zacięte, oczy zamknięte. Daje z sobą robić co chcą, lecz jest jakby obumarłym. Ból mu jęku nie wycisnął z ust.

— Cóż to było? przypadek? — zapytał Paweł.

Teodor chwycił się za głowę i stęknął.

— Przypadek!... mówmy że to był przypadek, chociaż, nie pojmuję takiego przypadku, ani takiego samobójstwa.

— Byliście tego dnia w Zamostowie?—podchwycił Paweł. — Po co?

Teodor się w piersi uderzył.

— Zapytaj tego głupca który stoi przed tobą! po co? tak? po co go wozić tam było, ażeby się w nim odezwała stara boleść, któréj on długiemi latami w sobie nie zwyciężył? Ale któż mógł przewidziéć, kto się mógł spodziewać takiéj głupiéj namiętności w człowieku zestarzałym, ostygłym. Jam go tam zawiózł...

— To nie mogło być samobójstwo — przerwał Paweł.

— Mówmy tak — ja wiedziéć nie chcę nic... sumienie by mnie gryzło całe życie. Wilczek powiada, że nie jeden raz tak zrana wybierał się na polowanie, tym razem może znużony, nieprzytomny, nieostrożność popełnił.

— Mogę go widziéć? — zapytał Paweł.

— Widziéć go — zapewne, ale nie mówić do niego; nie odpowiada nikomu. Jedna Dosia gdy przyjdzie i pochwyci go za rękę a płacze — oczy otwiera.

Nic już nie mówiąc, Paweł za Teodorem zbliżył się ku drzwiom prowadzącym do izby, w któréj leżał chory. Przyciemniona była; świeca stała osłonięta w kątku, na tapczanie okryty chustami skrwawionemi, z twarzą bladą leżał pan Krzysztof; oddech ciężki słychać było, i chrypienie w piersi; oczy miał zamknięte. Jedna ręka wisiała zwieszona, żółta, jakby bezwładna i trupia. Obnażone na pół piersi widać było poobwiązywane ręcznikami, na których także krwi plamy leżały ciemne. Felczer siedział na stołeczku przy chorym. Wilczek stał w kątku podparłszy głowę na ręku.

Otwarcie drzwi nie rozbudziło chorego, nie poruszył się, przystąpili do łoża i mogli mu się przypatrzéć zblizka. Mimo boleści twarz była wypogodzona, namarszczone tylko brwi i zagryzione usta zdradzały cierpienie. Chwilami wargi spalone otwierał, zmarszczki jakieś krzywiły mu twarz, ale natychmiast nikły i dawny spokój na nią powracał.

Ani Teodor, ani Paweł odezwać się do niego nie śmieli. Stali jeszcze, gdy weszła z przeciwka córka leśniczego, wodząc oczyma obłąkanemi po izbie, przystąpiła do tapczana, przyklękła i wziąwszy rękę zwieszoną całować ją zaczęła. Chory otworzył oczy, spostrzegł może braci obu i prędko zamknął je znowu. Dosia płakać poczęła.

Przywiązanie to dziecka dziwném by się mogło wydawać, gdyby Dosia nie wychowała się w oczach i niemal na ręku pana Krzysztofa, który ją lubił bardzo.

Nie dziwiło ono nikogo z domowych, bo Wilczek i wprzódy wiedział jak dziewczę natrętnie zajmowało się swym opiekunem, jak niekiedy nawet pozwalało sobie dawać mu rady i rozkazy, których pan Krzysztof uśmiechając się słuchał. Pani Wilczkowa naganiała córce tę poufałość, ale jéj poprawić nie mogła; niepokoiła się nawet trochę przywiązaniem, które się objawiało często prawie namiętnie, ale trudno było posądzić kilkunastoletnią dziewczynę o inną miłość dla człowieka tak wiekiem od niéj różnego.

Ze strony pana, troskliwość o los Dosi była prawdziwie ojcowska... i opiekuńcza.

Postawszy jeszcze u łoża, Paweł i Teodor wyszli po cichu. Deszcz ustał był, niebo nocne wyjaśniało się, wiatr rozpędzał chmur reszty, na wschodzie blade światło zwiastowało ukazanie się księżyca. Oczekując na lekarza, którego można się było spodziewać co chwila, dwaj krewni poczęli się przechadzać po podwórku. Rozmowa była przerywana i smutna.

Świtało już, gdy stary Schirner nadjechał. Ze trzech lekarzy w okolicy, jego jednego znaleziono w domu.

Był-to Niemiec osiadły od lat dwudziestu kilku w miasteczku, człowiek dobry, lekarz doświadczony, ale już podstarzały i nie bardzo rad praktyce. Ciężko go było z domu wyciągnąć, gdyż z lenistwa czy z doświadczenia, utrzymywał, iż większa część ludzi choruje na imaginacyą, a leczy się bez potrzeby. Wszystko rad był zostawić naturze, byleby mu pokój dano. Tym razem wypadek dziwny, potrzeba gwałtowna wyciągnęły go z domu bez przymusu wielkiego, nie skarżył się nawet. Teodor wprowadził go kilką słowy przygotowawszy do izby chorego,

Na widok okrągłego, łysego staruszka, niosącego pudełko pod pachą, Dosia, która dotąd klęczała u tapczana, porwała się i uciekła na przeciwek, zasłaniając oczy.

Schirner, poszeptawszy z felczerem na uboczu, przystąpił do chorego. Nie widział go od lat dawnych. Teodor oznajmił o jego przybyciu i o potrzebie nowego opatrzenia rany, Krzysztof oczy otworzył, zamknął je i dał z sobą czynić co się podobało.

Dobre pół godziny trwało to nowe opatrywanie, które nie dobyło ani jęku z ust rannego. Schirner zauważył że felczer, raczéj przypadkiem niż umiejętnością, uczynił co było można w pierwszéj chwili. Obandażowano bok i zalecono spoczynek.

Dzień był biały gdy staruszek zmęczony, ocierając pot

z czoła, wyszedł odetchnąć na podwórko. Teodor i Paweł przystąpili do niego, badając oczyma, a pytać nie śmiejąc.

— Człowiek jest zdrów i silny — rzekł Schirner — rana ciężka, ale niebezpieczeństwa nie widzę. Wyjść może jeśli komplikacya jaka stanu nie pogorszy.

Potrząsnął głową dziwnie.

— Zkądże taki strzał? — dodał.

— Nieostrożność — wtrącił Teodor.

Staruszek popatrzał na obu, ramionami ruszył, powtórzył: nieostrożność! — i zamilkł.

— Potrzebna spokojność — dodał — nic więcéj, felczer opatrzéć potrafi, a ja od czasu do czasu zajadę.

Nie było czém tak bardzo przyjmować w ubogiéj chacie, nawykłego do wygód i popsutego pieszczotami staruszka; wybrał się więc wprędce, pod pozorem, że ma innych chorych do odwiedzenia. Wypadek chciał by mu droga szła na Zamostów, gdzie ekonomowa była chora. Chociaż Schirner słyszał był kiedyś może, o stosunkach Krzysztofa i Wandy, zupełnie o tém zapomniał.

Przybył w rannéj godzinie na folwark. Krótko tam zabawił, znalazłszy chorą lepiéj daleko, a że go dobrze przyjmowano w pałacu, gdzie panna Kornelia za to nudziła go swemi spazmami, migreną i wypadającemi włosami, poszedł się pokłonić jeśli nie hrabinie to jéj kuzynce. Spodziewał się tu dobréj kawy.

W pałacu wstawano dosyć rano, panna Kornelia wprawdzie jeszcze nie była ubrana do ludzi, ale hrabina piła na ganku herbatę, gdy jéj oznajmiono Schirnera. Kazała go prosić trochę zaniepokojona tak wczesnemi odwiedzinami.

— Cóż to kochanego konsyliarza tak rano obudziło? — zapytała witając go w progu.

— Ja, pani hrabino — odezwał się Schirner — nie budziłem się rano, ale niestety całą noc dziś nie spałem. Trzeba umiéć się poświęcać dla cierpiącéj ludzkości.

— Któż chory? u mnie? — przerwała Wanda.

— Chwała Bogu nikt — rzekł doktor siadając — wstąpiłem powracając zkądinąd. Szkaradny się stał wypadek: pan Krzysztof Pobóg się przestrzelił.

Mówił to obojętnie, nie spodziewając się uczynić wielkiego wrażenia; wtém hrabina zbladła, rękami chwyciła się za stół i na krzesło blizko stojące padła zakrywając oczy.

Doktor osłupiał, nie mogąc pojąć téj drażliwości nerwów.

— Przestraszyłem panią niepotrzebnie — dodał — zapomniałem, że o takich wypadkach nie mówi się przed kobietami z natury czułemi.

— Zabity? raniony? niebezpiecznie? mów pan — przerwała żywo Wanda — jak się to stało?

Zawahał się staruszek.

— Pani bo dziś nerwowa i podrażniona — odezwał się spokojnie — możeby lepiéj o tém nie mówić.

— Ale ja proszę was! jak się to stało?...

— Jak?... ani ja ani nikt podobno wytłómaczyć nie potrafi. Stary myśliwy, który sobie przypadkiem lewy bok całym ładunkiem tuż pod sercem przestrzela... i to w taki sposób! w taki sposób! hm... hm!... niezrozumiałe.

Spojrzał na hrabinę, była cała drżąca i jak trup blada; wstał co prędzéj podać jéj wody, nierozumiejąc jeszcze, aby się tak cudzym wypadkiem można było poruszać.

— Niech się pani uspokoi — rzekł — ja już więcéj nie powiem nic. Pani dziś jest nerwowo usposobioną. Nie należy słuchać takich rzeczy; a ja stary, i lekarz w dodatku, dopuściłem się takiéj nieroztropności.

Hrabina zamilkła pohamowawszy się.

— W istocie — odezwała się dzwoniąc — wstałam dziś po nocy bezsennéj, nie wiem co mi jest, rozdrażnionam bardzo. Darujesz mi, pójdę trochę do siebie.

Kazawszy prosić co rychléj panny Kornelii, hrabina zaledwie zobaczywszy ją zdaleka, ukłoniła się i znikła.

— Otóż ze mnie *asinus* — rzekł Schirner w duchu.

Panna Kornelia nadbiegła.

— Cóż to Wandzi? wyszła. Jak się masz konsyliarzu! dobrze się stało że przybyłeś, umierałam bez rady twojéj.

— A no tak, dobrze się stało żem przybył, ale źle się stało, że hrabina nie zdrowa?

— Jakto? ona nie zdrowa?

— Zdaje mi się.

— Podrażniona! — uśmiechając się rzekła stara panna zbliżając się. — Jakto? waćpan nic nie wiész? Świeżuteńko mieliśmy tu odwiedziny po niewiedziéć wielu latach, dawnego narzeczonego hrabiny, za którego wychodzić miała. Rozumiesz, że spotkanie takie nie przechodzi bez wzruszenia.

— Któż to taki? — zapytał Schirner.

— A pan Krzysztof Pobóg! — rozśmiała się Kornelia — wszak wiedziéć musisz.

Doktor szeroką dłonią w usta się uderzył.

— Ot tom głupi!! ot... głupi! — krzyknął i ręce załamał. — Gdzież pamięć miałem.

Panna stała zdziwiona nic nie rozumiejąc.

— Cóż to się stało?

— Język miałem za długi! wypaplałem się jak baba. Rozumiem teraz dla czego hrabina tak pobladła.

— A cóżeś jéj za wiadomość przywiózł z sobą? — pytała ciekawa.

— Pobóg się przestrzelił.

Można było sądzić że i panna Kornelia miała sympatyą dla pana Krzysztofa, gdyż usłyszawszy tę wiadomość, zakryła sobie oczy i z krzykiem rzuciła się na kanapę.

Posypały się gradem pytania, na które doktor, wzięty na

spytki, odpowiadać musiał, niemogąc się spodziewanéj kawy doczekać. Naostatek aż się do niéj przymówić musiał.

Panna Kornelia kazawszy mu ją podać, przeprosiła i pobiegła do kuzynki. Drzwi sypialnego jéj pokoju były na klucz zamknięte; na domaganie się o otwarcie otrzymała tylko uspokajającą odpowiedź i prośbę, ażeby do doktora wracała. Wcale jéj to jednak nie uspokoiło.

Schirner téż widząc że tu więcéj zawadza niż pomaga, wypiwszy kawę, zaleciwszy krople laurowe i wodę pomarańczową, zabrał się i odjechał.

Po wyjeździe jego, panna Kornelia napróżno u progu kuzynki domagała się wpuszczenia; hrabina wymówiła się przed nią bólem głowy i potrzebą odpoczynku. W godzinie obiadowéj nie przyszła do stołu.

Kuzynka, która z początku nie bardzo to brała do serca, poszła wreszcie pod drzwi domagać się i zaklinać, aby ją wpuszczono; strach ją jakiś ogarnął. Po długiem parlamentowaniu u progu, hrabina otworzyła.

Z twarzy jéj widać było cierpienie, oczy miała zaczerwienione, włos rozpuszczony.

— Może w czém pomódz mogę? — zapytała Kornelia — co ci jest? Każesz może posłać po Schirnera.

— Nic mi nie jest, mam ból głowy, to przejdzie — odezwała się hrabina — przechodzi... prawie przeszło. Nie kłopocz się o mnie. Nie będę taić przed tobą, ta wiadomość o nieszczęśliwym wypadku, niespodziana, dziwna, przeraziła mnie. Żal mi tego nieszczęśliwego, którego przyjęłam może za surowo.

— Ależ to przypadek... nieostrożność — odezwała się odgadując myśl kuzynka — cóż cię to ma tak obchodzić?

— Wiem że przypadek; lecz niemniéj żal mi starego, biednego przyjaciela.

— Jeżeli o niego jesteś niespokojną — dodała kuzynka — dałabym jedną radę: możnaby posłać rejenta, który mi sam mó-

wił, że był z nim w przyjaźni, tenby pojechał z chęcią i przywiózł dokładniejszą wiadomość.

— Doskonała myśl — odezwała się hrabina —tak jest, proś go, niech pojedzie, dowie się i wraca.

Rada, że jéj się udało podać choć raz myśl szczęśliwą, co się rzadko trafiało, panna Kornelia pobiegła wyprawić rezydenta, który natychmiast poszedł do stajni i zamiast czekać na konie, okulbaczył sobie wierzchowca i wyruszył. Było już pod wieczór, hrabina wyszła uspokojona nieco na herbatę. Wedle obrachunku tegoż dnia nie zbyt późno mógł i powinien był rejent powrócić. Hrabina poczęła się przechadzać po salonie, Kornelia siadła grać do fortepianu, ale dla bólu głowy Wanda ją poprosiła aby przestała. Rozmawiały więc o rzeczach obojętnych, do późna. Rejent, o którego się dowiadywać posyłano, nie powracał.

Musimy dodać, że szanowny rezydent nie miał najmniejszego pojęcia o stosunku osób go otaczających. O miłości pana Krzysztofa dla hrabiny albo mało co słyszał, lub zupełnie zapomniał; nie wyobrażał sobie aby coś innego nad dobrą sąsiedzką znajomość istniało pomiędzy niemi. Nie widział więc potrzeby nadzwyczajnego pośpiechu, chyba dla dogodzenia fantazyi pani, którą uwielbiał.

Było już około północy, gdy nareszcie wszedł do salonu. Hrabina nie okazując zbytniéj niecierpliwości podeszła ku niemu, Kornelia podbiegła.

— Mówże pan, zlituj się, co się tam dzieje?

— Dzięki Bogu nie jest tak źle — odezwał się rejent — byłem nawet w pokoju gdzie chory leży i widziałem go na własne oczy. Niebezpieczeństwa życia na pewno nie ma żadnego. Jak to się często myśliwym zdarza, pośpiesznie broń nabijał, zawadził czémś o kurek i wpakował sobie loftki w bok. Ale je wyjęto... Mówić nie mówi, lecz to nic dziwnego, bo nigdy, nawet zdrów, zbyt rozmownym nie był. Pan Teodor jest przy nim, myślę że i pan Paweł nie odjedzie, bo i ten także przybył.

Naostatek Wilczkowie go tam mają w opiece, to dosyć, a jedna Wilczka córka za wszystkich by stała.

— Któż to jest? — zapytała chmurząc brew hrabina — któż jest Wilczek?

— To mi tam na miejscu opowiadali — począł rejent powoli. — Wilczek, ubogi szlachcic nie mający przytułku, został, już temu dawno, przyjęty za leśniczego przez pana Krzysztofa. Dał mu grunt, postawił chatę, obsypał go dobrodziejstwy. Ztąd cała rodzina wielbi go, a córka Wilczków to formalnie słyszę szaleje za nim.

Panie zamilkły obie.

— ·Ale to tam w tém, uchowaj Boże, nic złego nie było i nie ma; dziewczyna, słyszę, bardzo rozsądna i poczciwa, przywiązała się do niego z razu, jak do ojca. Dopiéro, jak mi mówił pan Teodor, teraz po tym strzale postrzegli, że to przywiązanie może w sercu prostego dziewczęcia inny charakter przybrało.

— Jaki inny? cóż to takiego? — zawołała śmiejąc się panna Kornelia — córka leśniczego zakochana w starym kawalerze?

Hrabina ścięła usta i cofnęła się nieco.

— Ale Bóg to tam raczy wiedziéć... albo ja wiem... powtarzam co mi mówił pan Teodor, że dziewczyna od łóżka nie odstępuje i płacze a jęczy, aż ją parę razy matka sfukała i odciągnąć musiała.

Kornelia zwróciła się ku Wandzie z szyderską minką.

— Otóż jak to czasem i wystrzał nieostrożny na coś się przydać może: wyjaśnia tajemnice. Możeby pan Krzysztof nie wiedział o tém przywiązaniu.

Hrabina wtrąciła żywo:

— Dziękuję ci, kochany rejencie, idź-że odpocząć, proszę, dosyć mi, że wiem, iż nie ma niebezpieczeństwa; bardzom panu wdzięczna.

Kornelia dla rozpytania o córkę leśniczego byłaby chętnie wstrzymała rejenta, ale ten cofnął się jak mógł najprędzéj.

Hrabina téż pożegnała natychmiast swą towarzyszkę i cofnęła się do swego pokoju.

Nazajutrz mowy o panu Krzysztofie już nie było, choć Kornelia kilka razy o nim zagadywała; równie téż o córce leśniczego słuchać nie chciała hrabina, okazując widoczny wstręt do téj plotki, która na staréj pannie wielkie robiła wrażenie.

Chociaż znacznie bledsza i jeszcze poważniejsza a bardziéj milcząca, niż zwykle, pani Wanda nie skarżyła się na ból głowy, przegrywała kilka godzin nuty nowe, chodziła po parku, mocno się nim zajmując, wydawała rozkazy będąc nadzwyczaj czynną; — niepokój ducha tém się zdradzał, że na chwilę usiedziéć nie mogła i poruszała się gorączkowo dzień cały. Nikt pilniéj nie mógł nigdy śledzić ruchów ukochanéj osoby, nad pannę Kornelię zajętą odgadnięciem stanu ducha kuzynki, która się jéj zwierzać nie miała zwyczaju.

Nawet w tych chwilach gdy serce gwałtownie wywnętrzyć się potrzebuje, hrabina była panią siebie i słówko za któreby się zadzierzgnąć można, nie wyrwało się z ust jéj nigdy. Kuzynka była tém dotkniętą, uważała to za brak zaufania, choć skarżyć się nie mogła, aby ktoś inny go więcéj posiadał. Hrabina jednaką była dla wszystkich. Myśli swe kryła w sobie, żyła z niemi i trawiła się niemi.

Już tego dnia mniéj znać było po niéj doznane wrażenia, a jedna tylko panna Kornelia mogła ten odcień małego rozgorączkowania w niéj ocenić, który się jeszcze czuć dawał we wszystkich czynnościach. Udawała nawet wesołość chwilami, chociaż śpieszyła z nią, bo by długo w tonie tym wytrwać nie mogła. Osamotnione życie, nawyknienie do obcowania samćj z sobą, nauczyły biedną kobietę tego smutnego zamykania się w sobie, które pan Krzysztof, oddzielając się gwałtem od ludzi, wyrobił mechanicznie, jeśli się tak nazwać godzi.

Drugiego czy trzeciego dnia, jakieś przyobiecane rośliny z ogrodu w Zieleniewszczyznie, służyły za doskonały powód do

napisania grzecznéj karteczki do pana Teodora, w któréj, jakby od niechcenia, wyrażone było życzenie, aby ją kiedy odwiedził. List ten nie zastał Męczyńskiego w domu, gdyż zawsze jeszcze był przy chorym, odesłano mu go dopiero przy zręczności i późno, do czego, nie ręczę, żeby się Liza nie przyczyniła... niechcący.

Upłynęło parę tygodni, Krzysztof miał się znacznie lepiéj. Troskliwość Teodora o jego zdrowie zbliżyła ich znowu do siebie, tak jak byli niegdyś w młodości. Chory, który długo zbywał wszystkich milczeniem, powoli dał się wyciągnąć na rozmowę bratu. Życzył sobie być już przeniesionym do zamku, aby nie ciążyć Wilczkom, ale mu Teodor przedstawiał, że nigdzie tak czule doglądanym być nie może, jak tutaj.

Jednego poobiedzia, gdy się Krzysztof mógł już podnosić i siedział ostawiony poduszkami sam na sam z Teodorem, Męczyński puścił cugle żartobliwości, która go czasem napadała. Nie było nikogo w pobliżu, kobiety widzieli wychodzące do gospodarstwa, Wilczek błądził po lesie.

— Wiész — rzekł Teodor — o mało ci twojego przypadku nie zazdroszczę, wiész dla czego? On ci odkrył naiwne, niekłamane przywiązanie tego prostego dziewczęcia, które na coś więcéj zarywa, niż na uczucie dziecięce, za jakie ty je chcesz brać. Dosia chyba się u kaduka zakochała w tobie. Anibym się dziwił temu. Dziewczyna z głową uczuła wyższość twoją, zresztą...

— Daj temu pokój — przerwał Krzysztof.

— Ale ci winszuję dalipan! — zawołał Teodor — taka miłość leśna i dzika coś jest warta!

— Krzywdzisz i mnie i tę poczciwą Dosię — wtrącił Krzysztof.

— Uchowaj Boże! jakkolwiek wiele złego widziałem na świecie, ani ciebie bym nie posądził o takie Lowelasowstwo, ani ją o zalotność. Cóż chcesz! zrodziło się to mimowolnie na pustyni.

— Stoisz przy swojém! stary zepsuty światem człowiecze—

rzekł poważnie Krzysztof — wy nie jesteście w stanie ani pojąć czystego uczucia, ani w nie uwierzyć, natychmiast posądzacie i czernicie.

— Ale ja uczucie to mam za czyste i najczyściejsze jak łza, jak dyament! — zawołał Teodor — i na twém miejscu...

— Cóżbyś zrobił na mojém miejscu?

— Nie, tego ci nie powiem — rzekł po namyśle Teodor — nazwałbyś mnie obrzydliwym egoistą.

Krzysztof zamilkł, Teodorowi tak łatwo ust zamknąć nie było podobna.

— Dziewczę roztropne, nie jest boginią piękności, lecz świeże i wdzięczne, instynkta niewieście, w każdym ruchu nieszukana gracya... Nieumiałbym się oprzéć pokusie!

— I poświęcił chwilowemu szałowi całą przyszłość poczciwego dziecka, które dowiodło, że ma serce — rzekł Krzysztof.

— No, nie wiem, czyby sumienie zagłuszyło namiętność, czy namiętność sumienie — mówił Teodor — za nic w takich razach ręczyć nie można. Gdyby mnie kochała, jak ciebie.

— Ona mnie kocha, jak ojca.

— Nieprawda — zawołał Męczyński — patrzę na nią ciągle, słyszę ją mówiącą nieopatrznie, spowiadającą się mimowolnie, kocha cię po prostu, jak dziewczę, które nic w życiu szlachetniejszego, idealniejszego nad ciebie nie widziało.

— Niestety! — rzekł Krzysztof — nie mogę temu uwierzyć.

— A gdybyś uwierzył?

Chwila milczenia trwała dość długo, pan Krzysztof westchnął.

— Gdybym uwierzył — rzekł — gdybym wiedział, że mogę jéj dać szczęście... szlachcianka jest, mnie równa, szlachetne ma serce; po odprawie, jaką dostałem od hrabiny Wandy, masz słuszność, mógłbym się z nią ożenić!

Teodor aż się zerwał z krzesła.

— Co ci się dzieje człowiecze?

— Wszystko to są przypuszczenia, dziecko to kochać mnie,

tak jak sądzisz, nie może. Gdyby tak nawet było, miłość byłaby chwilowym obłędem, z którego się korzystać nie godzi... Ja kocham inną i...

Nie dokończył pan Krzysztof, nie odezwał się nic pan Teodor, i dodał dopiéro po chwili:

— Kończy się życie zmarnowane, na coś chciałbym się przydać, gdybym jéj dać mógł szczęście... czemuż nie? Dla siebie się go nie spodziewam, nic do stracenia nie mam.

Pan Teodor, który przez chwilę siedział zamyślony, począł się śmiać.

— A wiész — rzekł — że toby było zakończenie żywota na prawdę wielce oryginalne. Siedziéć w lesie lat kilkanaście i wreszcie ożenić się z córką leśniczego, która krowy doi i chodzi bez trzewików, z kwiatkami leśnemi we włosach.

— Szlachcianka! — wtrącił pan Krzysztof — widziałem papiery; Wilczkowie w Galicyi są hrabiami, ród dobry. Nasze stare prababki gospodarzyły jak ona, nieumiały czytać, ni pisać, ale chwytały i za oręż w potrzebie i umiały wystąpić w atłasach i aksamitach, gdy tego była potrzeba. Myślisz, że to dziewczę w salonie gorzéjby wyglądało od innych wybladłych rówieśniczek?

— Odezwał się w tobie szlachcic! — rozśmiał się pan Teodor.

— Pleć-że co innego, kiedy masz mnie ochotę zabawiać — przerwał Krzysztof.

— Dla ciebie trudno wybrać przedmiot; Paprockiego na pamięć nie umiem, a o Wandzie mówić nie pozwalasz.

— Dla mnie ona nie istnieje — zamknął Krzysztof — dosyć! dosyć.

— Za pozwoleniem, za pozwoleniem — wyrzekł Teodor — mówisz fałsz, sam o tém może nie wiedząc, bo o dobrowolne kłamstwo szlachcica nie posądzam. Chciałbyś, żeby ona dla ciebie nie istniała, ale to samo, iż mi usta zamykasz, przekonywa,

iż o niéj nie zapomniałeś. Parę pytań i zamilknę. Szczerze, *verbum nobile*, jak ci się Wanda wydała?

Krzysztof miał oczy spuszczone.

— Tak uroczo piękna, tak bosko powabna, tak... jedyna w świecie... jak niegdyś... Z dziewczęcia wykwitła na niewiastę... przeszła męczennicą przez ogień próby i nosi aureolę na czole; mieć taki skarb i stracić — zawołał — mieć serce i wyrzec się go i przyjść żebrakiem po latach wielu, prosząc o jałmużnę trochy litości, a być odprawionym ze wzgardą, Teodorze... z tą myślą żyć było trudno, niepodobna!

Pierwszy raz Krzysztof mówił tak otwarcie.

— Ty ją kochasz więc — przerwał Teodor.

— Jak szaleniec stary — cicho mruknął Krzysztof — lituj się nademną.

— A przed chwilą chciałeś się żenić z inną.

— Czyżeś mnie nie zrozumiał — spytał Krzysztof — wiem co złamane serce kosztuje, jam na nic się nie zdał, czemużbym poświęcić siebie nie miał?

— Sofista jesteś! — dodał Teodor — piękne poświęcenie, dziewczę jak malina.

— Nie umiem ci na to odpowiedzieć — surowo odezwał się Krzysztof — trzpiotem byłeś i umrzesz trzpiotem. Żal mi kobiety z którą się ożenisz; bo gdyby była ideałem, jutro będziesz klęczał u kolan jakiéj piętnastoletniéj garderobianéj jéjmości.

— Masz słuszność — odparł Teodor — takim ułomnym Pan Bóg mnie stworzył.

— Nie mów-że nigdy o miłości, bo ją usta twoje profanują— zakończył Krzysztof.

Na tém przerwali rozmowę. Pan Teodor wiele się z niéj nauczył: zajrzał w serce na chwilę otwarte pana Krzysztofa.

— Stary marzyciel — rzekł w duchu — człowiek niepraktyczny, który dobrze zrobił, że się w lesie zamknął, bo na świecie tłukłby się ciągle o mur głową.

Tegoż samego dnia, Paweł, który mało nie codzień przybywał się dowiadywać o zdrowie brata, ale go nie widywał nigdy, aby mu nie być natrętnym i nie obudzać w nim gniewu, przyjechał znowu dla rozmówienia się z Teodorem. Nie mówiąc o tém Krzysztofowi dostarczano od Pawła wszystko, czego mógł chory potrzebować; pani Pawłowa nasyłała więcéj daleko, niż na wykarmienie całego domu najwykwintniejsze wymagać było można. Zwykle poszeptawszy z Teodorem chwilę, Paweł powracał do domu.

Stało się to i teraz. Gdy Męczyński powrócił do chorego po odjeździe brata i znalazł go zasępionym i milczącym, nie mógł wytrzymać.

— Słuchaj, Krzysiu — rzekł — dobry jesteś człowiek, a zły by od ciebie gorszym być nie mógł w niektórych sprawach.

— Naprzykład? — zapytał chory.

— Jak można być tak zawziętym przeciwko rodzonemu bratu?

— Nie rozumiész mnie nigdy — odezwał się Krzysztof — zawzięty nie jestem, ale go znać nie chcę. Na świniach się majątku dorobił, handlarz, przekupień, niechcę go znać, powiadam ci. Wszedł między innych ludzi, niechże mi da pokój.

— W istocie nie rozumiem cię, bo w ten lub inny sposób mało kto świniami lub niewiele szlachetniejszemi przedmiotami nie handluje. Wszyscy mu oddają sprawiedliwość, iż człowiek jest uczciwy, zacny i prawy.

— Niech-że się z nim noszą — przerwał chory — niech będzie jakim chce! Niechciał mnie słuchać, poszedł swoją drogą, poszczęściło mu się, kapcańską krew w drzewo genealogiczne wprowadził.

— Kobieta poczciwa, żona dobra, a matka jakich mało — począł Teodor. — Alboż to szlachta nie żeniła się u nas z chłopkami i z mieszczankami, przecież mężowskie szlachectwo zacie-

rało roturę. Zdaje mi się, iż Pobogowie są dosyć dobrą szlachtą, by się kilku kropel innéj krwi nie obawiali.

— Zapewne — potwierdził Krzysztof — a dlatego między Pawłem, a mną rozbrat wieczny.

Teodor ruszył ramionami.

— Jeszcze raz trzeba powtórzyć, że się nierozumiemy — rzekł cicho. — Ci ludzie dla ciebie mimo twojego dziwactwa są z poszanowaniem i przywiązaniem, na które dalipan nie zasłużyłeś.

— A tak! wiem, Paweł co trzeci, czy co drugi dzień przyjeżdża się dowiadywać czym nie umarł, bo by mu lasy do Pobogowszczyzny się przydały — roześmiał się szydersko pan Krzysztof — nieprawdaż? Ale zjé licha. Zapiszę komukolwiek, byle mu się nie dostały.

Teodor ruszył ramionami.

— I to się nazywa po chrześciańsku, a po szlachecku — wtrącił cicho.

— To się nazywa po ludzku, ale to tak jest, i kwita! — zamknął Krzysztof odwracając się ku ścianie. — Daj mi pokój.

— Słowem, że z tobą rozmowy nie ma żeby się nie skończyła na sporze.

— A no tak, i nie ma co rozmawiać ze mną, sam widzisz; jedź do Zamostowa lub do Zieleniewszczyzny i... baw się, a o mnie zapomnij.

Teodor nie odpowiedział nic, wziął za czapkę i wyszedł w podwórko zasępiony.

W istocie zaczynało mu być tęskno choćby za Zamorskiemi i za panną Kornelią; przychodząc do zdrowia Krzyś odzyskiwał swą opryskliwość i zdziczenie. Teodor chodził jeszcze po podwórku, gdy Dosia się ukazała od ogrodu i uśmiechnęła mu się zdaleka. Szła z koszem na głowie, wyprostowana, gibka, zręczna i przypomniała mu włoskie niewiasty w majestacie swego wdzięku i brudoty, jak królowe z homerowskich pieśni wracające od

studni z miedzianemi cebrzykami... kanefory malownicze. Stanął się jéj napatrzéć; Dosia zbliżyła się poufale ku niemu.

— Widzi pan, jak mi ochoczo i raźnie, gdy nasz pan coraz zdrowszy; znowu życie wstąpiło we mnie.

— Zazdroszczę mu, że go tak panna Wilczkówna kocha — odezwał się Teodor.

— A cóż jemu z tego? — odparło śmiało dziewczę — co mu po tém? na co mu się to zdało. Jemu to wszystko jedno pewnie.

— Nie sądzę.

— I jakżebym ja go nie miała kochać jak ojca, jak dobrego opiekuna, jak jedynego po tatku człowieka, co dla mnie był dobrym. Pan nie wié? Ja, co umiem, od liter począwszy, to mu prawie wszystko winnam!

— Jednakże, radziłbym Dosi — uśmiechnął się Teodor po swojemu żartując — aby kochania trochę zostawiła w zapasie dla przyszłego męża.

Dosia się nieco zarumieniła.

— Męża nie potrzebuję i nie chcę, a pewnie żadnego tak nie kochałabym, jak mojego pana.

— Aj! to coś za wiele dla starego! — rzekł Teodor.

— Wcale nie stary! nie stary! — oburzyło się dziewczę. — Ot wié pan — dodała patrząc mu w oczy — pan chcesz i wydajesz się młodszym od niego, a w moich oczach starszym jesteś.

Dziewczę, chciało powiedziawszy tę niegrzeczność, odejść, gdy Teodor śmiejąc się zatrzymał ją.

— Cóż na to rodzice mówią? — zapytał.

— No, matuś mnie czasem połaje, a ojciec broni. Cóż w tém złego?

— Pewnie nic, bliźniego kochać potrzeba! — śmiał się Teodor.

Dosia spostrzegłszy, że z niéj żartował, nic nie mówiąc trochę gniewna odeszła żwawo do swojéj roboty, rzuciwszy mu tylko na pożegnanie: — Bałamut z pana.

Teodorowi wszystko to razem już dosyć dokuczyło, życie zbyt

było jednostajne; kazał konie zaprzęgać. Stały już gotowe u bramy, gdy wszedł Krzysztofa pożegnać, który leżał odwrócony ku ścianie.

— Krzysiu, serce — rzekł — już ja cię nudzić zaczynam, kłócim się codzień więcéj, miarkuję, że czas jechać. Ty mnie nie potrzebujesz, bywaj mi zdrów.

Krzysztof milcząco rękę wyciągnął.

— Bóg zapłać za okazane mi dobre serce, Teodorze, jedź, spocznij, nie frasuj się o mnie, zapomnijcie o starym, jakby go na świecie nie było.

Pożegnali się tak dosyć chłodno.

W drodze Męczyński rozmyślał dokąd ma jechać, i zwrócił się do Zieleniewszczyzny. Tu dosyć byli wszyscy niespokojni o niego, Zamorski bał się, aby obcując z drugimi z pod jego władzy się nie wyśliznął, Liza chodziła niespokojna. Chociaż późny już był wieczór, gdy zajechał przed ganek, w kilka minut dzierżawca się przystawił, zapraszając od żony na gotowiuteńką wieczerzę. Trudno się było oprzéć, pan Teodor poszedł.

Liza coś robiła w dziedzińcu, tak, że się pierwsza z nim spotkała.

— Pan tak o nas zapomniał? — szepnęła.

— Bynajmniéj, alem miał obowiązek do pełnienia.

— Jakże się ma chory?

— Przychodzi do zdrowia.

— Proszę pana, czyż to prawda, noszą się z tém po całém sąsiedztwie, ale ja o tém mówić nie powinnam.

Spuściła oczy skromnie i podniosła je nagle, jak dwiema kulami strzelając w samą pierś nieszczęśliwego Teodora.

— O czém, pani?

— Że pan Krzysztof chciał się zastrzelić z miłości.

— Tak jest, pani, z miłości ku cietrzewiom — rzekł poważnie Teodor — to rzecz niezawodna.

Liza zaczęła się śmiać, zalotną układając minkę i postać.

— Proszęż pani — dołożył po chwili — czy człowiek w tym wieku, jak on i ja może się tak kochać, ażeby...

— Dla czego? dla czego? — żywo przerwała Liza — pan nie jesteś wcale stary, pan się tylko przez lenistwo nie kochasz.

Teodor tak był uszczęśliwiony tym konceptem, że poskoczył ją pochwycić za rączkę, którą niby wyrywała i ucałował ją z zapałem. W téj właśnie chwili pani Zamorska wychodziła na ganek, ale, jako troskliwa matka, postrzegłszy tę scenę ożywioną, cofnęła się żywo w głąb' domu, aby córce nie przeszkadzać.

Teodor i ona śmieli się do rozpuku, to był znak rozpoczynającéj się poufałości. Śmiejąc się oboje powoli weszli na folwark.

Wieczór zszedł jak najweseléj. Teodor dopiéro powróciwszy do dworu dowiedział się tam, że przysyłano z Zamostowa po kwiaty, że był list od hrabiny, że miano go wyprawić do Wilczków, ale się gdzieś musiał zaplątać, bo ani Męczyński go nie odebrał, ani można dojść było, co się z nim stało.

Chociaż noc już była, rozesłano natychmiast sługi po całym dworze, śledzić i szukać tego listu, do którego, zapomniawszy już o Lizie, pan Teodor największą zdawał się przywiązywać wagę. Chodził po pokoju niespokojny, gdy nareszcie kartkę ową pomiętą i bodaj odklejoną, przyniesiono tłómacząc, że chłopak stajenny w kieszeń ją wrzuciwszy, zapomniał o niéj.

Zobaczywszy datę na kartce hrabiny, biedny pan Teodor aż się pochwycił za głowę. Gdyby nie noc byłby natychmiast ruszył do Zamostowa tłómaczyć się i uniewinniać, iż nieprzyjechał jednéj godziny, i na list nie odpowiedział. Zburczał wszystkich, którzy mu się nawinęli, mowa była o przykładném ukaraniu masztalarza, ale go ocalono, bo w istocie ktoś inny więcéj był winien. Noc spędził niespokojną stary kawaler, ranek wydał mu się niezmiernie długi, w ostatku nie mogąc dłużéj ścierpiéć wyczekiwania przyzwoitszéj godziny, ruszył do Zamostowa przed obiadem. Panna Kornelia stała właśnie w ganku.

— Słyszanaż to i widziana rzecz — zawołała — taka nie-

grzeczność, jak pańska; hrabina pisze i zaprasza go, pan ani odpowiadasz, ani przybyć raczysz.

— Pani! ale mam stu świadków, żem list dopiéro wczoraj odebrał w nocy!

— To pańska wina, żeś go nie dostał wprzódy, zawsze wina pańska, masz pan złe sługi.

— Ale....

— Nie ma żadnego ale.

Weszli tak do salonu, w którym zastali hrabinę. Na pierwszy rzut oka postrzegł Teodor, że bardzo przez czas, jak ją nie widział zbladła i zmizerniała; twarz jednak uczyniła wesołą, wzięła uśmiech na usta; widocznie usiłowała niepokazać po sobie tego, co czuła.

— Panna Kornelia słusznie mnie w progu zburczała — rzekł Męczyński witając się — za niesłychaną niegrzeczność; ale ja listu nieodebrałem. Pani, klnę się...

— Dajże pan pokój, miałeś daleko ważniejsze obowiązki do spełnienia.

Teodor westchnął.

— I tych bardzo nieudolnie dopełniając — rzekł — zmęczyłem się na śmierć.

— Wszakże niebezpieczeństwa nie ma.

— Tak dalece wrócił do zdrowia kochany brat — wtrącił Teodor — żeśmy się po dziesięć razy na dzień już kłócili, i w końcu mnie precz wyprawił.

Zamilkli trochę.

— Cóż to za dziwny przypadek! — dodała hrabina.

Pan Teodor spojrzał na nią, zarumieniła się mocno.

— Tak, to był bardzo dziwny wypadek! — potwierdził spuszczając oczy — szczęściem, że się to tak dobrze skończyło.

— Słyszałam, że bardzo szczęśliwie — szepnęła hrabina — bo nawet podobno wypadek ten odsłonił jakieś dziewicze zranione serce.

Uśmiechnęła się ironicznie.

— Jakto? i o tém pani już wié?

— My o wszystkiém wiemy — wtrąciła panna Kornelia.

— Muszę jednak sprostować tę wiadomość, jako świadek naoczny, jako człowiek sumienny — mówił Męczyński — dziewicze serce jest sercem dziecięcem. Panna Wilczkówna wyrosła w oczach pana Krzysztofa, który się podobno jéj wychowaniem zajmował.

— Ale to dziecięce przywiązanie ma być tak uderzające, tak dziwne, gwałtowne.

— Jak każde uczucie w sercu, co się hamować nie nawykło — odparł Teodor.

— Rzecz bardzo zajmująca! — przemówiła hrabina.

— Opisz nam pan, jak dziewczę wygląda — wtrąciła natarczywie panna Kornelia.

— To trudno — śmiejąc się rzekł Teodor. — Panna Wilczkówna zupełnie jest podobną do dziewcząt, które na folwarku krowy doją: jest świeża i zdrowa. Jednak jéj to przyznać muszę, że ma wiele wdzięku, ładne ręce i nóżki, złocistą kosę i blado-niebieskie oczy bardzo rozumne.

— I pan ją z zapałem maluje! — rzekła z przekąsem panna Kornelia.

— Chociaż tego rodzaju piękności — *du diable*, nie lubię — poprawił się Teodor — dla mnie dystyngwowana brzydkość ma więcéj uroku.

— A więc nie desperuję, że i ja się panu nabrawszy dystynkcyi podobać będę mogła — zażartowała panna Kornelia.

Pan Teodor się skłonił.

Żartobliwy obrót rozmowy zdawał się nie podobać hrabini, która zwróciwszy głowę patrzała w okno.

— Mów pan jakże tam było, wszystko, wszystko — nalegała panna Kornelia.

— Dajże panu Teodorowi choć spocząć — odezwała się hrabina.

Teodor był oczarowany Wandą, przyjęciem i towarzystwem właściwém, którego dawno nie miał, bo na folwarku panny, choć ładne i utalentowane, zawsze mu się trochę parafiańsko wydawały. Tu był w swoim żywiole, pewien, że żadne słówko jego nie przejdzie niepodniesione, nie ocenione.

Powoli wygadywał się z różnemi szczegółami i spostrzeżeniami i czas zbiegł aż do obiadu bardzo szybko. Panna Kornelia, aby domowi nie uczynić wstydu, wystąpiła paradnie. W Zamostowie zresztą kuchnia i piwnica jeszcze od czasów hrabiego były bardzo wykwintne. Nic nadto przyjemniejszém być nie mogło panu Teodorowi, który wielką wagę do gastronomicznych wykwintów przykładał. Szczególniéj wina mu się podobały, a zdradliwa panna Kornelia, zajętemu rozmową, nieomieszkała nalewać sama i kazać ciągle dolewać kamerdynerowi. Wpadł więc pan Teodor w to błogie usposobienie, jakie daje dobrze rozgospodarowane win wyszukanych następstwo logiczne, na pewnych doświadczeniem zdobytych prawidłach oparte. Nie zabrakło ani szampańskiego *carte blanche* przy pieczystem, ani starego węgrzyna przy deserze. Hrabina wydawała mu się teraz piękniejszą niż kiedykolwiek, idealną, uroczą, niezrównaną.

Zapomniał się trochę i paplał nabierając dowcipu. Czarna kawa i wyborne Curaçao wprawiły go w jeszcze lepsze usposobienie. Mówił i spowiadał się ze wszystkiego. Składało się tak jakoś dziwnie, iż pytania krążyły ciągle około pana Krzysztofa.

Pan Teodor powtarzał niektóre rozmowy z nim. Zapomniał tylko tego ustępu o hrabinéj, któryby rumieńcem mógł okryć jéj lice. Za to o Dosi wypowiedział tak dalece wszystko, iż zdradził nawet to usposobienie Krzysztofa do ewentualnego ożenienia, w które sam nie wierzył, mając je za dziwactwo. Hrabina posłyszawszy to spuściła oczy i żywo dodała zaraz:

— Ale powinien się z nią ożenić i uczynić ją szczęśliwą i sam być szczęśliwym. Toby było prawdziwie romantycznie, i budująco, i oryginalnie. Nieprawdaż?

— Ja go na to namawiać nie będę — rzekł Teodor poważniéj — onaby była szczęśliwą może, ale on....

— Dlaczegoż nie? Stworzonym jest właśnie do tego świata pół dzikiego, pół dziecięcego, bo sam jest trochę dziki i trochę dziecinny.

Ostatnie słowa domówione były cicho. Jakby chcąc zatrzéć wrażenie po nich, hrabina zwróciła rozmowę, wyprowadziła pana Teodora do ogrodu, aby mu pokazać jego piękności, poczęła mu opowiadać, jak ją park, kwiaty i drzewa zajmują, wreszcie... stała się tak miłą, tak niemal wesołą, iż pan Teodor oszalał.

Było to bardzo widoczne, bo stary kawaler nie taił się wcale z uwielbieniem, a panna Kornelia trochę go prześmiewając podnosiła i akcentowała każde jego słowo, mimo to hrabina wcale się nie zdawała ani nudzić tém, ani obrażać. Odjeżdżającego wstrzymała do herbaty, była w wybornym humorze i nad wieczór odjeżdżając pan Teodor, gdy siadł do koczyka, a począł rozbierać wszystkie szczegóły pobytu swojego i rozmowy, przyszedł do tego przekonania, iż — uparcie, a umiejętnie starając się o hrabinę Wandę, — będzie ją mógł pozyskać sobie.

— Ona sama dziś tego nie przypuszcza — mówił w duchu — oburzyłaby się może na tę myśl, lecz uparta miłość, pokora, staranie, cierpliwość, czas, trochę kadzidła a wiele zapału i admiracyi!

Przeszedłszy w życiu różne koleje, pan Teodor, który tyle razy był zawiedzionym, pomimo to we własnych oczach uchodził za niepospolitego *mangeur des coeurs*, za Don Juana. Wprawdzie wszystkie jego doświadczenia odbyły się *in anima vili* żadna z tych kobiet, których wspomnienia nosił nie w sercu, ale w głowie, nie była wartą stanąć ani w przedpokoju hrabiny Wandy; — lecz natura ludzka — mówił sobie stary kawaler — we

wszystkich jest jednaką. Trzeba tylko stałości i umiejętności!— Prawie pewnym był swego.

W tych marzeniach ani się spostrzegł, gdy go Zamorski przed bramą, wracający z pola powitał i obyczajem powszednim pociągnąć chciał do siebie.

Męczyński był nadto w dobrym humorze, by mu odmówić. Uściskał go nawet daleko poufaléj i serdeczniéj niż kiedykolwiek, konie porzucił i wziąwszy pod rękę poszedł na folwark z nim razem. Lizę znaleźli tym razem rozbijającą nieszczęśliwy fortepian Bösendorfera.

Spostrzegła ona zdala idącego z ojcem pana Teodora i udawała, że gra zapamiętale. Ręce jéj drżały, omyłek było mnóstwo, ale Lisztowska kompozycya wychodziła świetnie i huczno. — Niepodobna, aby stary kawaler nie był zachwycony takim talentem — myślała Liza.

Tymczasem Teodor nigdy pono do muzyki nie miał zbytniego nabożeństwa, brakło mu do niéj zmysłu. Dziwił się, że ludzie grać mogą, ale w tém nie smakował. Stanąwszy jednak tuż przy fortepianie, gdy panna udała przestraszoną niezmiernie, poklasnął przez grzeczność niezrozumiałéj burzy tonów.

— A! tak mnie pan przestraszył! — zawołała Liza odrzucając włosy na tył głowy — ja gdy gram zapominam o całym świecie... marzę... marzę, śnię, unoszę się w obłoki... za światy.

Złożyła ręce i zwiesiła główkę, była bardzo ładną. Na świeże policzki wystąpił kwiecisty rumieniec; loki rozrzucone odsłaniały uszko maleńkie stworzone do szeptów i do całowania.

Pan Teodor wpatrywał się z zachwyceniem już zapomniawszy nieco o hrabinie. Misia, stojąca daléj przy fortepianie, mierzyła go oczyma ironicznemi, nie widział jéj. Ojciec odszedł; zawsze się tak jakoś składało, że ich zostawiano sam na sam.

Liza wstała skacząc od fortepianu i poczęła prześladować pana Teodora hrabiną. To mu nieco humor popsuło. Uczuł się

zmęczonym, szczęściem na odsiecz córce przybyli rodzice i przedmiot rozmowy się zmienił, a gość odzyskał wesołość.

Przy wieczerzy podano węgrzyna; parę kieliszków wypiwszy Teodor uczuł się znowu rzeźwiejszym. Lizę miał obok siebie i niewiedziéć zkąd i jak, naprzód się zaczęło o francuzkich romansach, potém o uczuciach, o mężczyznach, o kobietach. Wstali od stołu, a Liza nieznacznie przechadzając się po pokoju, pociągnęła z sobą pana dziedzica. Poufałéj rozmowie dodawało smaku wyborne cygaro, które u Zamorskich palić było wolno, a pannom ono nie szkodziło, pan Teodor się rozgadał! Liza po raz pierwszy okazała taką erudycyą uczuciową, tak wytrawny sąd, iż Męczyński zdumiony był i przerażony.

Było to rachubą, obawiała się, aby ją nie brał za dziecko, wolała być posądzoną o zbytnią dojrzałość; instynkt ją uczył, że to się staremu kawalerowi rychléj może podobać. Dowiadywała się bardzo starannie ile razy w życiu i w kim się pan Teodor kochał, wreszcie stała się tak niedyskretną, iż rzuciła mu pytanie, dlaczego się nie żeni?

Pan Męczyński nie tail się z tém, że gotówby raz na tém skończyć, trudność była w wyborze, gdyż... wszystkie kobiety wielbił i wszystkie gotów był kochać.

— Jakto, i mnie? — zapytała Liza.

— Toby było najłatwiejszém — rzekł śmiejąc się Teodor — ale najnieszczęśliwszém. I od tego niech mnie Pan Bóg broni.

— A to pięknie! dlaczegoż?

— Bo pani jesteś młodziuchną... i ja się jéj godnym nie czuję.

— A w dodatku jestem zazdrosną straszliwie i niepozwoliłabym panu ani spojrzéć na inną, ani jeździć do hrabiny, ani...

Wszystko to w śmiech obrócono, ale niektóre słowa i towarzyszące im wejrzenia, utkwiły w panu Teodorze.

— Ha! — rzekł wracając do starego dworu — dziewczyna możeby i doprawdy gotowa pójść za mnie?

Zamyślił się. — A hrabina? — począł dumać. — Tu możeby przyszło łatwiéj z istotą niedoświadczoną i naiwną, ale następstwa. Rachujmy. Lat ośmnaście, za dziesięć ona w kwiecie młodości, a ja suwam nogami. To fatalne. Hrabina by stanęła razem ze mną... kombinacya nieskończenie bezpieczniejsza... Dystynkcyi więcéj w jednéj, w drugiéj życia i uczucia. Ale to wszystko gruszki na wierzbie — dokończył wzdychając — i jedna i druga drwią może ze mnie.

Po długich rozmysłach, pan Teodor uczuł się sam po troszę śmiesznym, splunął gniewliwie i zabierał się do snu, gdy w przedpokoju chrypliwe kaszlanie i suwanie nogami oznajmiło mu człowieka, który miał szczególny talent przyprowadzania go do niecierpliwości.

Był-to stary Olszak, ów sługa niegdy ojcowski zostawiony na straży dworu, który tak pięknie tu gospodarzył. Od kilku dni dobijał on się widzenia z paniczem, aby pogdérać na niego i dopiéro teraz potrafił się do niego dostać.

Pan Teodor chciałby się był schować lub uciec od niego, lecz nawet oknem już było zapóźno.

Wtaczał się właśnie na próg ogromny ów drab w berlaczach szerokich na nogach, pochylony nieco, o jednym kiju i kuli pod pachą, w odartym surducie, z szyją obwiązaną chustą wełnianą, po nad którą sterczała trzęsąca się głowa ogromna, mało co włosów mająca, z twarzą czerwoną, oczyma wypukłemi i wargą dolną obwisłą. Broda od tygodnia niegolona dodawała mu brzydoty poczwarnéj, powiększonéj zmarszczkami, które przecinały policzki i czoło, jakby siecią dziwnie poplecioną. Stanąwszy w progu Olszak odchrząknął mocno, plunął i odezwał się dawnym zwyczajem:

— Niech będzie pochwalony...

— Na wieki... — odparł niecierpliwie Teodor — ale, że téż o téj porze przychodzisz, wszak to noc.

— A kiedy we dnie panicza nigdy w domu nie ma — ochrypłym głosem począł stary — przecież się kiedyś rozmówić potrzeba o tém, co się tu dzieje. Człowiekowi na to patrząc serce się kraję.

— Cóż się takiego stało?

— Albo to panicz ślepy, czy co? — zawołał Olszak — dzierżawca, żonka jego i córeczki opętały panicza i prowadzą do zguby, a człowiek na to ma patrzéć i milczéć. Opamiętaj-że się człowiecze, że to wszystko szalbierze, że cię chcą oplątać! na miłego Boga! Gdyby nieboszczyk jegomość z grobu wstał, umarłby drugi raz zobaczywszy, co się tu dzieje.

Na tę apostrofę, pan Teodor, który dozwalał staremu pleść co mu się podobało, nie znalazł odpowiedzi, ruszył ramionami.

— Wy sobie nie ważycie moich słów, ja wiem — mówił Olszak — myślicie, co ten stary opój tam plecie. A no tak, opój; z desperacyi trzeba było się choć rozpić! alem rozumu nie stracił. A toć do zguby idziecie.

— Do jakiéj? — spytał Teodor cierpliwie.

— Co ja mam w bawełnę obwijać, mnie zgubiło próżniactwo i was zgubi. Co panicz robi? co myśli? hę? a czemu nie odebrać gospodarstwa na siebie i nie pracować? Toż dzierżawca wkrótce wszystko zabierze. Było się ożenić zawczasu, a nie teraz ganiać wiatru w polu, gdy już Pan Bóg łysinę dał, a pedogry tylko co nie widać.

Zamilkł chwilę.

— Ale ta młodzież wszystka taka. Albo i pan Krzysztof co lepszego? udawał pustelnika, żeby po pięćdziesięciu latach jeździć w konkury, a to wszystko z tego próżniactwa.

Stuknął kijem stary i mocno kaszlać począł, pan Teodor cygaro zapalił, sparł się tyłem o biórko i słuchał.

— No, cóż daléj? — spytał — czyś się już wygadał?

— Dopiérom zaczął — odezwał się stary — jest do gadania wiele. W starych piecach djabeł pali, co z tego będzie? niechże mi panicz powié, co z tego będzie?

— Z czego?

— A z tych konkurów i lataniny?

— Mój Olszak, niezapominaj, żem ja stary téż, jak sam mówisz.

— Ale ja starszy jeszcze. Co tu w bawełnę obwijać (lubił to powtarzać Olszak), dzierżawca wam córunię podsadza, wy się durzycie hrabiną, pan Krzysztof téż; sami nie wiecie czego się wam zachciewa... a dalipan... przez próżniactwo.

Roześmiał się Teodor z przymusem.

— Jakaż na to rada? — spytał.

— Odebrać gospodarstwo na siebie, dzierżawcę furfanta z córeczkami razem wypędzić, a rozum miéć i w romanse się nie wdawać, kiedy czas nie po temu. W porę się było ożenić, no, — bodaj i dziś, ale ani z tą fertyczną Zamorską, ani z hrabiną.

— Chybabyś mnie wyswatał — szydersko dodał Teodor — ale tymczasem idź spać, to będzie lepiéj.

— O no to tak się zawsze kończy — mruknął Olszak — idź spać stary, a słowa, jak groch o ścianę.

Pogładził się po nieogolonéj brodzie, popatrzał na panicza spokojnie palącego cygaro i westchnął całą piersią.

— Moje oczy na to patrzéć nie będą, ale wy poginiecie. Cóż robić, kto się sam ratować nie chce, tego i Pan Bóg nawet poratować nie może, co dopiéro stary opój, jak ja.

Teodor nie odpowiadał, był to jeden najlepszy sposób pozbycia się nudziarza, który, wedle zwyczaju, skończył dziękując za służbę i odszedł mrucząc.

— A jednak — rzekł w duchu Teodor, gdy się za nim drzwi zamknęły — ten człowiek co nie ma rozumu dla siebie, miał go dla mnie. Któż wié, czy nie słusznie mi wyrzucał pró-

żnowanie? O Zamorskich tylko niesłusznie sądzi tak surowo, bo ich nie cierpi; Liza jest czarodziejką.

Stary kawaler na przemiany marząc o Lizie i o hrabinie, położył się wreszcie, a we snach wróciły obie postacie nie dając mu spoczynku.

Dramat, który się odegrywał między kilkoma osobami naszéj powieści, cały był w ich piersi i wnętrzu, nic z niego nie wychodziło na zewnątrz. Hrabina cierpiała i przemagała się, aby okazać chłodną i niezmienioną, Krzysztof roznamiętniony był, a wracał do dawnego życia, jakby nie stał na progu śmierci z niesmaku do niego. Dosia gospodarowała z sercem rozkołysaném, Liza piorunowemi gromy przebiegała fortepian, Zamorski zajęty był wrzekomo gospodarstwem i niewinny jak baranek, a pan Teodor błąkał się z myślami nie wiedząc co ma uczynić z sobą.

W młodości, w jakimkolwiek człowiek idzie kierunku, sprężyna ta, którą jest wola, pędzi go silniéj, dobiega celu prędzéj, lub omyliwszy się na nim cofa. Uczucia i namiętności prędzéj się rozwijają. W wieku późniejszym, człowiek doświadczeniem onieśmielony, stawi kroki ostrożnie, często nie wie gdzie iść, porusza się i cofa, przedłuża drogę, nieufa sobie, boi się losu.

W takiém położeniu były wszystkie niemal główniejsze osoby powieści naszéj, a skutkiem przeciągnionéj niepewności, która nuży człowieka, jest prawie zawsze krok nierozważny i popędliwy, którego celem pozbyć się dręczącego oczekiwania jutra i obawy gorszéj od nieszczęścia samego.

Pan Teodor wstał nazajutrz zmęczony, rozdrażniony z mocném postanowieniem stałego zajęcia się własnym losem i uczynienia stanowczego kroku. Dał sobie tylko jeden dzień do namysłu i — pojechał do chaty Wilczków, nie dobrze wiedząc po co tam wracał tak prędko. Chciał się radzić Krzysztofa, choćby się z nim miał pokłócić. Rozmowa z nim poddawała mu myśli i wlewała odwagę. Ruszył więc rano i stanął u chaty Wilczków przed południem. Pana Krzysztofa po raz pierwszy wypro-

wadzono na podwórko w cień, ustawiwszy mu krzesło i poduszki. Dosia stała przy nim śmiejąc się i szczebiocząc wesoło.

Na widok pana Teodora, skłoniwszy mu się zdaleka, pobiegła do dworku. Bracia się powitali dosyć uprzejmie.

— Chociażeś mnie wczoraj wypędził, widzisz, żem lepszy od ciebie, bo wracam bez gniewu, dowiedzieć się o twoje zdrowie. Jak ci jest?

— Dużo mi lepiéj — rzekł Krzysztof — spokojniejszy jestem, powracam do zameczku; za kilka dni felczer mi obiecał, że i chodzić będę mógł.

— Wyśmienicie — odezwał się Teodor.

— Wszystkiemu wy jesteście winni — kończył Krzysztof obejrzawszy się — byłbym spokojnie dobił się do końca pogrzebawszy wspomnienia i nadzieje. Wyciągnęliście mnie, podrażnili... i trudno dziś powrócić do dawnego stanu.

Westchnął.

— Mam niezmienne postanowienie, inaczéj się upartéj, a głupiéj staréj miłości dla téj kobiety nie pozbędę, tylko — tu się zaciął — chyba się żeniąc.

Teodor cofnął się o krok.

— Jakto? seryo?

— Ożenię się z Dosią, wiem, że istotnie do mnie przywiązana i nieszczęśliwą ze mną nie będzie. Moje ubóstwo stanie jéj za dostatek. Dziewczę niezepsute, dziéj się wola Boża! Lekarstwo jest heroiczne, zabije mnie lub — uzdrowi.

— Jeszcze się raz ciebie pytam: myślisz to uczynić w istocie? — zawołał Teodor — mówiłeś jéj o tém?

— Jeszcze nie — rzekł Krzysztof — badam ją, i nie powiem aż w ostatniéj chwili; lecz co do mnie, mam najmocniejsze postanowienie. Gdy raz zapora niezłomna stanie między mną a nią — ta nieszczęsna passya ustąpi.

— Rozumowanie osobliwsze, lekarstwo także — roześmiał się Teodor. — Wprawdzie ja, który sobie najgorzéj radzę, tobie

żadnéj rady dawać nie mam prawa, ale człowiek zawsze jaśniéj widzi cudze niż swoje sprawy. Na twojém miejscu, przynajmniéjbym spróbował serce Wandy odzyskać.

— Dała mi odprawę — rzekł ponuro Krzysztof — szlachcic jestem, poniżać się nie mogę... prosić nie będę.

Męczyński śmiać się zaczął okrutnie.

— W miejscu bardzo przypomniałeś sobie butę szlachecką. Przed kobietą się ukorzyć nie bezcześci nikogo.

— Dała mi odprawę — powtórzył sucho Krzysztof.

Nie było już sposobu mówić dłużéj, nadeszła Wilczkowa z córką dowiadywać się, czy choremu czego nie potrzeba; zamilkli więc. Wiatr, który się zerwał koło południa, zmusił Krzysztofa schronić się do dworku, Teodor pokręciwszy się po godzinnym pobycie już się tu czuł znowu znudzonym i niepotrzebnym. Pożegnał brata i odjechał. W drodze przyszła mu myśl zawrócić do Zamostowa.

— Będę natrętnym — rzekł — niech mnie odprawi, kiedy chce, naówczas rozwiąże się raz wątpliwość, pomyślę o czém inném. Krzyś myśli się żenić z Dosią, dlaczegóżbym ja nie mógł tentować o Lizę. Jeśli mi da odkosza?

W tych myślach przybył do Zamostowa. Lękał się tym razem chłodniejszego przyjęcia, ale się omylił; hrabina wyszła zaraz naprzeciw niego, z uprzejmością wielką dziękując mu za pamięć.

— Jakże się ma chory? — zapytała po kilku słowach.

— Wcale dobrze, przenosi się nawet podobno do zameczku.

— A to bardzo szczęśliwie dla mnie. Winnam mu wizytę, niechcę, ażeby mnie o złą wolę dla siebie posądził. Niech mu pan nie mówi nic, ale jak tylko wróci, ja go tam odwiedzę.

Teodor spojrzał zdziwiony.

— Pani nie żartuje?

— A! nic a nic, owszem, mam to niezmienne postanowienie.

Posmutniał nieco gość, siadł zamyślony, a panna Kornelia

zaczęła go prześladować pannami Zamorskiemi, choć nie wiedziała wcale o blizkich z niemi stosunkach. Pan Teodor wypierał się jak najmocniéj, ale mu to humor popsuło, czuł się odgadniętym; wstydził się swego bałamuctwa.

Obiad był tak paradny, jak pierwszy, i wpływ jego okazał się wielce zbawiennym. Gospodyni choć smutna, dnia tego więcéj była mówiącą i wspomnienia podróży obojga stały się przedmiotem zajmującéj rozmowy. Panna Kornelia złośliwie dosyć naprowadzała Teodora na gastronomiczne wspomnienia włoskich ryb i owoców, na ocenianie napojów, jak gdyby w oczach hrabiny chciała śmieszność starego kawalera uwydatnić. Okazało się w istocie, że lepiéj znał hotele Florencyi niż galerye, i gatunki ostryg okolic Neapolu, niż Real Museo. Wanda nieznacznie się uśmiechała. Teodor coraz potężniéj czuł się w niéj rozkochanym.

Po kawie czarnéj wyszli do parku. Pod wrażeniem dni ostatnich Męczyński postanowił uczynić krok stanowczy. Zdawało mu się, że pod sekretem, zwierzając hrabinie, iż Krzysztof chce się z Dosią ożenić, wyjaśni tém położenie i ułatwi sobie samemu staranie o rękę pięknéj wdowy.

Był jednak człowiekiem nadto sumiennym i kochał Krzysia tak, że nie mógł uczynić zwierzenia, nie odsłaniając powodów, które skłaniały go do tego kroku. Właśnie hrabina napomknęła coś o panu Krzysztofie, chcąc się dobrze o drogę do zamku dowiedziéć, gdy Teodor jéj przerwał.

— Pani hrabina szczerości mi nie weźmie za złe?

— Nigdy, byle to była szczera szczerość.

— Mam wiele wad — odezwał się Teodor — ale dobrowolnie nigdy nie kłamię.

— Mów-że pan co chcesz i nie lękaj się wcale, ja się za prawdę nie gniewam nigdy.

— Jabym pani do zamku jechać i Krzysia odwiedzać nie radził.

— Dlaczego?

Pan Teodor był po obiedzie mocno ożywiony poprzednią rozmową, w usposobieniu do otwartości wielkiéj.

— Pani — rzekł — pan Krzysztof do reszty głowę stracić gotów zobaczywszy ją. — On się kocha tak szalenie jak niegdyś, to co mi mówił, świeżo dowodzi, że miłość jego...

Hrabina spuściła oczy. Teodor zamilkł na chwilę i nastraszył się własnego zuchwalstwa.

— Może pani wierzyć lub nie, gotowem jego własne powtórzyć jéj słowa, aby tę podróż odradzić. Wbiły się one w pamięć. Mówiliśmy o pani. „Nie zmieniła się nic — zawołał — uroczo piękna, bosko poważna, jedyna w świecie, z dziewczęcia wykwitła tylko na niewiastę, przeszła męczennicą przez ogień próby i nosi aureolę na czole.“

— Przestań-że pan, dosyć tego — przerwała hrabina z rodzajem gniewu — ja tego słuchać niechcę, to mi przykrość robi.

— Nie, już mi pani pozwól dokończyć — rzekł Teodor — nie ulega wątpliwości, że po odwiedzinach w Zamostowie, do których ja go namówiłem, czego sobie darować nie mogę, z rozpaczy chciał sobie odebrać życie.

— To być nie może — zaklinam pana — zawołała zmięszana hrabina — nie dręcz mnie.

— Milczę więc — rzekł Teodor kłaniając się — ale innego coś dopowiem. Do tego stopnia oszalał i czuje, że żyć nie potrafi z tą miłością, iż w najtrywialniejszy sposób chce ją zabić w sobie.

Hrabina nie rozumiejąc podniosła oczy, które zdawały się łzami zaszłe.

— Chce się ożenić z córką leśniczego, sam mi to mówił.

Uśmiech dziwny skrzywił usta hrabiny, nie odpowiedziała nic.

— Są rzeczy, których nie mogę zrozumiéć i wolałabym nie słyszéć — odezwała się z powagą — nie mówmy o tém, proszę pana.

Teodor napróżno chciał się dobadać z twarzy, z mowy hrabiny, jakie to zwierzenie mogło wrażenie uczynić na niéj. Twarz powlekła się posępnym jakimś wyrazem, tajemniczym, czoło zmarszczyło, była wzruszoną, lecz litość czuła, czy oburzenie, tego odgadnąć nie umiał. Zmieniła natychmiast rozmowę, wstała z ławki na której usiedli na chwilę i skierowała się ku pałacykowi, na którego ganku widać było stojącą pannę Kornelię.

— Pani — rzekł po przestanku długim Teodor — tyle już niedorzeczności popełniłem dzisiaj, że jedną więcéj, nie potępi mnie. Zuchwałe rzucę pytanie, ale od niego los mój zależy. Mówiłem o Krzysztofie, powiem o sobie. Stan jego serca jest moim.

— W kimże się pan kocha? — zimno zapytała hrabina zwracając nań oczy.

— Pani mnie nie zrozumiała?

Wanda popatrzała nań długo, pytająco, z wyrazem nielitościwego politowania.

— Cóż to ma znaczyć? — spytała — czyżbyś pan chciał mi uczynić ten zaszczyt i pomyślał — o mnie!

— Sposób, w jaki mnie pani pyta, już mi usta zamyka.

— Nie miéj mi pan za złe — dokończyła hrabina — cenię pana, szacuję, chcę byś mi zachował swą przyjaźń, alem postanowiła nie iść za mąż. Znasz pan życie moje, przebolałam wiele. Mówiłam to panu Krzysztofowi, nadewszystko cenię swobodę moją, spokój i ciszę.

— Lecz ani swobody, ani ciszy nie potrzebowałabyś pani poświęcić — zawołał Teodor — owszem stałbym na straży tych skarbów.

Uśmiechnęła się Wanda, podając mu rękę uprzejmie.

— Panie Teodorze — rzekła — to nie może być...

— Pani mnie do rozpaczy przyprowadza...

Szydersko nieco spojrzała hrabina przelotnie, a że już byli blizko ganku, dodała głośno:

— Nie mówmy o tém — jutro lub pojutrze przyjedź pan na obiad i przywieź mi te książki, ale proszę, bardzo proszę nie zapomnieć. Będziemy nań z obiadem do trzeciéj czekały. A gdy pan Krzysztof przeniesie się do zameczku, zapraszam go na przewodnika w odwiedziny razem.

Panna Kornelia usłyszawszy to z ganku, w ręce uderzyła z radości.

— Złota moja hrabino! — co za myśl cudowna. Jeśli nas nie wypędzi od progu, splądruję mu wszystkie kąty. Tak jestem ciekawa! tak okrutnie ciekawa.

Zaczęła się śmiać, biedny Męczyński szedł posępny, kłaniając się tylko i czując się w tak niewygodném położeniu, iż rad był uciec co prędzéj. Nie puszczono go jednak; hrabina kazała mu pozostać na herbatę, nie mógł okazując gniewu i dąsając się, odmówić. Wielkiego znawcę serca ludzkiego, za jakiego się miał pan Teodor, to tylko pocieszało, że piękna pani wcale się nie pogniewała za jego oświadczenie, że była dlań prawie więcéj jeszcze uprzejmą niż przedtém, że jéj to nawet niepopsuło humoru.

— Zwyczajnie kobieta — rzekł w duchu stary kawaler — nie mogła mnie przyjąć tak od razu, na to potrzeba czasu. Zbyła mnie ogólnikiem, iż za mąż iść nie chce, każda z nich to mówi, a wszystkie potém namówić się dają. Wyraźnie dała mi do zrozumienia, żebym bywał częściéj, chce mnie poznać bliżéj. Jestem więc na bardzo dobréj drodze, choć w pierwszéj chwili byłem mocno zmięszany.

Tak szczęśliwym sofizmatem przywróciwszy sobie straconą nadzieję, pan Teodor rozchmurzył się, stał zabawnym umiarkowanie, aby się nie wydać z tém, że ją odgadnął i pił herbatę dając z siebie żartować niezmordowanéj pannie Kornelii, która go ciągle pannami Zamorskiemi dręczyła.

— Napróżno się pan wypierasz, ja mam szpiegów — mówiła po cichu — codzień pan tam przesiadujesz i zachwycasz się grą panny Lizy.

— Ale pani dobrodziéjko, ja muzyki cierpiéć nie mogę.

— Więc rozmową i dowcipem Lizy, która jest bardzo żywa, żartobliwa i ma dowcipu wiele.

— To dziecko! — rzekł Teodor.

— Starym kawalerom, to przecie rzecz uznana i wiadoma, najwięcéj do smaku przypadają nierozwite pączki. Pan przecie nie jesteś wyjątkiem.

— Na ten raz chyba mam to szczęście.

— Kłamiesz pan — dokończyła Kornelia.

— Pan Teodor zapewnił mnie, że nigdy nie kłamie, muszę się ująć za niego — wrzuciła uśmiechając się hrabina.

Tak z poprawionym nieco humorem, pożegnał się wreszcie pan Teodor, a na wyjezdném przypomniano mu jeszcze owo na obiad zaproszenie.

Przez całą drogę zatopiony był w myślach, chcąc się utwierdzić w mocném postanowieniu starania o hrabinę.

— Jest rzeczą oczywistą — mówił — że ona chce mnie wypróbować, stałości mojego przywiązania, bo może coś wiedziéć o przeszłości, charakteru zgodności... o przywiązaniu do Krzysztofa mowy nie ma. Przyjęła wiadomość o zaślubieniu Dosi zupełnie obojętnie, zaambarasowało ją to na chwilę. Ważąc każde słowo odpowiedzi, czuję, że to była *finta*, którą zaraz naprawiła nalegając bym bywał w jéj domu; główną rzecz zyskałem, reszta odemnie zależy.

Zatarł ręce.

Przybywszy do Zieleniewszczyzny tak był jeszcze przejęty wrażeniami świeżo doznanemi, że odmówił Zamorskiemu zaproszenia zwykłego na wieczerzę, składając to na ból głowy. Dzierżawca nie chcąc nalegać odszedł.

W kwadrans potém, siedział w fotelu pan Teodor z cygarem w ustach, gdy stała się rzecz w rocznikach Zieleniewszczyzny niesłychana. W oknie otwartém od ogrodu nagle ukazała się główka zarumieniona Lizy. Oczy jéj szukały zbiega.

— Przychodzę po pana, mama i Misia stoją o trzy kroki, nic

nie pomoże, choć z bólem głowy musisz pan iść do nas! Mamy truskawki umyślnie przygotowane, do jutra zwiędną. *Executez vous de bonne grâce!* — dodała figlarnie dziewczyna.

Pan Teodor wstał z fotelu zachwycony. Wspomnienie Wandy, mocne postanowienie nie dopuszczenia sercu, aby się bałamuciło nadaremnie, wszystko to prysło, rozbiło się, znikło. Przed nim, w jego oknie stało zachwycające świeżością zjawisko: czarodziéjka, której oprzéć się nie umiał.

— Idę natychmiast! — zawołał w zachwyceniu.

Rączka biała leżała na skraju okna otwartego, pokuśliwie piękna i nęcąca bezbronnością, pan Teodor niby dziękując przyłożył do niéj usta, i pocałował ramę od okna, bo paluszki szybko się usunęły i śmiech trzpiotowaty rozległ w ogrodzie.

Wyszedł jak przyobiecał i w istocie o kilka kroków od domu spotkał wszystkie panie dowiadujące się o jego ból głowy. Pani Zamorska radziła staroświecką lekką infuzyę szafranu, Misia herbatę zieloną, Liza kolońską wódkę, Zamorski gorącą wodę z cytryną.

Sam chory postanowił to zostawić naturze i wkrótce w istocie odwdzięczając jego zaufanie, poczciwa matka ból głowy wyleczyła wesołością Lizy i uprzejmością całego domu dzierżawcy, nadskakującego kochanemu dziedzicowi. Wstrzymano się nawet na ten raz od hałaśliwéj muzyki, a po wieczerzy, co się nigdy nie trafiało, panny i mama gdzieś znikły.

Zamorski sam na sam został z dziedzicem, wzdychał i uskarżał się na ciężkie czasy, poczciwe człowieczysko. Po zręcznie umotywowanych i przeprowadzonych preludyach, dzierżawca przybrał posępną minę.

— Już to my — rzekł — całym domem dla osoby naszego dziedzica jesteśmy z taką, mogę powiedziéć, czcią i głębokim szacunkiem, z takiém przywiązaniem, że nie wiem, czy pan dobrodziéj znajdziesz gdzie na świecie ludzi więcéj sobie oddanych, a tu składają się tak okoliczności...

— Cóż takiego? — spytał zaniepokojony pan Teodor.

— A nic, nic; ale my prostaczkowie, dorobkowicze biedni musiemy myśléć o przyszłości: córki dorastają, trzeba im coś będzie dać, bez posagu nikt nie weźmie. Ot, między nami mówiąc, o Misię stara się bardzo godny młodzieniec, i nie bez grosza, edukowany, skończył sześć klass, dobrych rodziców, Maciorkiewicz, pan go nie zna?

— Nie mam przyjemności.

— Ale jakże tu wydać młodszą przed starszą — kończył Zamorski — jéjmość go namawia do Lizy, Liza nie wiem czy go zechce, bo ona do wyższych rzeczy aspiruje. Z bólem serca mi to przychodzi panu dobrodziejowi powiedziéć, ale trzeba będzie podobno Zieleniewszczyznę porzucić.

— A toż dlaczego?

— Tak się to składa. Mam tam u pana dobrodzieja trochę téj mojéj krwawicy. A niechby sobie było i wiekowało w takich rękach, ale z czegóż posażek dać? Trzebaby się nam obliczyć, potém wypadnie z zięciem razem coś wziąć choćby większego. Człek w dorobku, ja się starzeję.

Mówił ciągle przypatrując się Teodorowi, który przybrał wyraz posępny, ale niedający odgadnąć wrażenia.

— Już to na córkach, nie dawszy mi syna, pobłogosławił mnie Pan Bóg — dodał dzierżawca. — Nie chwaląc się Liza mogłaby w najpierwszym domu być ozdobą. Główka nie dla proporcyi... Ale to takie sobie trochę dumne, trochę głupie, że powiada, iż nie pójdzie inaczéj tylko za dystyngwowanego człowieka i nigdy w świecie za młodego, ale za poważnego, dojrzałego. Dla tego to o Maciorkiewiczu jéj ani wspomniéć. Nawet nazwiskiem się brzydzi, choć Maciorkiewicz nie ma nic tak złego.

Teodor słuchał, ale myśl obrachunku i spłaty należności tak go pochłaniała, że o Lizie zapomniał.

— A będzie ten człowiek szczęśliwy, co Lizę weźmie — wywnętrzał się ojciec — to prawdziwa perła. Co to za takt! jaki

rozum, jaki statek. U niéj tylko książki, muzyka i wyższe towarzystwo. A to będzie bieda jeśli się nie trafi kto po jéj myśli, bo się zaklina, że nie pójdzie tylko za dystyngwowanego i poważnego człowieka.

Powtórzywszy to z pewnym naciskiem, dobry ojciec westchnął i począł się rozwodzić o genealogii Maciorkiewiczów. Przyszłego zięcia, rodziła *de domo* Ozorczanka, dziad był autentycznym podsędkiem. Wszystko to coś znaczyło. Teodor głową kiwał.

Po rozmowie téj, stary zwróciwszy się ku innemu przedmiotowi, począł chodzić po pokoju i panna Liza, jakby na dany znak wróciła wraz ź matką. O interesach mówić przestano, Zamorski miał coś do poradzenia się z żoną w drugim kątku, a Liza od niechcenia zbliżyła się do pana Teodora.

Wszystko, co o niéj opowiadał ojciec przyszło na myśl staremu kawalerowi, ale bronił się jak mógł pokusie różowego buziaczka wspomnieniem hrabiny. To go uratowało, że mimo uśmiechów i draźnień bardzo umiejętnych, utrzymał się przy powadze i chłodzie.

Po wyjściu jego Liza szepnęła Misi:

— Czasem tak jestem na niego zła, żebym go biła. Proszęż cię, dziś, jakby go kto zimną wodą oblał; na jeden dzień mu pofolgować nie można, bo zaraz stygnie. Jednego wieczora zdaje się, że go już mam, patrz! już się wyśliznął. To bałamut.

— Gdzież tam — odparła Misia — on się ciebie może boi, boś zanadto śmiała.

— A gdybym taką nie była! aniby pomyślał o mnie. Już ja ich znam!!

Znała panna Liza z teoryi zapewne tylko męzkie usposobienia, ale niemniéj pewną była siebie. Uczył ją nieochybny instynkt niewieści.

Koniec tomu pierwszego.

Następujące dzieła, wyszłe nakładem **S. Lewentala**, Wydawcy „Kłosów“, można nabywać w Kantorze tegoż Wydawcy, Nr. 12, ulica Widok, oraz we wszystkich znaczniejszych księgarniach krajowych:

Dzieci wieku. Powieść w 2-ch tomach, J. I. Kraszewskiego, rs. 1 kop. 50.

Orbeka. Powieść w 1-ym tomie, J. I. Kraszewskiego, rs 1.

Officyalista. Powieść w 3-ch tomach, Adama Pługa, rs. 2 kop. 50.

Pracownicy Morza. Powieść w 3-ch tomach, Wiktora Hugo, w tłómaczeniu Felicyana Faleńskiego, rs. 1 kop. 50.

Historya Polska dla dzieci, opowiedziana w 34-ch lekcyach, przez Emilię Leja. Wydanie 2-gie, kop. 25.

Historya Rzymska, przez Wiktora Duruya, b. Ministra Oświecenia we Francyi, w tłómaczeniu Michała Szymanowskiego, rs. 1.

Zyd, przez Edwarda Lubowskiego. Dramat, premiowany na konkursie lwowskim, kop. 60.

Gawędy i Satyry, Wacława Szymanowskiego, kop. 60.

Córka Morza, powieść, Michała Jezierskiego, kop. 60.

Ekspedycya na prowincyę uskutecznia się w frankowanych posyłkach pocztowych, za odebraniem powyżéj wymienionéj ceny.
